

Józef  
ŁOBODOWSKI  
NOTATNIKI

\_\_\_\_\_ Tom 2

Publicystyka

Józef  
ŁOBODOWSKI  
NOTATNIKI



Józef  
ŁOBODOWSKI  
NOTATNIKI

\_\_\_\_\_ Tom 2

Publicystyka

REDAKCJA NAUKOWA

Dariusz Pachocki

Aleksander Wójtowicz

Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej

Lublin 2023



Publikacja finansowana w ramach programu Ministra Edukacji i Nauki  
pod nazwą „Narodowy Program Rozwoju Humanistyki” 2016,  
nr projektu 11H 16 0328 84

OPRACOWANIE TEKSTÓW

*Jarosław Cymerman, Monika Gabryś-Stawińska, Anna Marcińczak  
Dariusz Pachocki, Aleksander Wójtowicz, Jerzy Święch*

Redakcja wydawnicza  
*Laura Możdżeń*

Redakcja techniczna  
*Agnieszka Muchowska*

Projekt okładki i stron tytułowych  
*Krzysztof Trojnar*

Skład  
*Wojciech Olech*

© Wydawnictwo UMCS, Lublin 2023

ISBN 978-83-227-9745-7

Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej  
ul. Idziego Radziszewskiego 11, 20-031 Lublin  
tel. 81 537 53 04  
[www.wydawnictwo.umcs.eu](http://www.wydawnictwo.umcs.eu)  
e-mail: [sekretariat@wydawnictwo.umcs.lublin.pl](mailto:sekretariat@wydawnictwo.umcs.lublin.pl)

Dział Handlowy  
tel./faks 81 537 53 02  
Księgarnia internetowa: [www.wydawnictwo.umcs.eu](http://www.wydawnictwo.umcs.eu)  
e-mail: [wydawnictwo@umcs.eu](mailto:wydawnictwo@umcs.eu)

Druk i oprawa  
„Elpil”, ul. Artyleryjska 11, 08-110 Siedlce

# Spis treści

## PUBLICYSTYKA

Chmury nad słoneczną Hiszpanią .....	9
Demokracja po hiszpańsku .....	13
Hiszpańska demokracja telewizyjna .....	19
Po sześciu latach .....	25
Jak naprawdę było w Hiszpanii .....	31
Marksistowskie czytanki dla dzieci .....	35
Deklaracja w sprawie ukraińskiej .....	41
Szklane domy i Hegel .....	47
[17 września 1974 r...] .....	52
[Przypadek Polski...] .....	60
O eurokomuniźmie .....	65
Komuniści zachodni .....	70
Czy zmierzch Zachodu? .....	76
Rosyjskość i sowietyzm .....	82
W tej samej łodzi .....	87
Rozmowa z roku 1943 .....	92
Kisiel na kwaśno .....	98
Rejtan czy Wernyhora? .....	101

Prawda leży na stole .....	107
Różnice i kontrasty .....	113
Polityczny kercelak .....	117
W Afganistanie .....	123
[Libijskie awantury] .....	128
Tragedia Libanu .....	132
Ignorancja czy taktyka? .....	137
[Echa tragedii wrześniowej] .....	143
[Komarów i rycerskość] .....	147
Ilustracje .....	153

# PUBLICYSTYKA



## Chmury nad słoneczną Hiszpanią

Do autobusu idącego z Rentería do San Sebastián wsiadło na przystanku trzech uzbrojonych terrorystów, padły strzały i podróżujący policjant zginął na miejscu. Wtedy drugi policjant rzucił się na jednego z morderców i próbował go rozbroić; podczas szamotania się padły nowe strzały i jedna z kul zraniła śmiertelnie terrorystę. Pozostali uciekli oczekującym na nich samochodem. Wynik ogólny: policjant i terrorysta zabici, drugi policjant – w szpitalu, ciężko ranny.

Wyszło na jaw, że terrorysta, który zginął, oczywiście, członek baskijskiej ETA, był aresztowany, sądzony i skazany jeszcze w roku 1976, potem na mocy amnestii zwolniony. Otrzymał rządowe pieniądze na wyjazd do Francji i zamieszkał w Bajonnie. Teraz przybył nielegalnie do Baskonii, zastrzelił policjanta (jak zwykle, z tyłu) i sam znalazł śmierć od kuli z własnego rewolweru.

Odbyły się dwa pogrzeby: policjanta i terrorysty. Ten pierwszy – skromny, przy szczupłej komitywie; ten drugi – uroczysty, z wszelkimi honorami, przy napływie licznej publiczności. W magistracie miejscowości rodzinnej terrorysty zgłoszono wniosek, aby jedną z ulic nazwać imieniem i nazwiskiem Ksawerego Arrancety, aby „uczcić pamięć narodowego bohatera, który zginął w walce o niepodległość i socjalizm”. W dniu pogrzebu w miasteczku Ergueta nikt nie poszedł do pracy i wszystkie sklepy były zamknięte. Strajk powszechny. Jedni strajkowali z przekonania, inni ze strachu. Wyjaśnić wypada, że dla terrorystów z ETA „socjalizm” jest równoznaczny z sowieckim komunizmem, choć się do tego oficjalnie nie przyznają. Baskijski proboszcz, który odprawił mszę, wezwał obecnych, by modlili się o realizację ideałów zmarłego. O zamordowanym policjancie wolał nie wspominać.

Prawie w tym samym czasie nastąpiło wydarzenie uznane przez wielu za sensacyjne. Od bardzo dawna jest tajemnicą poliszynela, że w kraju Baskijskim ludzie bogaci (przemysłowcy, bankierzy etc.) płać organizacji terrorystycznej ETA regularny albo dorywczy „podatek rewolucyjny”. Wszyscy o tym wiedzą, ale rzadko kiedy dochodzi do publicznego prania brudów. I nagle pękła bomba. Przemysłowiec, stojący na czele licznych fabryk, ogłosił w prasie list zawiadamiający, że otrzymał od terrorystów wezwanie do wypłaty bardzo poważnej sumy. Wezwanie to kończyło się tradycyjnym ostrzeżeniem, że jeżeli w podanym terminie nie wpłaci pieniędzy, zostanie przez organizację „egzekwowany”. Bo gdy ETA strzela (jako się rzekło, prawie zawsze z tyłu), nie jest to ani zamach, ani morderstwo, lecz egzekucja. W Katyniu oprawcy także strzelali w tył głowy, to także były egzekucje.

Juan Alcorta Maiz odmówił i w prasie wyjaśnił motywy swojej decyzji. Oświadczył, że chociaż zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa, nie chce stać się ofiarą szantażystów i w pewnym sensie ich współnikiem, finansującym dokonywane zbrodnie. „Nie musicie mnie szukać – powiedział pod adresem terrorystów – nie mam zamiaru chować się ani zmieniać trybu życia”. I zakończył: „Jeżeli odbierzecie mi życie, niech wam Bóg przebaczy!”

Tego jeszcze nie było. Rzykant czy po prostu człowiek odważny? Nie ulega wątpliwości, że dał szlachetny przykład. Spełnienie groźby „egzekucji” może się teraz okazać zbyt niepopularne, by ETA zechciała na to pójść. Niezmiernie pozytywna i żywa reakcja na ten gest stworzyła atmosferę, w której władze mogłyby z łatwością zaostrzyć swoją postawę w stosunku do organizacji terrorystycznych. Ale autonomiczny rząd baskijski, który wyszedł z niedawnych wyborów i składa się z członków PNV (Baskijskiej Partii Narodowej), uważa, że Madryt powinien wdać się w pertraktację z ETA. Bezpośrednio albo poprzez PNV.

Ten sam polityk zapowiedział, że z czasem policja będzie składać się wyłącznie z Basków i że garnizony hiszpańskie zostaną z autonomicznego terytorium wyprowadzone. A na ogół panuje opinia, że ludzie z ETA opanują tę baskijską policję. Byłby to pierwszy krok do oderwania trzech prowincji od państwa hiszpańskiego. Oczywiście, jeżeli uprzednio nie zajdą tu zasadnicze zmiany polityczne. A o to niełatwo.

Wspomniana inicjatywa rozpoczęcia pertraktacji z organizacją terrorystyczną jest absurdalna z każdego punktu widzenia. Po pierwsze, ETA nigdy nie ukrywała, że dąży do oderwania Baskonii i utworzenia

osobnego, suwerennego państwa. Po drugie, jakże prawowity rząd ma pertraktować z nielegalną grupą, obciążoną setkami zamachów i mordstw? Jedno jest jasne i pouczające: skoro ludzie z PNV zgadzają się na pośredniczenie w rozmowach z ETA, wniosek z tego niezbity, że już od dawna utrzymuje z nią bliskie kontakty. A zawsze kategorycznie wypierał się ich, *ergo* mijał się z prawdą.

Zachowanie się większości księży baskijskich, biskupów nie wyłączając, budzi zarówno zdziwienie, jak zgorzsenie. Żaden biskup nie zdobył się na potępienie metod terrorystycznych, przeciwnie, niedawno zbiorowy list pasterski w sprawie miejscowej młodzieży zredagowany został w taki sposób, że sprawił wrażenie uzasadnienia i usprawiedliwienia zbrojnego terroru. Obawiam się, że z takimi purpuratami Watykan może mieć w przyszłości poważne kłopoty.

Sprawa baskijska nie stanowi jedyne kłopotu. Przestępczość wzrosła w ostatnich czterech latach w tempie wręcz niesamowitym. Niepodobna zorientować się, kiedy chodzi o terror polityczny, a kiedy o pospolity bandytyzm. Jak to wygląda, niech zaświadczy policyjna statystyka. W roku 1976, pierwszym po śmierci generała Franco (20 listopada 1975), w całej Hiszpanii było osiemdziesiąt siedem napadów na banki i kasy oszczędności, czyli przeciętna – siedem na miesiąc. W roku ubiegłym (1979) było ich tysiąc czterysta siedemdziesiąt dwa; przeciętna – cztery codziennie. Liczby chyba dostatecznie wymowne. Ktoś pomyśli, że sprawność policji osłabła aż tak bardzo. Nie, policja jest taka sama, ale ma ograniczoną swobodę działania, a co najważniejsze, trybunały stały się niesłuchanie wyrozumiałe. Nietrudno domyślić się dlaczego.

Swego czasu wielką sensację wywołało ogłoszenie zasad „eurokomunizmu”, wysuniętych przez trzech przywódców partyjnych Francji, Włoch i Hiszpanii. Po jakimś czasie Francuz Marchais wycofał się z zajętej pozycji, natomiast Berlinguer i Carrillo stoją nadal przy „eurokomunizmie”. Zwłaszcza ten drugi. Pięknie! Że niby co innego Sowiety, a co innego europejski Zachód, że prawdziwy, nieskażony komunizm wcale nie jest sprzeczny z demokracją i tak dalej. Jeżeli tak, dlaczego w tegorocznym pochodzie pierwszomajowym niesiono portrety nie tylko Marksa i Bakunina, nie tylko Lenina, również... Stalina. Jako święty patron „komunizmu z ludzką twarzą” wyglądał dość oryginalnie. A obecność Bakunina świadczy o daleko idącym pomieszaniu pojęć. We wspomnianym pochodzie ramię w ramię z komunistami szli panowie socjaliści, grożąc uniesionymi pięściami, komu? – kapitalistom czy samym sobie?

Nie wiedzą, czy też wiedzieli, ale zapomnieli, co się stało z socjalistami w krajach opanowanych przez komunę?

Historia jest wielką nauczycielką. Ale najświetniejszy pedagog okazuje się bezsilny, gdy ma do czynienia z uczniami, którzy zacięli się w skrajnej głupocie. Mało kto interesuje się pochodzeniem przywódców hiszpańskiej lewicy. A szkoda, bo warto byłoby sprawdzić, jak wygląda ich proletariackie pochodzenie. Propagują walkę klas, a sami należą do warstwy uprzywilejowanej i ani im w głowie rezygnować z obfitych dóbr doczesnych. Zabawne! Policja jest według skrajnej lewicy instrumentem opresji kapitalistycznej, ale np. Santiago Carrillo nie ma nic przeciw czulej opiece policyjnej. Kamienica, w której mieszka towarzysz sekretarz (w najbardziej luksusowej dzielnicy Madrytu), jest nieustannie strzeżona, a każda osoba przychodząca do znajomych jest skrupulatnie legitymowana. Sąsiedzi Carrillo są także poddawani ścisłej inwigilacji.

Jakże to wszystko się skończy? Gdy zbierają się czarne chmury, zazwyczaj następuje burza. Poprzednia burza trwała prawie trzy lata, kosztowała około miliona poległych i zamordowanych, pozostawiła po sobie gruzy i zapiekłą nienawiść, niezlikwidowaną po dziś dzień. Demokratyczna monarchia miała stać się panaceum na wszelkie bóle i rany, doprowadzić do zapomnienia minionych konfliktów i przebaczenia win, popełnionych z jednej i drugiej strony, a w ostatecznym bilansie osiągnąć zgodne i harmonijne współżycie społeczne. Żaden z tych celów nie został osiągnięty, czarne chmury coraz szerzej okrywają niebo.

Te portrety Lenina i Stalina niesione przed rozwrzeszczanym tłumem to zarazem symbol i groźne ostrzeżenie. Starsi, którzy przeżyli wojnę domową, dobrze pamiętają te same portrety na madryckim Łuku Tryumfalnym. Ile ludzi zginęło w ich cieniu? Jest się nad czym zastanowić!

Oficjalny rządowy optymizm nie jest w stanie zagłuszyć niedobre przeczucia i przewidywania. Jak w powszechnie znanym wierszu Antonio Machado *Cień Kaina* znowu błądzi po spalonej ziemi hiszpańskiej.

*Chmury nad słoneczną Hiszpanią*

N11, k. 42–51 r, 41 v, 43–44 v. Pdr. po modyfikacjach pod tytułem: *Plamy na słońcu hiszpańskim*, „Orzeł Biały” czerwiec 1980 r.

## Demokracja po hiszpańsku

Strajki, przeważnie dzikie, rosnące bezrobocie, drożyzna, terror polityczny, coraz większa przestępczość – tak wygląda powszednia rzeczywistość hiszpańska. Pisałem już o tym w *Agonii Don Kichota* („Wiadomości” nr 1767 z dn. 10 lutego 1980). A jednocześnie rozwija się dyskusja prasowa na temat, czy prawdziwa demokracja jest w Hiszpanii w ogóle możliwa. Opinii mnóstwo, jakby makiem posiał. Wiele nieporozumień, jeszcze więcej sceptycyzmu. Niektóre wypowiedzi wręcz bezduszne, zwłaszcza gdy pochodzą od zawodowych polityków. Np. „Mundo Obrero”, organ Partii Komunistycznej, zapewnia, że „antykomunizm jest równoznaczny z antydemokratyzmem”. Najwidoczniej towarzysz Carrillo doszedł do powyższej formułki podczas swego wieloletniego pobytu w Moskwie. Dalszy wniosek: każdy antykomunista jest faszystą.

A w madryckiej „ABC” czytamy, że nieszczęście dzisiejszej Hiszpanii polega na braku prawdziwie odpowiedzialnych polityków; w przeważającej ilości wypadków mamy do czynienia z politykierami (*politicastros*). Przeglądam prasę lewicową i prawicową, kompromisową, skrajną, gwałtowną i umiarkowaną. Każdy znajdzie coś dla siebie, z tym że próby precyzyjnego określenia, jak ma wyglądać hiszpańska demokracja, z reguły zawodzą. Ciągłe pada zdziwione pytanie: „Jeśli cała Europa Zachodnia jest demokratyczna, dlaczego Hiszpania ma być wyjątkiem?”. Inni, nie lepiej znający historię swego kraju i mniej naiwni, odpowiadają: „Należy stworzyć nasz własny system demokratyczny, zgodny z naszą hiszpańską rzeczywistością”. Ale autor powyższego zdania nie wyjaśnił, na czym ma polegać owa „zgodność”. A jeszcze ktoś rzuca następującą, skrajnie pesymistyczną ocenę: „Zważywszy, że my, Hiszpanie, jesteśmy tacy, jacy jesteśmy, nasza własna demokracja przerodzi się w libertyńską

anarchię na gigantycznym *Monipodio...*” (Tu konieczne wyjaśnienie: w jednej z nowel Cervantesa „*patio de Monipodio*” w Sewilli stanowi centrum dzielnicy śródmiejskiej, odpowiednik „Pałacu Cudów” w powieści Victora Hugo, *Nôtre Dame de Paris*, warszawski Kercelak, ale znacznie gorszy).

I dalsza uwaga, nie mniej pesymistyczna: „Nasz kraj nie budzi we mnie innej, łagodniejszej wizji, ponieważ posiadamy wszystkie wielkie zalety konieczne, by umierać z godnością, ale nie posiadamy małych zalet, niezbędnych, by żyć w zgodnej, harmonijnej społeczności”. Znamienne, że ten pesymizm stanowi wspólny mianownik wypowiedzi co wybitniejszych umysłów hiszpańskich, zarówno z prawej, jak i lewej strony, liberała Madariagi, republikanów jak monarchistów, liberałów jak ultrasów. Oto sztandarowe nazwiska: Azaña, Gil-Robles, Sánchez Albornoz, Unamuno, Azorin, Ortega y Gasset, Pérez de Ayala, Pío Baroja...

Nie pamiętam, gdzie i czy cytowałem kiedykolwiek oryginalną odpowiedź Baroja na pytanie dziennikarza: „Don Pío, czy jest pan zwolennikiem monarchii, czy republiki?”. „Zależy jakiej republiki. Zgadzam się na republikę bez karabinierów, zakonnic i much”. „Ależ don Pío – powiedział zdumiony dziennikarz – bez karabinierów i zakonnic, to jeszcze byłoby możliwe, ale bez much?!”. „A widzisz, młodzieńcze, właśnie dlatego nie jestem republikaninem!”

Swego czasu wszedł w modę slogan głoszący, że „Hiszpania jest odmienna” („*España es diferente*”). Postanowiono udowodnić, że to nieprawda, uznano ów slogan za fałszywy, wymyślony przez reakcjonistów broniących za wszelką cenę starego i przestarzałego ustroju, czyli po prostu własnego, klasowego interesu. „Udowodnijmy, że Hiszpanię stać na rzetelną demokrację!”. Zaczęli udowadniać i udowadniają od przeszło czterech lat. Jak dotąd z wynikiem raczej negatywnym.

„Zgadzam się – pisze wybitny polityk – że nie jest łatwe, by system polityczny, sprzeczny z przeszłością narodu, mógł łatwo zapaść korzenie”. Czy w historii hiszpańskiej nie znajdziemy precedensów demokratycznych, czy choćby zbliżonych do demokracji? Owszem, znajdziemy, ale trzeba sięgnąć aż do średniowiecza. Jeszcze za królów katolickich (Izabela Kastyljska i Ferdynand Aragoński), pod mądrymi rządami kardynała Cisnerosa istniała swoista demokracja *avant la lettre*<sup>1</sup>, zanim Habsburgowie nie narzucili absolutyzmu.

---

<sup>1</sup> *Avant la lettre* (fr.) – tutaj: przed powstaniem nazwy.

Ale, poczynając od klęski zadanej *comuneros*<sup>2</sup> Starej Kastylii przez Karola I, historia poszła w przeciwnym kierunku. Opór Saragossy, która odmówiła wydania sekretarza Filipa II, Antonio Péreza, na podstawie przywilejów miejskich, wywodzących się z czasów niepodległej Aragonii, był chyba ostatnim echem, aktem wolnościowym. Przez dalsze czterysta lat takich precedensów już nie było, nawet za monarchii konstytucyjnej, która nastąpiła po śmierci Ferdynanda VII. Wszystkie zrywy wolnościowe (Kortezy w Kadyksie, generał Riego, Pierwsza i Druga Republika) miały charakter bardziej anarchistyczny niż demokratyczny. A i dziś szeregowy komunista rozumie walkę klas i dyktaturę proletariatu jako wolność absolutną, nieograniczoną żadnymi rygorami. „Rób, co chcesz!” – oto ideał wolności, odziedziczony po starych Iberach sprzed przeszło dwóch tysięcy lat. Z największym trudem dawali sobie z nimi radę Rzymianie i Wizygoci, zaś Arabowie zawsze niesforni, jako prawdziwi synowie pustyni (tradycja *Farysa*), jeszcze pogłębiali anarchistyczne cechy plemion iberyjskich.

„Można – pisze inny autor współczesny – posiadać autorytet i nie mieć władzy, ale także można mieć władzę i nie cieszyć się autorytetem”. Tradycyjna monarchia hiszpańska miała jedno i drugie, co zostało zakwestionowane dopiero w wieku XIV. Zaczęło się wraz z abdykacją Karola IV i desygnacją przez Napoleona jego brata, Józefa Bonaparte, na porzucony tron. I stało się, czego wielki Korsykanin zrazu nie mógł pojąć, a co zrozumiał dopiero na Świętej Helenie: podczas gdy tylko garść intelektualistów powitała z uznaniem zapowiedziane reformy, lud hiszpański podniósł się zbrojnie przeciw Francuzom, których uznał za najeźdźców i uzurpatorów. Wierność imponderabiliom przeważała szalę na niekorzyść zimnej kalkulacji społeczno-politycznej. Ironia losu sprawiła, że Ferdynand VII, z imieniem którego na ustach ginęli heroiczni obrońcy Saragossy i Genowy, okazał się najgorszym i najgłupszym monarchą na przestrzeni całej historii narodowej. Ten *rey deseado* (król pożądany) miał absolutną władzę, której tyrańsko nadużywał, ale ani za grosz moralnego autorytetu. Ścisłej: kredyt zaufania, jakiego mu nie szczędzono po tryumfalnym powrocie, zmarnował po niewielu miesiącach. Jego panowanie to typowy przykład władzy nieopartej o żaden autorytet. Toteż skutki

---

<sup>2</sup> *Comuneros* (hiszp.) – tutaj: uczestnicy powstania przeciw Karolowi V w latach 1520–1523.

były fatalne i dają się we znaki po dziś dzień, choć od śmierci okrutnego tyraństwa już mija półtora wieku.

Pierwsza Republika, ogłoszona po detronizacji i udaniu się na dobrowolną banicję Izabeli II, była krótkotrwałym i dość humorystycznym epizodem. Druga Republika (tym razem dobrowolnym *exulem*<sup>3</sup> stał się wnuk Izabeli, Alfons XIII) zgięła, zanim osiągnęła pełnoletniość.

Zwycięstwo sił narodowych w wojnie domowej przyniosło odrodzenie Hiszpanii pod wieloma względami, głównie w dziedzinie gospodarczej, ale w ostatecznym bilansie zostało zmarnowane. Tradycyjny rozłam na „dwie Hiszpanie” utrzymał się; przypominający cytowane już przeze mnie przy innej okazji tragiczne stwierdzenie znakomitego publicyisty i krytyka z okresu rodzącego się romantyzmu, José de Larra: „Tu leży połowa Hiszpanii; zamordowała ją druga połowa”.

Wkrótce po śmierci generała Franco rozpoczął się proces demokratyzacyjny; według aktywistów, miał w krótki szybki tempie doprowadzić do definitywnej rekuncji dwóch, tradycyjnie skłóconych obozów. I co? Stare, organiczne przeciwieństwo zaakcentowało się jeszcze mocniej.

„Obserwujemy obecnie – jeszcze znowu cytuję – starcie co najmniej dwóch typów »społecznego modelu« i nikt nie jest w stanie pogodzić ich ze sobą, każda strona chce mieć wyłączną rację i zlikwidować przeciwnika. Stąd stale pogłębiający się kryzys. Obóz ateistyczny i wierzący, grupy dążące do kolektywizacji i grupy broniące własności prywatnej, dzieli przepaść, nad którą nikt nie przeskoczy”.

Dla wyznawców wszystkich religii monoteistycznych każda władza pochodzi od Boga – *nulla potestas nisi a Deo*. Dla innych źródłem władzy jest *demos*<sup>4</sup>. Ale jeżeli ten *demos* jest skłócony i rozbitý już nie na dwa, lecz na kilka wrogich obozów, gdzie biją autentyczne źródła władzy? Wtedy trzeba wybierać. W Hiszpanii wybory zwykle zaczynają się kartkami przy urnach, a kończą się na polach krwawych walk domowych. Źródło władzy wciąż jest zmaczone braterską krwią. A dopóki społeczność pozostaje rozdarta nieubłaganą nienawiścią, nad źródłem władzy unosi się nie Duch Święty, lecz Księżę Ciemności.

Może do fanatyków każdej demokratyzacji przemówią liczby dotyczące ruchów emigracyjnych w Hiszpanii na przestrzeni prawie całego

---

<sup>3</sup> *Exul* (łac.) – wygnaniec.

<sup>4</sup> *Demos* (gr.) – lud.

stulecia (1890–1975). Ilość emigrantów stale wzrastała, z tym że punktem szczytowym był rok 1912: trzech–pięciu na stu mieszkańców, to znaczy (zważywszy, że emigrowali niemal wyłącznie młodzi ludzie), że udawał się do obcych krajów co piąty albo szósty Hiszpan. Na początku roku 1939 opuściły kraj setki tysięcy, ale było to uchodźstwo polityczne, a nie zarobkowe. Następne sześć lat nie liczą się, gdyż druga wojna najpierw europejska, następnie światowa, uniemożliwiała emigrację, aż nastał pokój.

Otóż w okresie 1945–1975 liczba emigrantów zarobkowych była prawie czterokrotnie mniejsza niż w latach 1905–1915, dwukrotnie – niż za Republiki (1931–1936). Kraj dźwigał się z gruzów, pracy nie brakowało dla nikogo. Na dodatek zasadnicza różnica. Dawniej emigrowali pracownicy niewykwalifikowani, głównie do Ameryki Południowej i pozostawali tam w ogromnej większości na zawsze. Po wojnie domowej Hiszpania eksportowała przeważnie robotników mniej lub bardziej wykwalifikowanych i to do krajów europejskich (głównie Niemcy Zachodnie i Szwajcaria).

Że zanikający dobrobyt to nie wszystko? Pewnie, „nie samym chlebem człowiek żyje”. Zaraz po zakończeniu wojny domowej chleba było mało i kiepskiej jakości, potem coraz więcej, wreszcie – do syta. Wolności nie było. A obecnie? Kto anarchię, chaos, sobiepaństwo i bezkarność utożsamia z wolnością, niech się cieszy. Ale już stary Goethe wiedział, że od niesprawiedliwego porządku gorszy jest niekontrolowany przez nikogo nie bałagan. Bo społeczny, polityczny i gospodarczy bałagan zawsze prowadzi do jeszcze bardziej niesprawiedliwego porządku. Anarchia nie jest żadną odtrutką na autokrację i oligarchię. Jest lekarstwem gorszym od choroby.

Po roku 1975, tzn. po śmierci generała Franco, nastąpiło zjawisko dotychczas w tym kraju nieznanе: *Emigración de empresarios* (emigracja przedsiębiorców). Powody? Przepisuję z radiowego artykułu: „Przesadne obciążenie podatkowe zaoszczędzonych kapitałów, brak proporcji między zarobkami i produkcją, konflikty robotnicze, fatalna sytuacja moralna prywatnych przedsiębiorstw, przygnębiający klimat społeczny, stworzony na skutek błędów politycznych”. Dodać należy: terror i rozpanoszenie się przestępczości ulicznej plus upadek autorytetów. I coraz gorsza sytuacja gospodarcza.

W czasach bezwzględnej i często głupiej cenzury słyszałem optymistyczne zapowiedzi. „Kiedy dyktatura zelżeje, wyjdą na światło dzienne

nowe talenty, nowy teatr i kino, ukażą się arcydzieła literackie, dotychczas gnijące w szufladach”. Stało się. „Ogłupiająca literatura cenzura” (to określenie jednej z polskich „ryb na piasku”<sup>5</sup>, która nie gnije i nie dojrzewa) znikła, szuflady otworzyły się i co się okazało: były puste.

Teatr? Film? „Uzyskaliśmy wolność – oświadczył z goryczą wybitny aktor – wolność pokazywania gołych tyłków na scenie i na ekranie”. „A która – wtóruje mu znana, urodziwa aktorka – nie chce pozować nago i publicznie fornikować się na oczach kinowej publiczności, nie zostanie zaangażowana przez żadnego dyrektora filmowego”. Tylko o to chodziło? To są te czysto demokratyczne osiągnięcia?

*Demokracja po hiszpańsku*  
N5, k. 40–47 v.

---

<sup>5</sup> Aluzja do *Ryb na piasku* (1965), antologii zawierającej wiersze poetów z londyńskich „Kontynentów”.

## Hiszpańska demokracja telewizyjna

Dobrze wiadomo, jakie znaczenie mają środki masowego przekazu: prasa, radio, telewizja. Otóż w Hiszpanii w ciągu ostatnich lat nastąpiło przesunięcie ku lewicy. W prasie w stosunkowo najmniejszym stopniu, w radio – w wiele większym, najwyraźniej i najmocniej w telewizji. Jak do tego doszło? Infiltracja była stopniowa i już przed dwoma laty wszystkie stanowiska kierownicze zostały obsadzone przez sprzymierzonych ze sobą socjalistów i komunistów, którzy zaczęli nadawać programom telewizyjnym odpowiadający im charakter.

Przykładowo wygląda to następująco. Po pierwsze, wykluczenie z programów wszelkich tematów, które wojującym marksistom nie odpowiadają. Np. gdy w historycznym programie chciano jedną godzinę dyskusji poświęcić Paktowi Atlantyckiemu, nastąpił zasadniczy zakaz. Gdy w wywiadzie z pewnym wysokim wojskowym chciano go zapytać, co sądzi o ewentualnym wejściu Hiszpanii do Paktu Atlantyckiego, znowu nastąpił kategoryczny zakaz. A więc totalitarny system, ograniczający swobodę demokratycznych wypowiedzi. Dalej – wprowadzenie, mimo ciągłych protestów widzów, wątpliwych, a raczej niewątpliwych moralnie filmów propagujących wynaturzenia seksualne. Program dla młodzieży znalazł się w rękach członka PCE (Partii Komunistycznej), który potrafił nadać między innymi pochwalny film o Leninie. Ba, po zamachu na papieża znalazł się ktoś, co oświadczył na małym ekranie: „Ten Turek (zamachowiec) wygląda mi bardzo sympatycznie”.

Dowiedziałem się ostatnio mnóstwa pikantnych szczegółów. Zostałem zaproszony do udziału w dyskusji na temat powstania warszawskiego. Nie pierwszy raz. Dwa lata temu wziąłem udział w dwóch dyskusjach o tematyce historycznej. Pierwsza z nich dotyczyła wybuchu drugiej wojny światowej, druga – zbrodni katyńskiej. Wypadło niezłe i zapłacono

każdemu całkiem obficie. Sądziłem więc na podstawie tamtego doświadczenia, że i tym razem wpadnie trochę grosza do chudej literackiej kalety. Ale! Nie dostaliśmy ani jednego centa. Dlaczego ta zmiana? Ktoś mi wyjaśnił w sposób dobitny: „Komuniści i socjaliści podnieśli tak bardzo swoje pensje, że dla zaproszonych gości nic nie zostało”. Słusznie! Marksizm zawsze dbał o godziwe dochody.

Słuchając rozmowy przy kawie, która poprzedziła dyskusję, dowiedziałem się, jak podałem przed chwilą, mnóstwa pikantnych szczegółów. Zapytałem niezbyt dyskretnie, z góry za to przepraszając, kto zaprosił wybitnego komunistę i generała Armii Czerwonej podczas drugiej wojny światowej Enrique Lístera, aby wziął udział w audycji o sytuacji w Polsce, która została nadana w dniu 11 września br. Odpowiedziano mi: jeden z kierownictwa, który jest członkiem Partii Komunistycznej. Uwaga dla potomności, zarówno hiszpańskiej, jak polskiej: Líster wypowiedział się wrogo w stosunku do Solidarności i Lecha Wałęsy oraz dodał, że zbrodni katyńskiej dopuścili się Niemcy, prowokacyjnie przypisując ją Sowietom. Solidarność uznał za małą grupkę, na czele której stoją intelektualiści żydowskiego pochodzenia. O dziesięciu milionach członków nie słyszał.

Towarzysz Líster jest zgrzybiałym komunistą stalinowskiego chowu, z którym dyskutować w ogóle nie warto, bo niczego nie rozumie i powtarza stare slogany, jak pacierz za marksistowską matką. Ale ci, którzy go ożywili i zaprosili do telewizji, nie są zatęchłymi mumiami z lamusa i wiedzą dobrze, co czynią. Za życia generała Franco dostali się do RTVE (radio i telewizja), starannie ukrywając swoje prawdziwe oblicze polityczne. Zerwali maski dopiero w jakiś czas po śmierci znie-nawidzonego dyktatora i obecnie zbierają obfite żniwo. Zobaczymy, co się z tego zatrutego ziarna wykluje. Żniwiarze wypełniają posłusznie i gorliwie wskazówki, pozostawione im przez towarzysza Lenina. Najpierw należy obiekt ataku sparaliżować, aby w godzinie próby nie mógł zareagować, a następnie przypuścić ostateczny atak.

Gdyśmy przed nagraniem owej audycji rozmawiali przy kawie, jeden z obecnych powiedział: „Dobierają się do nas od miękkiego podbrzusza propagandowego. Gdy dojdą do mózgu i serca, wybije godzina ich zwycięstwa”. Jak mogło do tego dojść? Dlaczego rządzące stronnictwo kapituluje przed własnymi wrogami? Jakże mogło dojść do tego, że dobrowolnie oddało telewizję swoim przeciwnikom? A właśnie! Zapytajcie nieboszczyka Kiereńskiego, dlaczego nie kazał we właściwym

czasie aresztować Lenina, Trockiego i całej reszty bandy bolszewickiej, która w końcu zmusiła go do niesławnej ucieczki zagranicę. Kiereński był politykiem krótkowzrocznym i naiwnym. Pytanie: czy pewni politycy hiszpańscy chorują wyłącznie na krótkowzroczność i naiwność?

W pewnej chwili zapytałem: „A jaka jest pozycja króla?”. Odpowiedź była niedwuznaczna: „Niezmiernie trudna: nie może bezpośrednio włączać się do tych spraw. A ponadto telewizja stara się traktować króla i jego rodzinę z największym respektem, aby nie poczuł się urażony ani zagrożony”. Pod tym względem panowie marksiści grają bezbłędnie, starając się oddać królowi, co królewskie, Marksowi, co marksistowskie. Nieliczne pomyłki są natychmiast korygowane przez ich sprawców. Majestatu króla na razie się nie zaczepia, choć najbardziej niecierpliwi coraz to wywieszają w pochodach sztandary republikańskie. Zapominają przy tym, że panowanie owych sztandarów trwało zaledwie pięć lat. W ciągu pięciu lat Druga Republika dojrzała do egzekucji.

O hiszpańskiej wojnie domowej wiedziałem w Polsce niewiele. Czytałem prasę i z góry było wiadome, co o rozwoju działań wojennych napisze z jednej strony „Kurier Warszawski” czy „Gazeta Polska”, a z drugiej strony „Robotnik” czy krakowski „Naprzód”. Ale w sierpniu 1941 roku po przekroczeniu granicy hiszpańskiej znalazłem się w więzieniu w Figueres<sup>6</sup> i tam przeżyłem ową bratobójczą wojnę. Olbrzymią większość stanowili więźniowie polityczni: komuniści, socjaliści, anarchiści, zwykli republikanie, katalońscy i baskijski separatyści. Naiwnie uznali mnie za swojego, siedzieliśmy razem, byłem wrogiem Niemiec, a więc sprzymierzeńcem w nieszczęściu. Tylko niektórzy, bardziej inteligentni, orientowali się, że sprawa nie jest taka prosta, że można być jednocześnie wrogiem systemu faszystowskiego Hitlera i komunistycznego Stalina. Większość nie zdecydowała się na takie rozróżnienie. Opowiadali mi wszystko, właśnie biorąc za swojego. Nauczyłem się tej wojny na pamięć!

Tę wygraną wojnę zwycięscy przegrywają obecnie coraz bardziej. Powiedzmy, nie tyle zwycięscy, co ich synowie i młodsi bracia, którzy w wojnie brać udziału nie mogli ze względu na wiek. Ale zdradzają testament swoich ojców i starszych braci, ustępując krok za krokiem przed zwycięzonymi, którzy nigdy nie chcieli uznać swojej klęski. I obecnie szukają rewanżu, ośmieleni przez brak skutecznego oporu. To, co się dzieje od sześciu lat w Hiszpanii, historia uzna, jak sądzę, za najbardziej

---

<sup>6</sup> Łobodowski przebywał tam w latach 1941–1943.

dziwaczną kapitulację zwycięzców sprzed przeszło czterdziestu dwóch lat. Chyba jedyny wypadek w historii!

Nikt nie zrozumie, co właściwie się dzieje. Zawiodła pamięć historyczna? Już się nie pamięta, co się działo za Drugiej Republiki, zwłaszcza w jej ostatnich miesiącach, przed wybuchem, gdy władza wymknęła się z rąk administracji i znalazła się na anarchistycznej ulicy? Ta Druga Republika popełniła samobójstwo z chwilą, gdy przestała dbać o porządek prawny i administracyjny. Gdy pozwoliła na rozruchy publiczne, gdy nie zareagowała na morderstwa polityczne i na zamachy przeciw kościołom i klasztorom. Zanosilo się na to od pierwszej chwili, gdy ogłoszenie Republiki zostało uczczone pożarami kościołów w całej Hiszpanii. Minister spraw wewnętrznych oświadczył wówczas, że nie posłał policji ani strażaków do gaszenia pożarów, ponieważ według niego mogłyby wyniknąć rozruchy, zaś życie jednego Hiszpana jest warte więcej niż wszystkie kościoły i klasztory.

Półowa narodu zareagowała przeciw tej prowokacyjnej w odczuciu niejednego Hiszpana opinii z bronią w ręku. Propaganda komunistyczna zawsze twierdziła i twierdzi nadal, że zwycięstwo *nacionales* przyniosła interwencja Niemiec i Włoch. Powinny zdecydować o prawdziwe fakty i daty. Brygady międzynarodowe zjawiły się wcześniej niż interwencja niemiecko-włoska. Madryt zostałby zdobyty na wstępie wojny, gdyby nie obrona pierwszej Brygady Międzynarodowej. Mówi się o legendarnym „*Quinto Regimento*”, 5. Pułku Komunistycznym pod dowództwem wspomnianego Enrique Listera. Ale ten pułk nie wystarczyłby, gdyby nie *internacionales*<sup>7</sup> z Brygady Międzynarodowej. Zaś upadek Madrytu w owych dniach oznaczałby zakończenie wojny domowej na samym początku walk.

Domową wojnę hiszpańską propaganda lewicowa usiłuje fałszować w identyczny sposób, jak komuniści polscy fałszują historię drugiej wojny światowej. Ulubiona teza: Franco miał na początku oddziały marokańskie i Legię Cudzoziemską, a potem nastąpiła interwencja niemiecka i włoska. Zapomina się, że w Legii Cudzoziemskiej, choć zorganizowanej na wzór francuski, ogromną większość stanowili Hiszpanie, więc była ona Cudzoziemską jedynie z nazwy. Interwencja niemiecka ograniczała się prawie wyłącznie do akcji lotniczych „Kondoru”, a przecież po stronie republikańskiej walczyli lotnicy sowieccy oraz ochotnicy z krajów

---

<sup>7</sup> *Internacionales* – ochotnicy służący w Brygadach Międzynarodowych.

demokratycznych (np. Habrans). Udział włoski był najskromniejszy: wystarczy przypomnieć wstydliwą klęskę zadaną Włochom w bitwie pod Guadalajarą przez Brygady Międzynarodowe. Powstała wtedy sztyrcza piosenka zaczynająca się od słów: „*De Guadalajara a Sigüenza corren veinte mil sinvergüenzas...*” („Z Guadalajary do Sigüenzy ucieka dwadzieścia tysięcy bezwstydników...”). Już kiedyś cytowałem. Pomoc cudzoziemska była na ogół wyrównana po obu stronach.

Telewizja i w mniejszym stopniu radio są już zdobyte przez wojujący marksizm. Nie bardzo wiadomo, jak to ocenić. Zjawisko jest denerwujące, ale kto wie, czy nie wyjdzie na dobre. Bo sprzeciw wobec pewnych audycji robi się coraz powszechniejszy i mocniejszy. Wielu prostych ludzi rozumuje podejrzliwie: „To teraz, gdy jeszcze nie mają władzy! A co się zacznie dziać, gdy do niej się dorwą?!”. A inni zapytują z nieukrywanym zdumieniem: „Tak ma wyglądać demokracja w interpretacji tych lewicowych inteligentów?”. Niemniej w charakterze hiszpańskim leży skłonność do skrajności w jednym czy drugim kierunku. A gdy typowy Hiszpan raz zajmie skrajną postawę, trzyma się jej kurczowo i żadna sprzeczna racja nie ma do niego dostępu.

Ileż godzin strawiłem swego czasu na bezpłodnych dyskusjach z pewnym starym kombatantem z „Falangi”, który utrzymywał, że przyszłość należy wyłącznie do ideologii totalitarnych: „albo faszyzm, albo komunizm!”. No, więc skoro ideologia frankistowska nie przyjęła się, pozostaje jedynie komunizm. A który z nich wie, jak w praktyce ten komunizm wygląda? I nie chcą wiedzieć. Zapatrzyli się w teorię, uwierzyli w nią i trwają w ślepej i głupiej, nigdy niesprawdzonej wierze. Zachowują się jak ślepi i zarazem głusi od urodzenia. Niczego nie widzą, niczego nie słyszą, więc żaden argument do nich nie dociera. Demokracja skojarzyła się im z komunizmem i od tego fałszu nie odstąpią ani na krok.

Dyskusja o powstaniu warszawskim nagrana 6 października ma być nadana w listopadzie, na razie została tylko nagrana. Wzięły w niej udział cztery osoby: dwóch Hiszpanów, angielski historyk Irving i autor niniejszego artykułu. Podejrzywałem, że nam wstawią jakiegoś czerwoniaka, ale [...]. Na szczęście marksści nie sięgają wszędzie, więc audycja wypadła solidnie, dobrze wyważona, znaczy równie antyniemiecko, jak antysowiecko. Doszło do tego przemówienie Czesława Miłosza, z którym nagrano wywiad, gdy w drodze powrotnej z Polski do Stanów Zjednoczonych zawadził o Madryt. Do programu dołączono krótki film przedstawiający systematyczne niszczenie Warszawy przez wojsko

hitlerowskie. W tym wypadku demokracja, tępiona zawzięcie przez telewizyjną lewicę, zdołała zatryumfować. Prawdopodobnie tylko przez nie dość pilną uwagę panów „postępowców” z hiszpańskiej RTVE.

Na stuprocentową kontrolę jeszcze nie przyszedł czas. Trzeba zdobyć się na cierpliwość. I, broń święty Marksie, nie iść przedwcześnie na gwałtowną konfrontację, zwłaszcza z wojskiem, mogłoby okazać się to niebezpieczne. Najlepiej zaczekać, aż poumierają wszyscy kombatanci z wojny domowej. Jest ich coraz mniej, więc zwłoka chyba nie będzie trwała zbyt długo.

*Hiszpańska demokracja telewizyjna*

N17, k. 6–10 r. Pdr. po modyfikacjach: *Hiszpańska demokracja telewizyjna*, „Orzeł Biały” grudzień 1981.

## Po sześciu latach

20 listopada br. minie sześć lat od śmierci generała Franco. Nazywano te sześć lat „okresem przejściowym” (*de transición*), od dyktatury wojskowo-policyjnej do parlamentarnej demokracji. Czy ta demokracja już dostąpiła swojej pełni, toczy się nadal dyskusja, która na razie do niczego konkretnego nie doprowadziła. Ale mniejsza o to. W tej chwili prowadzona jest zaciepła walka o sprawę wejścia Hiszpanii do Paktu Atlantyckiego. Gdy w styczniu szefem rządu został Leopoldo Calvo-Sotelo, oświadczył kategorycznie w przemówieniu telewizyjnym, że sprawa jest przesądzona definitywnie. Natychmiast nastąpiła riposta opozycji lewicowej. Zarówno PCE (komuniści), jak PSOE (socjaliści) wypowiedziały się zdecydowanie przeciw wejściu do Paktu Atlantyckiego.

Racje? Komunistom dziwić się nie należy. Są wrogami cywilizacji zachodniej, więc przykładają się chętnie do rozbijania Zachodu, gdy ten usiłuje stawić skuteczny opór żarłocznemu imperializmowi sowieckiemu. Nieco trudniej zrozumieć socjalistów. Wersja, według której Felipe González, sekretarz generalny PSOE, zobowiązał się podczas swojej wizyty w Moskwie (rok 1977) do zwalczania przystąpienia do Wspólnoty Atlantyckiej, została rozpowszechniona w Hiszpanii i zaprzeczona przez partię. Jak tam było, tak było, wtrącać się do tych kwestii nie zamierzam, ale jest rzeczą oczywistą, że działając w ten sposób, socjaliści poszli po linii zgodnej z interesami Związku Sowieckiego.

Główny argument brzmi wręcz dziecinnie. Że niby, jeżeli Hiszpania nie wejdzie do Paktu Atlantyckiego, będzie mogła w następnej wojnie zachować swoją neutralność, podobnie jak w dwóch pierwszych wojnach światowych. „Neutralność – wołają socjaliści i komuniści – stała się naszą tradycją narodową!”. A znowu przywódca skrajnej organizacji prawicowej *Fuerza Nueva*, Blas Piñar, powiedział ostatnio, że dopóki

Gibraltar nie zostanie zwrócony Hiszpanii, ta nie powinna wejść do Paktu Atlantyckiego. Tu nareszcie zeszyły się trzy skrajnie przeciwstawne postawy: komunistów, socjalistów i najdalej usytuowanej prawicy. Rozumowanie Blasa Piñara przypomina kogoś, kto nie chce zaakceptować obrony własnego życia, dopóki mu nie spłacą starego długu. Można i tak, ale chyba nie należy. Zresztą nikt jeszcze ludzkim gustom nie dogodził. Blas Piñar zdaje się nie rozumieć, że jeżeli Sowiety zwyciężą Zachód, cała Hiszpania wraz z Gibraltarem padnie jej ofiarą.

Sztaby generalne wypowiedziały się bez zastrzeżeń za wejściem do Paktu. Zawodowi wojskowi oceniają fakty poza polityką, a wyłącznie z technicznego punktu widzenia. Politycy wysuwają nonsensowną rację, że przystąpienie Hiszpanii naruszy istniejącą równowagę sił w Europie, co może doprowadzić do trzeciej wojny domowej. Tym samym podpisują się pod tezą sowiecką, że Moskwa uprawia akcję pokojową, zaś prawdziwą groźbę dla pokoju stanowi „imperializm Stanów Zjednoczonych”. Jest to akcja propagandowa, utożsamiająca ów „imperializm” z Paktem Atlantyckim. Więc ulubiona teza: jeśli Hiszpania wejdzie do Paktu, Amerykanie poczują się na tyle silni, że dokonają agresji przeciw „miłującemu pokój” Związkowi Sowieckiemu.

Socjaliści i komuniści hiszpańscy prowadzą od początków września gwałtowną propagandę przeciw wejściu do Paktu, nie żałując żadnych środków i wydając na nią poważne sumy. Żądają plebiscytu, twierdząc, że go wygrają. Być może mają rację, ale właśnie dlatego, iż rząd nie jest pewny wyniku, nie chce zgodzić się na plebiscyt. Uważa, że wystarcza, aby odpowiednią uchwałą powziął parlament, bez uciekania się do konsultacji powszechnej. Jeżeli wytrwa w tej postawie, należy spodziewać się, że jeszcze w tym roku Hiszpania stanie się pełnoprawnym członkiem Wspólnoty Atlantyckiej, ku wielkiemu rozczarowaniu Związku Sowieckiego, który w dalszym ciągu wyłazi ze skóry, by storpedować decyzję rządu Leopoldo Calvo-Sotelo, wyrażoną, jak napisałem powyżej, jeszcze przed przeszło ośmioma miesiącami.

W ciągu lata baskijska organizacja terrorystyczna ETA zawiesiła swoją działalność. Czynniki optymistyczne, także w rządzie, ogłosiły, że chodzi o pierwsze objawy bezsilności tej organizacji. A to był, niestety, tylko odpoczynek, narzucony czy to przez konieczność reorganizacji, czy z innych nieznanych mi powodów. 2 października w nocy nastąpił wybuch potężnej bomby, zainstalowanej przy burcie nowoczesnego kontrtorpedowca „Marqués de la Ensenada”, który znajdował się

w porcie Santander. Bomba została ulokowana w niewłaściwym miejscu, więc wybuch jedynie uszkodził okręt, nie wywołując ofiar wśród załogi. Gdyby ją zainstalowano kilka metrów dalej, wybuch doszedłby do prochowni, a wtedy okręt wyleciałby w powietrze wraz z całą załogą, liczącą przeszło trzystu marynarzy. Do zamachu terrorystycznego przyznał się wojskowy odłam ETA.

Gdyby się udał, straciłoby życie właśnie tych trzystu marynarzy z naddatkiem. Optymistyczne nadzieje, wyrażane przez przedstawicieli rządu, rozwiały się bez reszty. Wygląda na to, że ETA zmieniła taktykę; zamiast atakować poszczególne osoby z policji i wojska, pragnie dokonywać aktów terroru zbiorowego, wymierzonego, rzecz prosta, przeciw instytucjom państwowym, a przede wszystkim wojskowemu, bo armia taka czy inna jest uważana przez tych nacjonalistycznych komunistów słusznie za głównego wroga. Ten dynamitowy wybuch, skierowany przeciw jednemu z najbardziej nowoczesnych okrętów hiszpańskich, stanowi dostatecznie wymowny dowód zmiany w taktyce baskijskiego terroru.

Jednym z głównych obiektów sowieckich w Hiszpanii są Wyspy Kanaryjskie. Wiadomo dobrze, że ruch irydencki, który wygląda jeżeli nie humorystycznie, podsycany jest gorliwie przez placówki sowieckie, których tam nie brakuje. Rybackie statki sowieckie operują od dłuższego czasu na wodach kanaryjskich, przy czym istnieją poważne wątpliwości, czy chodzi im wyłącznie o połów ryb. Stosunkowo niedawno władze hiszpańskie kazały opuścić ten kraj towarzyszowi Byczkowowi, który był prezesem rzekomo pacyfistycznej organizacji, nazwanej Hispansowietki czy też Hispansoviet – już nie pamiętam. Wywiad hiszpański powziął jednak pewne zasadnicze podejrzenia co do „pacyfistycznej” działalności powyższego towarzysza, więc w wyniku towarzysz Byczkow został uznany za *persona ingrata*<sup>8</sup> i musiał wynieść się wraz z całą rodziną i większością swoich współpracowników do ojczyzny proletariatu.

Ale to sowieciarzy nie zraziło. „Sowiethispan” został skompromitowany, więc natychmiast założono nową instytucję pod bardziej neutralną nazwą – Impar. To pierwsza część hiszpańskiego słowa *imparcial* – „neutralny”, więc jakże cudownie pasuje do sowieckiej propagandy I m p a r – jako tytuł nowej organizacji, która zastąpiła dawniejszą, aby prowadzić w dalszym ciągu swoją akcję, częściowo szpiegowską, częściowo podrywającą ład społeczny na Archipelagu Kanaryjskim.

---

<sup>8</sup> Właśc. *persona non grata* (łac.) – osoba niepożądana.

Wróćmy do lewicowej propagandy „antyatlantyckiej”. W niedzielę, 4 października, odbył się w Madrycie wielki wiec, po którym nastąpił marsz protestacyjny, rozpędzony wreszcie przez policję. Według organizatorów wzięło w marszu udział około stu tysięcy osób, według oceny policyjnej tylko dwanaście tysięcy. Różnica zbyt poważna, by w nią uwierzyć. Najprawdopodobniej przesadziły obydwie strony, każda w przeciwnym kierunku. W czasie pochodu nie zabrakło malowniczych scen: gromadka protestujących maszerowała w śmiertelnych koszulach, inni padali na asfalt, trzymając w objęciach dzieci – miały to być ofiary bomby neutronowej. Oczywiście nonsens, bomba ta jest przeznaczona na wrogie czołgi, a nie na małe dzieci w sojusznicznym kraju. Ale Hiszpanie celują w uprawianiu malowniczej demagogii.

Niewątpliwie niejeden z nich jest święcie przekonany, że udając porażonego neutronem, zbawia ojczyznę od wojennych zniszczeń. To, gdy chodzi o przeciętnych ludzi z ulicy. Przywódcy, organizatorzy zdają sobie sprawę z tego, co czynią. Sprawa Paktu Atlantyckiego to jeszcze jeden odcinek zajadłej, nieprzebierającej w środkach walki o władzę. Retoryka polityczna jest po to, by przesłaniała niewesołą prawdę. Z historią urchadza się sztuczki jak z talią znaczonych, względnie fałszywych kart. Czytam np. przemówienie towarzysza Carrillo, który na wstępie oświadczył, że przez sto pięćdziesiąt lat w Hiszpanii rządzi prawica, więc czas przekrócić ster w lewo. A więc Pierwszej i Drugiej Republiki Carrillo nie uznaje. Zapomniał już o tym, że na krótko przed wojną domową przeszedł wraz z kierowanym przez niego Związkiem Młodzieży Socjalistycznej do komuny? Był po wybuchu wojny odpowiedzialny za porządek i spokój w Madrycie. Porządek utrzymał, czego jaskrawym dowodem jest cmentarz w Paracuellos de Jarama, gdzie leżą tysiące rozstrzelanych mieszkańców Madrytu.

Makabryczna anegdota. Na tydzień przed „antyatlantyckim” wiecem nastąpiła na szosie koło Quintanar katastrofa, którą grupa turystów z Murcji powracała w domowe pielesze. Byli to wyłącznie komuniści, którzy przyjechali do stolicy na urządzoną przez PCE zabawę. W przypadkowej katastrofie zginęły dwadzieścia trzy osoby, dwie następne, ciężko poranione, zmarły w szpitalu. Prasa prawicowa zachowała się przyzwoicie, nie uczyniła żadnych uwag co do politycznego oblicza ofiar. Towarzysz Carrillo natomiast z miejsca spróbował wykorzystać wypadek politycznie. „Od czasów frankizmu – oświadczył – nie zginęło jednocześnie tylu komunistów”.

Oto wzór politycznego taktu! Cóż niby frankizm może mieć wspólnego z katastrofą, spowodowaną przez zmęczonego szofera, który zasnął przy kierownicy?! Jeden z dziennikarzy oświadczył zgryźliwie po przeczytaniu tej bzdury: „Dotychczas uważałem Carrillo za eurokomunistę, obecnie przekonałem się, że o wiele bardziej pasuje do niego nazwa euroidioty!”. Trudno nie przyznać racji.

Co się stało w ciągu mijających od 20 listopada 1975 roku sześciu lat? Jeden z najbardziej opozycyjnych dzienników, prawnicowy „El Alcazar”, wymienił w swoim numerze z 4 października długą listę wyników osiągniętych przez rządy pofrankistowskie. Nawet gdybyśmy ocenili tę listę z większym nieco optymizmem, wyniki są istotnie niewesołe. Wymieniam je za „Alcazarem”: 1) rozwój separatyzmów ukrytych pod szyldem autonomizmu; 2) bezsilność w stosunku do aktów terrorystycznych; 3) fantastyczny wzrost publicznego deficytu; 4) upadek gospodarczy; 5) coraz większy wzrost bezrobocia; 6) skandaliczna sytuacja sanitarna; 7) utrata tradycyjnych terenów rybołówczych; 8) poniżające traktowanie hiszpańskich statków rybackich; 9) niesamowity wzrost zbrodniczości.

Można by do tego dodać: 10) ogólny kryzys monetarny; 11) wzrost pornografii przy absolutnej obojętności rządzących; 12) drożyzna; 13) kryzys zaufania; 14) niepewność jutra; 15) gorszące konflikty wśród kleru; 16) rosnące wzburzenie wśród policji i zawodowych wojskowych; 17) prowokacyjne zachowanie się komunistów, stale odwołujących się do ulicy, przy jednoczesnym domaganiu się demokratycznego traktowania, co stanowi sprzeczność w założeniu. Jeszcze nie jest za późno, aby odrobić stracony czas i zabrać się na serio do pozytywnych rozstrzygnięć.

Jaskrawy przykład! Jest okres winobrania i zbierania oliwek. Brakuje chętnych. Jak to, przecież bezrobocie zbliża się do dwóch milionów i istnieje groźba, że wkrótce tę granicę przekroczy! Więc jak? Ostatnio wystąpił z gwałtowną mową jeden z andaluzyjskich burmistrzów (socjalista!), określając większość bezrobotnych jako leniów, którzy nie chcą pracować, więc pracy nie szukają; wygodniej żyć na zasiłku dla bezrobotnych. Zdałoby się sposób na to prosty, odebrać zasiłki i zmusić do pracy. Ach, to byłoby niedemokratycznie: brak szacunku dla praw człowieka!

Serrano Suñer, który podczas wojny był w rządzie generała Franco ministrem spraw zagranicznych, wydał książkę, w której poddał krytyce zmarłego przed sześcioma laty dyktatora. Zarzucił mu, że nie umiał przewidzieć i zapobiec przekreśleniu jego testamentu politycznego. Okoliczność łagodząca: padł ofiarą nadmiernego zaufania do ludzi i do ich

wierności. Pisałem o tym w jednym z moich artykułów już dawno. Powtarzam, com pisał uprzednio. Franco powinien był ustąpić na kilka lat przed śmiercią i przekazać władzę królowi Juanowi Carlosowi I. Wtedy przejście do demokracji odbywałoby się etapami, łagodnie i bez wstrząsów. Ale generał był ciężko chory i stracił ostrość politycznego widzenia. Nie zdobył się na decyzję we właściwym czasie. Hiszpania płaci obecnie za ten ciężki błąd.

*Po sześciu latach*

N17, k. 1–6 v. Pdr. po modyfikacjach: *Po sześciu latach*, „Tydzień Polski” 1981, nr 44.

## Jak naprawdę było w Hiszpanii

Co właściwie stało się w Hiszpanii w lipcu 1936 i co naprawdę działo się przez czterdzieści lat tzw. frankizmu? Ocena całej lewicy była i jest nadal jednoznaczna i bezapelacyjna. Kilku generałów zbuntowało się przeciw prawowitej władzy republikańskiej, wyłonionej z demokratycznych wyborów, i wywołało długotrwałą wojnę domową, którą wygrało dzięki obcej pomocy (niemieckiej i włoskiej). Następnie powstał faszystowski system totalitarny, który dobiegł kresu wraz ze śmiercią generała Franco. Jak to zazwyczaj bywa z dyktatorami tego typu, frankizm umarł bezpowrotnie. Wszystko proste i jasne. No cóż, byłoby o wiele jaśniejsze, gdyby nie było tak bardzo uproszczone.

Zacznijmy od określenia „rebelia”. Kiedy lud francuski zburzył Bastylię i tańczył na jej ruinach, wystąpił przeciw prawowitej (według ówczesnych pojęć) władzy. Kiedy krążownik „Aurora” oddał dwa historyczne strzały i uzbrojony tłum zdobył Pałac Zimowy, było to wystąpienie przeciw prawowitemu Rządowi tymczasowemu. Więc dlaczego Wielka Rewolucja Francuska, a nie rebelia? Więc dlaczego Rewolucja Październikowa, a nie rebelia? Dlaczego te dwie miary? Widocznie zamach stanu dokonany przez lewicę zawsze zasługuje na godność rewolucji; taki sam zamach stanu dokonany przez prawicę jest już tylko rebelią. Powiedziano i napisano wielokrotnie, że wojnę domową spowodowały ambicje generałów żądnych władzy z Franco na czele. Każdy historyk z prawdziwego zdarzenia wykpi takie twierdzenia. Ambicje i ambicyjki paru osób mogą doprowadzić do puczu, ale nie do wojny trwającej prawie trzy lata. Jej źródła trzeba szukać dość daleko, dojrzewała stopniowo przez przeszło sto lat. Ale większość zarozumiałych znawców spraw hiszpańskich nie ma o historii i zagadnieniach tego rodzaju najmniejszego pojęcia, przykłada do nich miarki i sztance dobre gdzie indziej, a tu najzupełniej nieprzydatne.

Znakomity Menéndez y Pelayo pisał w podobnym sensie: „Przez Hiszpanię przesunęło się całe stulecie nędzy i upadku moralnego, despotyzmu administracyjnego, pozbawionego wszelkiej wielkości i chwały, bezwstydnym nadużyć, katastrofalnych kompromisów, wojen prowadzonych w imię korzyści królewskich synków i chciwości sąsiadów. Aby skończyć z tym poniżającym bezwładem, aby dały o sobie dać w całym splendorze zalety naszej rasy, pogrążone w letargu, ale niewyczerpane, z winy, gorzej niż tyranii, z braku wrażliwości moralnej rządzących i rządzonych; aby, resumując, odzyskać świadomość narodową, cierpiącą od jakże dawna na atrofię, spowodowaną przez zaściankowy fetyszizm, konieczne stało było morze krwi, przelanej od Fuenterrabii aż do Kadyksu; w jego czerwonych wodach mieliśmy się odrodzić po tym, jak nasi monarchowie nas opuścili i sprzedali”.

W roku 1873, przy powszechnym entuzjazmie w Kortezach, proklamowana została republika, która weszła potem do historii jako Pierwsza. Jakie były skutki, w dwadzieścia lat później Emilio Castelar, wybitny polityk i mówca, pisał w „Espana Moderna”. Cytuje: „Były chwile owego lata, gdy sądziliśmy, że nasza Hiszpania całkowicie się rozchwiała... Z prowincji dochodziły pomysły najbardziej dziwaczne. Idee najbardziej nonsensowne. Jedni zapowiadali, że odrodzą starą Koronę Aragonii, jak gdyby prawo współczesne miało coś wspólnego ze średniowieczem. Inni mówili, że ogłoszą niepodległą Galicję pod angielskim protektoratem. Prowincja Jaén szykowała się do wojny z Granadą. Salamanka trzęsła się ze strachu po zamknięciu jej sławetnej wszechnicy, co oznaczało koniec przewagi naukowej w Kastylii... anarchia w Walencji; zbrojne bandy w górach Sierra Morena; Murcja pod panowaniem demagogii; w Castellónie rządy skrajnej kościelnej reakcji (*los apostólicos*<sup>9</sup>); wieś kastylijska, wzywająca z barykad do wojny Gmin (*Comunidades*<sup>10</sup>), jak gdyby Karol z Gandawy już wylądował na północnym wybrzeżu...; oszałała Cartagena; Alicante i Almería zbombardowane; flota hiszpańska, coraz to zmieniająca banderę czerwoną na banderę obcego mocarstwa...”

---

<sup>9</sup> *Los apostólicos* (hiszp.) – obrońcy nieprzejednanego lub „czystego absolutyzmu” w „Złowrogiej Dekadzie” („*Década Ominosa*”, 1823–1833), ostatnim okresie panowania króla hiszpańskiego Ferdynanda VII.

<sup>10</sup> Wojna Gmin (*Comunidades*) – Powstanie Comuneros w Kastylii (hiszp.: *Guerra de las Comunidades de Castilla*) – rebelia w Kastylii w latach 1520–1522 przeciwko hiszpańskiemu habsburskiemu królowi Karolowi I (który był jednocześnie cesarzem rzymskim jako Karol V Habsburg), zakończona porażką powstańców.

I jeszcze tytułem przykładu zupełnie już zwariowana anegdota. Surrealistyczna, ale autentyczna. W roku 1934 zawędrowała do Hiszpanii epidemia cholery. W Madrycie rozniosła się absurdalna plotka, że to zakonnicy zatruli miejskie studnie. Tłum rzucił się na klasztor, mordując rzekomych winowajców; tylko nieliczni mnisi zdołali się ukryć – kilkuset zginęło (według innych źródeł – parę tysięcy). Gdy epidemia rozszerzyła się na prowincję i tam powtórzyły się identyczne sceny. I oto pewien burmistrz aragoński złożył władzom zwierzchnim następujący meldunek: „W tym mieście rzeź zakonników odbywa się w największym porządku”.

Druga Republika została proklamowana 14 kwietnia 1931. W maju w całej Hiszpanii na kościoły i klasztory spadł czerwony kogut; rozwydrzone skrajne elementy urządzały fajerwerki na masową skalę. 11 maja tego roku w dzienniku madryckim „El Sol” ukazał się artykuł zbiorowy, podpisany przez trzech intelektualistów o największym ówczesnie autorytecie (Gregorio Marañón, Ortega y Gasset, Pérez de Ayala, a wszyscy trzej – republikanie), potępiający podpalaczy.

„Podpalanie klasztorów i kościołów nie dowodzi ani prawdziwej dbałości o Republikę, ani ducha postępu; to raczej objaw prymitywnego i zbrodniczego fetyszyzmu, który równie dobrze adoruje nowsze przedmioty, jak dąży do ich zniszczenia. To ohydne wydarzenie stanowi sygnał ostrzegawczy przed jedynym, wielkim i efektywnym niebezpieczeństwem zagrażającym Republice; polega na tym, że nie potrafi ona pozbyć się form i retoryki archaicznej demokracji, miast utrwalić się na zasadach nowego stylu demokracji współczesnej. Gdyby wzięli z niej inspirację, nie podpalaliby gmachów, lecz zastanowiliby się, jak je wykorzystać dla celów społecznych. Obraz Hiszpanii podpalającej, Hiszpanii inkwizycyjnych płomieni, uniemożliwiłoby im, gdyby byli ludźmi naprawdę nowoczesnymi, tworzenie tych nonsensownych krematoriów”. (Na marginesie: w samym tylko Madrycie podpalono sto trzydzieści dwa gmachy – kościoły, klasztory, szkoły prowadzone przez kler).

Gdy w więzieniu w Figueres poruszyłem ten temat, moi rozmówcy wzruszali ramionami: „Pewnie, to były akty wandalizmu”, ale po iluś tam latach w książce Reginy Garcii *Byłam marksistką (Yo he sido marxista)*, przeczytałem następującą informację: „Na początku maja 1931 przybył do Madrytu Béla Kun, przywożąc ze sobą konkretne instrukcje do reorganizacji Partii Komunistycznej i osiągnięcia połączenia się z Partią Socjalistyczną, która była już dość bierna...”. Odbył narady z Álvarezem

del Vayo, Luisem Araquistáinem, Margaritą Nelken i innymi lewicowymi działaczami. „Béla Kun – cytuję w dalszym ciągu Reginę Garcíę – pozostawał w Hiszpanii bardzo krótko, ale zdołał zreorganizować Partię Komunistyczną i dać jej wytyczne, których uprzednio nie miała. Do najważniejszych należało prześladowanie religii, ponieważ w Rosji uważano, że katolicyzm to główna przeszkoda na drodze do zbrojnego powstania mas. W konsekwencji komuniści postanowili zaatakować religię w sposób na tyle efektowny, żeby odpowiednio oddziałać na opinię publiczną... W sojuszu z socjalistami przeprowadzili szereg zamachów na osoby i przedmioty kultu. Akcja, która kulminowała skandalicznym spektaklem w Madrycie 11 maja...” A więc masowe podpalanie kościołów zostało zainspirowane przez Bélé Kuna.

Nie był on jedynym agentem sowieckim działającym w Hiszpanii. Przewinęli się wtedy przez nią, jednocześnie lub pojedynczo: Borodin, Stiepanow, Rudakow, Radek Żukowski (polskiego pochodzenia), a ponadto działacze kominternowscy różnego pochodzenia, jak Victorio Codavila, Heinz Neumann, Vidali, Ernő Gerő, Reidel i wielu innych. Znacznie wcześniej, bo w sierpniu 1935 roku, na VII Kongresie Kominternu zapadła decyzja zwrócenia maksymalnej uwagi na rozwój ruchu rewolucyjnego w Hiszpanii. Jakże, też Lenin już w 1920 roku oświadczał: „Zapewniam was, że drugim krajem w Europie (po Rosji), który ogłosi dyktaturę proletariatu, będzie niewątpliwie Hiszpania”. Lew Trocki tuż po ogłoszeniu Drugiej Republiki dodał: „Ponownie sznur się rwie w najcięższym miejscu. Obecnie przyszła kolej na Hiszpanię”.

Obydwaj pomylili się i żaden z nich dyktatury proletariackiej nie doczekał. Ale nadzieje ożyły. Może teraz.

Jaka szkoda, że ogromna większość znakomitych ludzi pióra, którzy piszą o sprawach hiszpańskich, tak rzadko zagląda do dokumentów. Albo nie zagląda wcale.

*Jak naprawdę było w Hiszpanii*

N7, k. 37–43 r. Pdr. po modyfikacjach: *Jak naprawdę było w Hiszpanii*, „Wiadomości” 1977, nr 42 (cykl „Worek Judaszów”).

## Marksistowskie czytanki dla dzieci

**C**zerwona książeczka dla sztuby. Cóż to takiego? Według mało precyzyjnych informacji jest to coś w rodzaju podręcznika przeznaczonego dla dzieci i podrastającej młodzieży między dwunastym i szesnastym rokiem. Podobno oryginał ukazał się w Danii, a następnie został przetłumaczony na inne języki europejskie. Między innymi na hiszpański. I właśnie w Hiszpanii, dokładnie w Madrycie, wybuchła przed kilkoma tygodniami bomba. Okazało się, że ta *Czerwona książeczka...* została rozesłana do szkół i bibliotek szkolnych przez osobę reprezentującą Wydział Pedagogiczny Stołecznej Rady Miejskiej. Bezpośrednią sprawczynią [była] p. Cristina Almeida, posłanka do Korteżów i zarazem radna miejska z ramienia Partii Komunistycznej.

Jeden z dwutygodników madryckich doprowadził do prawdziwego skandalu po zacytowaniu wrywków z owej książki. Najbardziej soczyste i sugestywne dotyczą życia seksualnego. Zaleca się w nich fizyczne obcowanie uczniów i uczennic z jednoczesnym pouczeniem, jak unikać ciąży. Homoseksualizm i miłość lesbijską traktuje się jako formy erotyczne najzupełniej naturalne, które nie powinny budzić zdziwienia, a tym bardziej sprzeciwu. Używanie narkotyków nie powinno być zakazane. Jeżeli poszczególni nauczyciele zostaną uznani za nudziarzy albo za zbyt wymagających pedantów, wolno nie przychodzić na ich lekcje aż do odwołania, a w razie oporu dyrekcji szkoły należy urządzić strajk protestacyjny. Władza rodzicielska jest niczym nieuzasadniona, rodzice przeważnie nie rozumieją dzieci, więc nie należy liczyć się z autorytetem ojca i matki, jak w ogóle z opinią ludzi starszych. Wydzwitek ostateczny: każde dziecko, poczynając od dwunastego roku życia, ma prawo zachowywać się tak, jak mu się żywnie podoba i działać bez żadnych skrupowań, zakazów i nakazów.

Tego już było za dużo. Nie chodziło o samo ukazanie się tej książki, lecz o fakt, że jej egzemplarze zostały rozesłane do bibliotek szkolnych. Zwołano specjalne posiedzenie Rady Miejskiej, a na niej doszło do prawdziwej burzy. Cristina Almeida oświadczyła uprzednio, że książki nie czytała, ale później, po jej przeczytaniu uznała, że nie zawiera żadnej zdrożnej treści. Przyszedł jej z sukursem inny lewicowy radny, który złożył następujące oświadczenie: „Książka jest niewątpliwie anarchistyczna, ale ponieważ anarchizm stanowi prehistorię ruchu robotniczego, nie ma powodu do zgorszenia”. *Alcade*<sup>11</sup> Madrytu, prof. Enrique Tierno Galván, uznał, że sprawie nadano zbyt wielki rozgłos.

Wreszcie zabrało głos Ministerstwo Kultury, dezaprobuując wszystkich zwolenników i chwalców tej książki i piętnując ją jako szkodliwą i antykonstytucyjną, a nawet jako druk nielegalny. W niekończących się dyskusjach doszło do scen dość zabawnych, żeby nie powiedzieć – kompromitujących. Tak więc pewien ławnik miejski (marksista) zauważył, że skoro w sklepach, restauracjach i barach sprzedaje się napoje alkoholowe, które są szkodliwe dla zdrowia, to niby dlaczego nie wolno sprzedawać książeczki, w której zaleca się nieletnim stosunki seksualne i używanie narkotyków? Ewentualny zakaz stałby się pogwałceniem demokratycznej wolności.

Na to inny radny odparł ironicznie, że w konsekwencji należałoby dzieci i młodzież zachęcić do picia wina i koniaku. Korupcja młodzieży w imię wolności – to najnowszy wynalazek hiszpańskiej lewicy. Zawsze ten sam argument: prawo do nieograniczonej wolności słowa, choćby godziło w podstawowe zasady każdej wspólnoty społecznej. Przy okazji warto poruszyć sprawę jeszcze jednego skandalu, łączącą się ze złe pojętą swobodą wypowiedzi.

Od dość dawna wychodzi w Madrycie czasopismo o tytule pożyczonym od Francuzów – „Interviu”. Luksusowy papier, świetne graficznie barwne ilustracje: prawie wyłącznie fotografie pańienek całkowicie lub częściowo rozebranych (przeważnie to pierwsze). A więc pornografia. Ale to tylko jedna strona medalu. Druga jest o wiele ciekawsza, mianowicie – publicystyka polityczna. Formalnie – na niezłym poziomie; ideowo – mało sprecyzowana; merytorycznie – godząca we wszystkie uprzednie tradycje hiszpańskie, w całą przeszłość kraju. I co chyba charakteryzuje czasopismo najlepiej: nastawienie jaskrawo

---

<sup>11</sup> *Alcade* (hiszp.) – burmistrz.

antyamerykańskie i prosowieckie. Taką samą akcję prowadzą inne czasopisma o identycznym lub zbliżonym nastawieniu.

Nie chcę być gołosłownym, więc oto wymowny przykład. W roku 1975 odwiedził Hiszpanię Aleksander Sołżenicyn i wywiadem udzielonym telewizji wywołał wielką sensację, a w kołach skrajnie lewicowych wielkie nieprawdopodobne wzburzenie. Czasopismo „Cuadernos Para [el] Diálogo” (tytuł całkiem niewinny<sup>12</sup>) poświęciło mu część najbliższego numeru, nie szczędząc ostrej krytyki i niewybrednych epitetów. Autor zasadniczego artykułu posunął się tak daleko, że wyznał żal, iż Sołżenicyn został wypuszczony z łagru, w którym przebywał przez wiele lat, że go nie zatrzymano. Dodał, że całkowicie podziela racje rządu sowieckiego, gdy ten zamyka i skazuje pisarzy tego typu.

W innym artykule znalazłem autentyczny popis analfabetyzmu historycznego. Sołżenicyn słusznie stwierdził we wspomnianym wywiadzie, że petersburski zamach 1 marca 1881, który zakończył się śmiercią Aleksandra II, miał fatalne konsekwencje: uniemożliwił dalsze, już zaprojektowane, reformy, sprowokował reakcję Pobiedonoscewa, głównego i fatalnego inspiratora nieszczęsnej polityki Aleksandra III.

W tym miejscu swego madryckiego wywiadu Sołżenicyn miał całkowitą rację. I oto jakiś Filip wychynął z hiszpańskich konopi i zarzucił Sołżenicynowi: „Przecież za Aleksandra II była pańszczyzna (*servidumbre*)!”. Biedaczek nie wie, że zniesienie pańszczyzny było jedną z planowanych reform, zadekretowanych przez cesarza na dwadzieścia lat przed owym dniem 1 marca, gdy bomba Hryniewieckiego oderwała Aleksandrowi dwie nogi. Stołypina także zamordowano za to, że tamtą reformę uzupełniał, całkowicie zmieniając strukturę społeczną i gospodarczą chłopów rosyjskiego.

Wracam do „Interview”. Przed paroma miesiącami czasopismo ogłosiło wywiad, w którym zostały podane nazwiska i adresy szeregu osób zamieszkałych w kraju baskijskim, a uznanych za reakcjonistów i wrogów terrorystycznej organizacji ETA. Po upływie niewielu dni dwie osoby, które znalazły się na tej liście, zostały zamordowane. Na jednym z nich ciążyło oskarżenie, że w barze jego własności zbierali się policjanci

---

<sup>12</sup> „Cuadernos para el Diálogo” („Zeszyty na rzecz Dialogu”) – czasopismo społeczno-kulturalne zostało założone w październiku 1963 roku (założycielem był Joaquín Ruiz-Giménez, były minister edukacji podczas rządów generała Franco). Redakcja Cuadernos znajdowała się w Madrycie.

z pobliskiego komisariatu. I to wystarczyło, by wydać na niego wyrok śmierci. Reagując na gwałtowne zarzuty, redakcja „Interviu” zasłoniła się demokratycznym prawem do swobodnej informacji. W Madrycie i w wielu innych miastach zaczęło się podpalanie kiosków ulicznych, w których wspomniany tygodnik jest sprzedawany. O rozprawie sądowej przeciw „Interviu” jakoś dotąd nie słyhać, choć wzburzenie jest ogromne. Wygląda na to, że sprawa ta będzie miała długi ogon.

Już podczas pisania tego „worka” dowiedziałem się, że wydawca *Czerwonej książeczki dla sztuby* został aresztowany i postawiony w stan oskarżenia. Zresztą natychmiast wyszedł na wolność za kaucją w wysokości pół miliona peset. Oskarżony jest o *escándalo público*<sup>13</sup> i o nieprzeprowadzenie obowiązkowych formalności rejestracyjnych. To drugie ma, naturalnie, drugorzędne znaczenie. Rada Miejska także powinna być oskarżona o „skandal publiczny”, skoro rozproszyla ową książkę po szkołach. Nieliczne egzemplarze, które policja znalazła w lokalu wydawnictwa, uległy konfiskacie. Dodać należy, że wydawnictwo to specjalizuje się w książkach pedagogicznych. Znamiennie i całkiem logiczne – „*Nuestra Cultura*” wydała wiele przekładów propagandowych książek sowieckich. *Se les ve el plumero*<sup>14</sup>, jak powiadają Hiszpanie – „poznać go po pióropuszu”.

Afera powyższa nie powinna budzić najmniejszego zdziwienia, stanowi bowiem jedynie fragment szerokiej akcji prowadzonej systematycznie od kilku lat (nazwijmy ją niemodnie destrukcyjną, choć „towarzysze podróży” bardzo się na nią zzymają). Podrywanie autorytetów, od rodziny poczynając, ośmieszanie wszelkich tradycyjnych walorów, które jeszcze przedwczoraj uchodziły za uniwersalne, masowa pornografia (czasopisma, kino, teatr), homoseksualizm i narkomania, nie mówiąc już o szalonym wzroście przestępczości – oto powszedni krajobraz życia hiszpańskiego. Już dawno należało położyć temu kres, ale czy to przez indolencję, czy przez opacznie pojętą tolerancję po dziś dzień nie powzięto żadnych skutecznych środków. Wiadomo, o co chodzi! O wychowanie

---

<sup>13</sup> *Escándalo público* (hiszp.) – skandal publiczny.

<sup>14</sup> *Se les ve el plumero* (hiszp.) – poznać ich po pióropuszu. Pochodzenie tego wyrażenia jest związane z historią Hiszpanii. Po uchwaleniu Konstytucji Hiszpanii z 1812 powstała *Milicia Nacional* (Milicja Narodowa), która broniła idei liberalnych zawartych we wspomnianej konstytucji. Członkowie Milicji nosili czapki z pióropuszem, dzięki czemu byli widoczni z daleka. Dziewiętnastowieczna prasa zaczęła używać tego wyrażenia w znaczeniu „widać ich/jego tendencje polityczne”.

młodych pokoleń w atmosferze najdalej posuniętej demoralizacji, tak aby, gdy nadejdzie godzina ostatecznej próby, młodzież była niezdolna do oporu, do walki, w ogóle do żadnej reakcji.

Przewodniki po Madrycie roją się od ogłoszeń o wyraźnie stręczycielskim charakterze. Masaże dla klientów jednej i drugiej płci, „dyskrecja zapewniona”, specjaliści i specjalistki ze Wschodu, „najbardziej wyrafinowane gusty będą zadowolone”. Dawniej mówiło się *puta*, a nieco łagodniej *ramera*; obecnie *señorita cualificado* (wykwalifikowana), albo, żeby było bardziej naukowo, *señorita diplomada* (panna dyplomowana). Mam nadzieję, że tym razem nikt nie rzuci we mnie – jak to się dawno zdarzyło – ciężkim kamieniem z napisem *habeas corpus*. Wszystko, co napisałem, można sprawdzić notarialnie.

Lekarze biją na alarm: coraz wyższy procent młodzieży szkolnej i uniwersyteckiej wpada w objęcia narkomanii. I nie wchodzi w grę jedynie narkotyki stosunkowo łagodnie, jak np. haszysz czy marihuana, także te najgroźniejsze o fatalnych skutkach: kokaina, morfina... *Czerwona książeczka dla sztuby* nie tylko uważa używanie narkotyków za nieszkodliwe, lecz za wręcz korzystne, gdyż daje dzieciom godziwą rozrywkę. Spółkowanie jest także godziwe, a w każdym razie lepsze od masturbacji. Najpiękniej brzmi zdanie zawierające melancholijne westchnienie – tu zacytuję dosłownie – że aby zapobiec ciąży, „chłopcy muszą niestety używać prezerwatyw”. Istotnie, pigułek na użytek nieletnich szczeniaków jeszcze nie wymyślono.

Czytelnicy mają prawo wzruszać ramionami i oświadczyć: przecież rady zawarte w naszej książeczce nie mają nic wspólnego z marksizmem! Więc skąd ten tytuł *Marksistowskie czytanki dla dzieci*? Zgadzam się, zalecenia w książce zawarte nie mają nic wspólnego z dialektyką materialistyczną, ale tu nie chodzi o żadną teorię ani doktrynę. Natomiast wszystko świetnie się zgadza z komunistyczną strategią i taktyką moralnego rozkładania społeczeństw kapitalistycznych. I dlatego nie ma nic dziwnego w tym, że główną propagatorką tej książki w hiszpańskich szkołach średnich stała się bojowa posłanka komunistyczna, wspomniana już Cristina Almeida, ani w tym, że jej towarzysze partyjni wystąpili w jej obronie.

Jedno z najbardziej umiarkowanych czasopism madryckich napisało, komentując całą sprawę, że Almeida ma wielkie szczęście, mieszkając i działając w Hiszpanii. „Gdyby to zdarzyło się – znowu cytuję dosłownie – w Londynie albo Hamburgu, jej kariera natychmiast by

się skończyła. A w Związku Sowieckim poszłaby do obozu koncentracyjnego gdzieś na Syberii...” Rzecz prosta – wszystko, co jest zakazane w „ojczyźnie proletariatu”, jest godne poparcia na „zgniłym Zachodzie”, żeby gnił w jeszcze szybszym tempie.

Jeżeli ktoś chce, mogę zmienić tytuł niniejszego „worka”. Nie „marksistowskie czytanki” – lecz czytanki rozpowszechniane i zalecane przez marksistów. Niby nie to samo, ale skutki identyczne.

Szalenie lubię anegdoty, więc na zakończenie wybrana na chybił trafił jedna z nich, równie zabawna jak kompromitująca jej bohaterów. W jakimś katalońskim miasteczku burmistrz i ławnicy postanowili zmienić nazwę ulicy Cervantesa. Pewien ławnik początkowo energicznie protestował, ale następnie swój protest wycofał. Zmianę opinii uzasadnił następująco: „Koledzy z Rady Miejskiej wyjaśnili mi, że Cervantes był frankistą”. Cudownie! To zupełnie tak, jakby jakiś idiota zapragnął zniszczyć pomnik Kochanowskiego w moim starym Lublinie pod pretekstem, że Jan z Czarnolasu był... piśsudczykiem albo – o zgrozo – sanatorem.

Więc tak – niech żyje demokracja, precz z hiszpańskim frankizmem! Z polską sanacją, precz z polską sanacją! Niech żyje wolność! *¡Viva la libertad! ¡Arriba los imbéciles!*<sup>15</sup>

A co do Cervantesa, najlepiej wykreślić go z lektur szkolnych w ogóle. Dawniej sądzono, że był *hidalgo* (czyli szlachcicem), zatem feudalnym wyzyskiwaczem proletariatu, a teraz okazuje się dowodnie, że był także frankistą. Na trzysta lat przed przyjściem na świat generała Franco?! Ależ tak, to przecież jasne. Na tym właśnie polega przebiegłość faszystowska! Lekturę *Don Kichota* zastąpi *Czerwona książeczka dla sztuby*, zanim przyjdzie obowiązkowa lektura *Pism zebranych Lenina*. „Z Madrytu wprost do nieba”. Marksistowskiego.

*Marksistowskie czytanki dla dzieci*

N15, k. 29–33 r. Pdr. po modyfikacjach: *Marksistowskie czytanki dla dzieci*, „Wiadomości” 1980, nr 11 (cykl „Worek Judaszów”).

---

<sup>15</sup> *Viva...* (hiszp.) – Wiwat wolność! Niech żyją idioci!

## Deklaracja w sprawie ukraińskiej

W majowym numerze paryskiej „Kultury” (nr 5/356) ukazała się krótka, zaledwie półstronicowa, ale wielce treściwa *Deklaracja w sprawie ukraińskiej*. „Kultura” nie od wczoraj ani od przedwczoraj uprawia problematykę stosunków polsko-ukraińskich, przy czym wielokrotnie maczałem w tym już nie palec, lecz ręce aż po łokcie. Nowością w tym wypadku jest fakt niepośledniej wagi, że deklaracja ma charakter międzynarodowy. Podpisało ją czternaście osób, w tym siedmiu Polaków, pięciu Rosjan oraz Tibor Méray, redaktor naczelny „Irodalmi Újság”, węgierskiego (naturalnie emigracyjnego!) pisma literackiego, oraz Pavel Tigrid, redaktor kwartalnika „Svědectví”.

W deklaracji postawiono trzy zasadnicze sprawy (zakładam, że spora część czytelników „Tygodnia Polskiego” „Kultury” nie czytuje, a jeśli, to nieregularnie). Więc konieczny jest wyjaśniający cytat: „Po pierwsze... rzezi”<sup>16</sup>.

Deklaracja na pewno nie przypadnie do gustu tym wszystkim, którzy szanują zasadę niepodzielności krajów imperium sowiecko-rosyjskiego i boją się wszelkiej ingerencji w „wewnętrzne sprawy rosyjskie”, bo to według nich może przynieść narodowi polskiemu katastrofalne szkody.

---

<sup>16</sup> Cytat, do którego odwołuje się Łobodowski, w rękopisie został podany w formie skrótovej (zapewne do późniejszego przepisania), natomiast w pierwodruku prasowym został rozwinięty do formy następującej: „Po pierwsze, samą sprawę ukraińską. Po drugie, sprawę wszystkich innych *nacmienszenstw* (stanowiących już w sumie, od pewnego czasu, *nacbolszenstwo* w ZSSR), które aspirują do samostanowienia, do zagwarantowanego na papierze przez konstytucję sowiecką *prawa wychodu*. I po trzecie wreszcie, sprawę narodu imperialnego, dla którego tym lepiej będzie, im prędzej zrozumie, że likwidacja sowieckiego kolonializmu leży również w jego własnym interesie, bo ona tylko może zażegnać groźbę przyszej wzajemnej rzezi”. W kolejnych przypisach zastosowano rozwiązanie analogiczne.

Ale zakładam, że nawet niektórych zwolenników niepodległości Ukrainy i innych narodów, niegdyś podbitych przez Rosję, mogą uderzyć nieprzyjemne pewne akcenty użyte przez autorów deklaracji. By nie bawić się w ciuciubabkę, pokazuje palcem na główny akcent, który dla niejednego polskiego ucha zabrzmiał zgrzytliwie, a kto wie, może nawet wywołał oburzenie. Mam na myśli zdanie: „Nie można... imperializmu”<sup>17</sup>.

Nie uważam redakcji tego zdania za najszcześniejsze. Gdy redaktor „Kultury” zwrócił się do mnie z zapytaniem, czy zechcę podpisać deklarację, nie chciałem zgłaszać zastrzeżeń i spierać się o tekst, bo przecież owe zdanie nie jest w nim najważniejsze. Ale powtarzam: uważam ten zwrot o „wielowiekowym polskim imperializmie” za nieszczęśliwy. Według mnie wystarczyło stwierdzić, że w różnych okresach spotkały Ukrainę ze strony polskiej poważne krzywdy. Ponieważ zdanie o polskim imperializmie sąsiaduje ze zwrotem o imperializmie rosyjskim „ubiegłego stulecia i współczesnym imperializmem sowieckim”, nietrudno w czytelniczym pośpiechu odnieść wrażenie, że deklaracja stawia między imperializmem rosyjskim i polskim znak równości. Jestem absolutnie pewny, że autorzy tekstu myślą inaczej, ale nieszczęśliwa w tym wypadku redakcja może spowodować wiele nieporozumień i wnieść sporo zamieszania.

W tymże numerze „Kultury” zaraz po deklaracji zamieszczona została dłuższa recenzja mego pióra ze wspomnień Iwana Kedryna, wybitnego ukraińskiego publicysty. Zahaczyłem w niej o sprawę tego polskiego imperializmu tylko mimochodem. Zanim pokuszę się o jej zasadnicze omówienie, odpowiedni cytaty z recenzji: „Co do... okupantami?”<sup>18</sup>.

---

<sup>17</sup> „Nie można tu nie wspomnieć krzywd wyrządzonych Ukrainie ze strony wielowiekowego polskiego imperializmu”.

<sup>18</sup> „Co do oceny dalszej przeszłości, Kedryn nie unikał błędu wielce rozpowszechnionego w publicystyce, gdy ta wchodzi na teren historyczny (uwaga ta dotyczy nie tylko publicystów ukraińskich, także polskich, rosyjskich itd.): przykładą sprawdziany współczesne do dawno minionych wydarzeń. Stąd stale powtarzający się termin »polska okupacja« (także polska »zajmanczyna«, co brzmi jeszcze gorzej). Nie można stawiać znaku równania między średniowieczem i wiekiem! Ani wrzucać do tego samego worka wypraw Kazimierza Wielkiego i Jadwigi Andegawenki, sprzed przeszło sześciuset lat, oraz wojny polsko-ukraińskiej 1918–1919. Inne czasy, inni ludzie, inne pojęcia. Zresztą warto przypomnieć, że murów Halicza przed wojskami Jadwigi broniła załoga... węgierska... A Wielkie Xięstwo Litewskie, w którego skład wchodziła Ruś Kijowska (późniejsza Ukraina) połączyły się z Polską dobrowolną unią. Czy Władysława Jagiełłę, Kazimierza Jagiellończyka, czy nawet Zygmunta Augusta należy nazywać okupantami?”

Czy wyprawy obydwu Bolesławów (Chrobrego i Śmiałego) na Kijów można uznać za wczesne objawy rodzącego się polskiego imperializmu? Mam poważne wątpliwości. To może książę Włodzimierz, gdy wyprawił się „na Lachy”, także był imperialistą? A co z tym głośnym „Idu na was!” Światosława? A powstanie księstwa tarakańskiego na ziemi kaukaskiej?! Dajmy spokój, nie oceniamy tamtych wczesnych czasów ze stanowisk współczesnych, bo się tylko ośmieszymy!

Zarówno Korona Polska, jak i Wielkie Księstwo Litewskie znalazły się w wieku XIV w śmiertelnym zagrożeniu ze strony zakonu krzyżackiego. Unia stała się nakazem politycznego rozsądku. Litwini ogłosili Witolda bohaterem narodowym, a zapominają, że gdyby jego polityka wzięła górę nad Jagiełłą, po utracie Żmudzi przyszłaby kolej na Aukstotę. Czy jednej i drugiej nie groziłby aby los Prusów i Jadźwingów? Zastanawianie się nad tym, co by było, gdyby było, wcale nie jest takie głupie, jak się to niektórym wydaje.

Ileż to wojen zaczepnych prowadzili Polacy w ciągu wieków? Można było zlikwidować zakon krzyżacki w parokrotnych okazjach, nie wykorzystano żadnej. Następna wyprawa mołdawska Olbrachta, zakończona katastrofą na Bukowinie, miała bardziej charakter prewencyjny niż zaczepny. Zygmunt August i Batory prowadzili wojnę z Moskwą w obronie Inflant, niszczonych ogniem i mieczem przez wojska Iwana Groźnego. Wojny polsko-kozackie w wieku XVI to osobny rozdział, ale tam bardziej grały konflikty społeczne, religijne, gospodarcze niż jakiegokolwiek inne. Nawet Jaremy Wiśniowieckiego, Rusina z krwi i kości, nie można było nazywać imperialistą. To był ambitny książę, który chciał sobie zafundować udzielne państewko, oczywiście pod skrzydłami Rzeczypospolitej, bo nie było żadnej innej możliwości.

W wojnie trzydziestoletniej Rzeczpospolita lekkomyślnie udziału nie wzięła, jeśli nie liczyć zgody na użycie Lisowczyków po stronie cesarstwa (bitwa pod Białą Górą). W konsekwencji przyszły represje ordy Otomańskiej (Cecora, Chocim). Nonsensowną próbę wprowadzenia Zygmunta III Wazy na szwedzki tron można by uznać za akt imperialistyczny, gdyby chodziło o zabór, a to było jedynie niepotrzebne udzielenie pomocy dynastycznej, zresztą nieudolnie. Pomoc udzielona Dymitrowi Samozwańcowi, a potem „tuszyńskiemu złodziejowi”, to była prywatna kilku ambitnych magnatów. Smoleńsk, Kłuszyn, Carowe Zajmiszcze, Żółkiewski na Kremlu, car Wasyl Szujski w Malborku. A czy po wszystkich stratach terytorialnych Wielkiego Księstwa Litewskiego, poczynając od

Aleksandra i Zygmunta Starego, nie wolno było zwycięsko upomnieć się o owe utracone dziedziny? To nie były objawy polskiego imperializmu, lecz chwilowe zahamowanie dalszych postępów imperializmu moskiewskiego. Kto sądzi inaczej, niech przedstawi dowody.

Zawsze byłem i nadal jestem przekonany, że do prawdziwego pojednania między skłóconymi narodami może dojść tylko po wzajemnym przyznaniu się do popełnionych win i wyrządzonych krzywd. Jeśli rachunek sumienia ma być jednostronny, nic pozytywnego z tego nie wyniknie. Spowiedź powinna być obustronna. Nie mam najmniejszego zamiaru wybielania polskiej przeszłości w stosunku do Ukraińców. Ale Rzeczpospolita nigdy nie miała monopolu na wyrządzanie krzywd, a sama także często-gęsto bywała krzywdzona. Nie tylko po rozbiorach, również – znacznie wcześniej.

Nie ma i nigdy nie było narodów absolutnie niewinnych, czystych, anielskich. Podobnie nie ma i nigdy nie było narodów pozbawionych wszelkich zalet i zasług. Tylko tępi szowiniści skłonni są do takich nonsensownych uogólnień. Natomiast często zdarza się, że bilans zalet i wad ulega wahaniom w tę albo tamtą stronę. Bywa też, że cały naród nagle głupieje albo dostaje napadu gwałtownego amoku. Co do Polaków i Ukraińców, uważam, że jedni i drudzy zachowywali się przeważnie bardzo głupio, a po krótkich chwilach otrzeźwienia następowały znowu długie okresy politycznego pijaństwa i moralnego kociokwiku. A i dziś w naszych emigracyjnych obozach dzieje się nie najlepiej. Kto tego nie widzi, niech sobie kupi okulary.

Dobrze się stało, że ukazała się omawiana deklaracja. Dobrze się stało, że obok Polaków podpisali się Rosjanie, reprezentujący najnowszą emigrację. Źle się stało, że pod deklaracją zabrakło kilku innych nazwisk: polskich i rosyjskich. Jedno niezbyt fortunne zdanie w tekście nie jest w stanie nie zmienić pozytywnej opinii, podobnie jak nadmiar szminki nie pozbawia wdzięku urodzivej kobiecej twarzy, ale żadna deklaracja nie wystarczy tam, gdzie nie ma prawdziwej, rzetelnej współpracy. Rzetelnej, to znaczy wspartej lojalnością i wzajemnym zaufaniem.

Jeszcze jedno. Niewykluczone, że powstanie taka sytuacja międzynarodowa, która ułatwi realizację usprawiedliwionych dążeń uciemiężonych narodów. Takie sytuacje już powstawały w niedawnej i dalszej przeszłości i zawsze zostawały w całości lub częściowo zmarnowane. Głównie dlatego, że zainteresowani, zafascynowani swoimi partykularyzmami, nie potrafi zdobyć się na solidarne działanie. Zadaniem

naszych emigracji jest uczynienie wszystkiego, by tamte błędy nie powtórzyły się, gdy wybije właściwa godzina. Pilnujmy więc naszych zegarków, by znowu nie zawiodły.

*Deklaracja w sprawie ukraińskiej*

N6, k. 33 r, 35–37 r, 40 r, 44–45 r. W niniejszej edycji sygnalizowane przez Łobodowskiego cytaty zostały uzupełnione w oparciu o prasowy pierwodruk *Deklaracji* („Kultura” 1977, nr 5) oraz artykułu *Dzieje osiemdziesięciolecia* („Kultura” 1977, nr 5).

W N6 (k. 29–30 r) znajduje się inny wariant początku tekstu:

Oświadczenie w sprawie ukraińskiej, ogłoszone w majowym numerze paryskiej „Kultury”, zasługuje na komentarz. Nowością jest to, że oświadczenie podpisane zostało przez pisarzy i działaczy kilku narodowości. Są wśród nich Polacy i Rosjanie, jeden Węgier i Czech. Wielka szkoda, że zabrakło przedstawicieli innych narodowości.

Podpisałem oświadczenie w przekonaniu, że jest słuszne w zasadniczej treści. Nie uważałem za wskazane spierać się o niektóre sformułowania, niezupełnie moim zdaniem słuszne. Wiem, że budziły zastrzeżenia, co więcej, przypuszczam, że spowodują gwałtowne ataki. Nie szkodzi. Gdy chodzi o sprawy równie ważne, jak zasadnicze, niech będzie takich zastrzeżeń jak najwięcej. Odkąd zacząłem uprawiać publicystykę, dawno, początek był w roku 1932, zawsze stałem na stanowisku, że każdy naród ma prawo do samostanowienia, a więc również naród ukraiński, niezależnie od tego, jak się w przyszłości ułożą z nimi nasze, polskie stosunki. To zasada, a jej interpretacje mogą być różne, byleby tej zasady nie naruszały. Krótko i węzłowato: naród ukraiński ma prawo stanowić o swojej przyszłości, o wyborze formy państwowej i własnym powołaniu kulturalnym – i nikomu nie wolno tego kwestionować w imieniu żadnych racji narodowych czy państwowych, choćby mu się wydawały jak najbardziej słuszne.

Przez długi czas odmawiano Ukraińcom prawa do własnej narodowości. Z różnych stron – wykorzystywano sfalszowane racje historyczne oraz lingwistyczne. Wymienię kolejno owe racje, by mnie nie posądzono, że sobie ułatwiam zadanie. Istotnie, nazwa Ukraina była przez dłuższy czas pojęciem jedynie geograficznym. I cóż z tego? Nazwa Rumunia zjawiła się dość późno, uprzednio wchodziła w grę jedynie Mołdawia, Wołoszczyzna i Siedmiogród, aż wreszcie zjawiła się

ogólna świadomość narodowa obejmująca wszystkie części terytorium narodowego. A czy pojęcie Rosji i narodu rosyjskiego istniało przed drugą połową XVIII stulecia? Nie istniało. Więc jakim prawem możemy odmawiać Rusinom nazwy Ukraińców, skoro tak się im spodobało? Gdy jakiś naród dochodzi do samookreślenia się, nie wolno mu tego odmawiać, chyba że zaprzeczmy istnienia tego narodu, co, oczywiście, byłoby idiotycznym absurdem. To, że świadomość odrębności narodowej przyszła z pewnym opóźnieniem, niczego nie zmienia i nie stanowi żadnego argumentu. Oto bolesne przypomnienie: ci chłopcy polscy, którzy wyłapywali powstańców 1863 roku, oddawali ich w ręce rosyjskich żandarmów, nie przyznawali się do żadnego pokrewieństwa z polskimi panami. Po pięćdziesięciu latach wszystko się zmieniło, polski chłop poczuł się członkiem narodu, ale przedtem tej świadomości nie było. Jakże, jeszcze w latach trzydziestych spotykałem na Lubelszczyźnie starych chłopów, którzy na brunatnych sukmanach nosili z dumą brązowe medale z napisem *Za usmierzenie polskowo miatieża* – za uśmierzenie polskiej rebelii. Ładnie? Ale synowie tych chłopów już się czuli Polakami i bili się w latach 1919–20 z bolszewikami, a ich wnucy stawiali bohaterski opór hitlerowskiemu okupantowi. Z Ukraińcami stało się mniej więcej to samo, choć z pewnym opóźnieniem. Ale kalendarz w takich wypadkach nie decyduje. Decyduje świadomość i ofiarnie przelana krew.

Najwyższy czas, abym powiedział, które ze sformułowań oświadczenia nie uważam za całkowicie słuszne. Właściwie, chodzi tylko o jedno jedyne sformułowanie, to mianowicie które na samym wstępie mówi o...

## Szklane domy i Hegel

Cezary Baryka przejął się hasłami rewolucji rosyjskiej i „zbolszewiczył” w dalekim kaukaskim Baku. Jednak wrócił wraz z matką do kraju, a po drodze spotkał umierającego ojca, który mu przekazał wizję „szklanych domów”. Ale rzeczywistość, jaką Czarus zastał w ojczyźnie, niczym tej wizji nie przypominała. To wszyscy znają, nie potrzeba szczegółów przypominać. Młody Baryka wziął naukę przez udział w wojnie polsko-bolszewickiej, ale krótki pobyt w ziemiańskim dworze pogłębił jego rozczarowanie. I w końcowej scenie *Przedwiośnia* znalazł się na czele zrewolucjonizowanego tłumu prącego na Belweder. Czy jednak dzieje przemian ideowych Czarusia były typowe dla zradykalizowanej młodzieży w Polsce owego okresu, jak dość ogólnie, a zbyt pochopnie uznano? Na podstawie moich osobistych doświadczeń twierdzę, że wręcz odwrotnie. Trzeba to uzasadnić.

Pozwolę sobie przypomnieć, że Tymon Terlecki dużą recenzję o moim tomie *Rozmowa z ojczyzną*, ogłoszoną w „Tygodniku Ilustrowanym”, zatytułował *Wiersze Cezarego Baryki*, a może *Poezje Cezarego Baryki?* – już dokładnie nie pamiętam<sup>19</sup>. Ta drobna różnica rzeczy nie zmienia.

Analogia przeprowadzona przez Terleckiego była wielce efektowna, ale chyba tylko częściowo słuszna. Wtedy i przez długi czas później nie zdawałem sobie z tego sprawy; obecnie widzę to o wiele jaśniej. Zbieżności były oczywiście niewątpliwe, ale nie zabrakło także bardzo poważnych różnic. Czarus przeżył dwie tragedie osobiste: śmierć Karoliny i małżeństwo Laury. To pierwsze nie miało zbyt wielkiego

---

<sup>19</sup> Mowa o tekście Tymona Terleckiego *Poezje Cezarego Baryki. Rzecz o Łobodowskim*, opublikowanym na łamach „Tygodnika Ilustrowanego” (1937, nr 16).

znaczenia, bo nie łączyło się z żadną kwestią społeczną; to drugie było w pewnym sensie decydujące. Ale Żeromski także sporo po prostu bardziej zgadywał, niż mógł zaobserwować. Przebieg zebrania, na którym Czarus stał się z członkami Partii Komunistycznej Polski, nie wypadł dostatecznie przekonywająco.

W jednym z czasopism emigracyjnych (konkretnie w paryskiej „Kulturze”) stały się niedawno dwie wersje, dotyczące procesu radykalizowania się części młodzieży w dwudziestolecie niepodległości. Z grubsza biorąc, chodziło o to, czy ten proces wypływał z przesłanek moralnych, czy doktrynalnych. „Ukąszenie Hegła”, jak to obrazowo ujęto, czy protest moralny, bunt sumienia, rzadko kontrolowany rozumowo? Twierdzę bez żadnych zastrzeżeń, że to drugie, choć naturalnie zdarzały się wypadki o wiele bardziej skomplikowane. Nie były one w stanie zmienić ogólnego krajobrazu.

Mój ojciec, podobnie jak stary Baryka, umarł na krótko przed spóźnioną repatriacją. Do kraju nie wrócił, pozostał na dalekim kaukaskim cmentarzu. Ale często mawiał przed śmiercią, że wolałby być w Polsce stróżem niż w Sowietach dygnitarzem. To nie była żadna wizja „szklanych domów”, proste, praktyczne stwierdzenie przeniknęło jednak głęboko do mojej świadomości i wyobrażeń. Ja także, jak Czarus, z miejsca natychmiast dostrzegłem nędzę i niesprawiedliwość. Początkowo zagrała różnica wieku: bohater Żeromskiego był prawie mężczyzną, ja – trzynastoletnim chłopakiem. W lubelskim gimnazjum przeważali synowie zamożnych i urzędniczych rodzin; wśród tych kolegów nie mogłem liczyć na sojuszników: byli to w większości kandydaci bardziej na przyszłych korporantów niż na rewolucjonistów.

Są tacy niewydarzeni publicyści emigracyjni (przy okazji wymienię tak niezbyt zaszczytne nazwiska), którzy mi wytykają moją komunistyczną przeszłość. Jeden z nich napisał, że „czym skorupka za młodu nasiąknie itd.” Można, czemu nie! Ale moje złudzenia promarksistowskie trwały krótko, akurat tyle, ile młody chłopak potrzebował, aby po intensywnych lekturach i doświadczeniach przekonać się o tym, że doktryna jest fałszywa, zaś praktyka barbarzyńska. W przedwojennych „Wiadomościach Literackich” można przeczytać, jeśli się ktoś zainteresuje, dwa artykuły pt. *Smutne porachunki* i *Uzurpatorzy wolności*<sup>20</sup>; narobiły

---

<sup>20</sup> *Smutne porachunki* ukazały się na łamach „Wiadomości Literackich” w 1935 roku (nr 43), zaś *Uzurpatorzy wolności* rok później (1936, nr 31).

wtedy wiele złej krwi i popsuły robotę macherom od „wspólnego frontu”. To są rzeczy utrwalone czarną czcionką na białym papierze, więc innych dowodów mi nie potrzeba.

Jak wyglądała przedwojenna komuna na w poszczególnych środowiskach społecznych? Służę wyjaśnieniami. Najlepiej znałem Lubelszczyznę, ale stykałem się także z tymi zagadnieniami w W-wie, w Łodzi, na Górnym Śląsku. Nie sądzę, by ktoś mógł moje doświadczenia rzetelnie zakwestionować. Więc po kolei.

Popularnie mówiło się ówczesnie o „polskiej ulicy” i „żydowskiej ulicy”. Ktoś tam szczebioce od lat, zapewniając, że do komunizmu doprowadziły go oglądane w dzieciństwie i młodości żydowskie krzywdy i praktyki antysemitki. Ejże! Istniały w Polsce i działały organizacje młodzieżowe, dalekie od komunizmu, które antysemitki hec nie urządziły, przeciwnie – stroniły od nich i energicznie się im przeciwstawiły. Gdy więc ktoś twierdzi, że jedynym sposobem na przeciwstawianie się antysemityzmowi był akces do komunistów, ordynarnie fałszuje przeszłość. Świadców na to nie brakuje.

Na „ulicy żydowskiej” w miastach i przeludnionych miasteczkach panowała śmierdząca nędza. Takie lubelskie Podwale; dzielnica na zboczach wzgórz, na których wznosi się Stare Miasto; jak sama nazwa wskazuje, za murami, pod obronnymi wałami, więc właśnie Podwale. To były drewniane domki, pozbawione wody i kanalizacji, siedlisko głodu i chorób, nigdy nie odwiedzane przez lekarzy (jeśli nie liczyć wielkiego filantropa, doktora Jana Arnsztajna), eksploatowane przez lichwiarzy; produktora rachitycznych i gruźliczych dzieci i nieletnich prostytutek. Czy można było się dziwić, że co energiczniejsze jednostki, wyrrywające się z tego smrodu i skrajnej nędzy, szukały również skrajnych rozstrzygnięć? Znajdowały je w komunizmie.

Ale nie brakowało uczonych marksistowskich cadyków, którzy po świadomym odejściu od hebrajskiej ortodoksji żerowali na biedzie i rozpaczliwych wydziedziczonych i pozbawionych wszelkiej nadziei. Oglądałem to z bliska, współżyłem przez jakiś czas z tą straszliwą biedą, a kiedy od niej odszedłem, nigdy nie byłem w stanie o tamtych doświadczeniach zapomnieć. Ciekaw jestem, ile osób wie, że krakowski Kazimierz, nędzarskie żydowskie getto, był jedynym miejscem w Europie, gdzie bez przerwy szalał plamisty tyfus? To nie moje odkrycie, przeczytajcie sobie wyspecjalizowane w tych sprawach czasopisma medyczne, wychodzące przed drugą wojną światową w Europie Zachodniej!

Na „ulicy polskiej” wyglądało to zgoła inaczej. W dzielnicach robotniczych skutecznym hamulcem był PPS, choć niekiedy tracił kontrolę. Na przykład w tak zwanych TUR-ach, czyli Towarzystwach Uniwersytetów Robotniczych, infiltracja komunistyczna stawała się w ostatnich latach coraz intensywniejsza, co najmniej na terenach, które znałem, na przykład w tymże Lublinie.

Spotykałem się i z takim zdaniem, że jedynym autentycznym marksistą w Polsce jest Andrzej Stawar. Mawiano z przekąsem: Władzio Broniewski przeczytał parę propagandowych broszurek, ale *Kapitału* Marksa nigdy nie miał w ząbkach. A gdyby nawet pod wpływem alkoholowego impulsu na to się zdobył, to i tak nie zrozumiałby ani setnej części. Chętnie wierzę!

W środowisku literackim (zwłaszcza warszawskim) lewicowość była wynikiem nie tyle przekonań, co swoistego snobizmu: nie wypadało inaczej, trzeba było wykazywać się postępowością, a postęp, jak wiadomo, jest monopolem lewicy. Dochodziło na tym tle do takich zabawnych deklaracji jak Elżbiety Szemplińskiej, która zapewniała, że ma „świadomość proletariacką we krwi”. Jak na córkę zamożnej mieszczkańskiej („burżuazyjnej”) rodziny, całkiem niezłe! Obnoszono się z pisarzami sowieckimi, gdy któryś z nich raczył zjechać do Warszawy: z Majakowskim, Erenburgiem, Kolcowem... Ach, ach, Zofia Nałkowska niemal mdlała w ekstazie na widok tego ostatniego: „Taki przystojny, młody Scyta!”. Kolcow niedługo cieszył się urodą życia; wkrótce po powrocie z Hiszpanii, gdzie przez jakiś czas był korespondentem wojennym, został rozstrzelany na rozkaz Jeżowa.

W okresie odprężenia polsko-sowieckiego spróbowano wymiany kulturalnej i doszło do zabawnie skandalicznego incydentu. Może nie wszyscy o nim wiedzą, niektórzy pewnie zapomnieli – warto przypomnieć. Otóż w roku 1933 powstał pomysł, żeby „Wiadomości Literackie” wydały specjalny numer poświęcony w całości literaturze sowieckiej, jednocześnie miał się ukazać podobny numer moskiewskiej „Gazety Literackiej” poświęcony współczesnej literaturze polskiej. *Skazano, zdiełano*<sup>21</sup> – uzgodniono, podjęto decyzję, przystąpiono do dzieła. Obydwa numery wyszły – i cóż się okazało?

Już na pierwszy rzut oka – ogromna różnica: numer „Wiadomości” okazały, chyba trzydzieści stron druku, na pięknym półkredowym

---

<sup>21</sup> *Skazano...* (ros.) – powiedziano, zrobiono.

papierze; numer „Gazety” znacznie szczuplejszy, format mniejszy, papier lichej. Ale nie to było najbardziej ważne. Wkrótce wyszło na jaw, że ten numer ukazał się poza kolejną numeracją, w minimalnym nakładzie, do sowieckich prenumeratorów nie dotarł, w księgarskiej sprzedaży nie objawił się. Egzemplarze poszły do Polaków, by zamydlić im oczy. Typowe oszustwo, ale nie dość sprytnie dokonane, więc udać się nie mogło. Osławiony Potiomkin musiał błogosławić zza grobu tej fałszerzkiej operacji.

Było po tym sporo śmiechu i trochę złorzeczenia. Przyglądałem się nie bez zdumienia i stwierdziłem, że tego rodzaju (i jeszcze gorsze) sowieckie posunięcia w niczym nie naruszały „świadomości proletariackiej” takich typów jak Lucjan Szenwald, Leon Pasternak, Stanisław Ryszard Dobrowolski, wspomniana Szemplińska *e tutti quanti*<sup>22</sup>. Broniewski z niezadowoleniem trochę pomruczał, zaklął po rosyjsku „w matkę” i poszedł na wódkę, ale to w ścisłym gronie najbliższych przyjaciół; na zewnątrz wołał się nie wychylać.

Mógłbym takie historyjki opowiadać godzinami. Przysięgam, że Hegla przy tym wszystkim nie było ani na lekarstwo. A „szklane domy”? Podobno wznoszono je, ale nie w Polsce. W Sowietach.

#### *Szklane domy i Hegel*

N6, k. 10–14 v. Pdr. po modyfikacjach: *Szklane domy i Hegel*, „Wiadomości” 1977, nr 30 (cykl „Worek Judaszów”).

---

<sup>22</sup> *E tutti...* (wł.) – i cała reszta.

[17 września 1974 r...]

17 września 1974 roku w katedrze św. Jana w Warszawie została odprawiona msza za dusze żołnierzy polskich poległych w kampanii wrześniowej 1939 roku, otwierającej tragiczną walkę drugiej wojny światowej. Dlaczego wybrano właśnie tę datę, a nie inną? Ciekawe, że nawet władze komunistyczne nie zdawały sobie z tego sprawy. Data nie została wybrana przypadkowo, miała swoje ogromne znaczenie i wyraźnie antysowiecki przekaz.

Podczas mszy ks. Jan Zieja wygłosił sugestywną przemowę, o której zaraz powiemy. Po wymienieniu nazwisk pięciu generałów poległych w dniach 16–22 września oraz wszystkich poległych, ze szczególnym uwzględnieniem zamordowanych żołnierzy, którym odmówiono śmierci wojskowej (wyraźna aluzja do rozstrzelanych w grobach katyńskich), ojciec Zieja przypomniał starą piosenkę z czasów walki z carską Rosją: „Może polegniemy na polu chwały, może zgnijemy w syberyjskich lasach, ale z naszego wysiłku i potu Polska odrodzi się do życia”.

Kim jest ojciec Zieja? Pochodzi ze Śląska, w bardzo młodym wieku walczył w pierwszej wojnie światowej, potem przyjął święcenia kapłańskie. Kiedy w czasie okupacji niemieckiej w 1940 roku powstała Armia Krajowa, ks. Zieja został kapelanem Sztabu Generalnego. 1 sierpnia 1944 roku wybuchło trwające ponad dwa miesiące powstanie warszawskie, którego tragicznym bilansem było niemal całkowite zniszczenie stolicy i ponad dwieście tysięcy ofiar śmiertelnych wśród powstańców i ludności cywilnej. Ksiądz Zieja był w tamtych czasach na Mokotowie w jednym z najsilniejszych bastionów powstańczych. Nie zapominając o udzieleniu duchowego pocieszenia umierającym, trwał ze swoim ludem na barykadach z karabinem w dłoni. W rezultacie komunistyczna propaganda

nigdy nie odważyła się przypisać mu pozycji kolaboranta z nazistami, chociaż bardzo chętnie by to zrobiła.

17 września 1939 rok. Niech czytelnicy pozwolą mi zwrócić uwagę na ten dzień. Tydzień wcześniej niemieckie dywizje próbowały szturmem zdobyć historyczny Lwów (Leopol<sup>23</sup>) – bezskutecznie. Nadeszły posiłki, wśród nich dywizja strzelców alpejskich Berchtesgaden (*Alpensjeger*), wyborowa jednostka bawarska. 10. Brygada Kawalerii Zmotoryzowanej, w której szeregach pełniłem służbę, zaatakowała Bawarczyków o świcie piętnastego; wspierało nas kilka oddziałów piechoty i ciężka artyleria z Wysokiego Zamku we Lwowie, który górował nad wszystkimi okolicznymi wzgórzami. Po raz pierwszy od dwóch tygodni, po nieprzerwanej walce w odwrocie, przystąpiliśmy do ataku. Bawarczycy dzielnie stawiali opór ostrzałowi artyleryjskiemu, ale gdy nadarzyła się okazja do walki na otwartej przestrzeni, z bagnetem na broni ustępowali.

Trzy dni nieprzerwanej walki, od 15 do 17 września, straty były ogromne po obu stronach, ale posuwaliśmy się naprzód, spierając się o ziemię piędz po piędzi; dla wszystkich, od najwyższych dowódców do ostatniego żołnierza, było oczywiste, że jeszcze jeden lub dwa dni i bitwa się skończy. Nadszedł świt osiemnastego, jak zwykle przemówiło wiele armat, potem ruszyły do akcji karabiny maszynowe; pierwsze linie czekały na rozkaz do ataku. Nagle wszystko ucichło. Przyszedł rozkaz wycofania się. Co? Dlaczego? Przecież już ich mieliśmy. Nikt nic nie wiedział. Brygada wyruszyła na południowy wschód, a po pięćdziesięciu kilometrach skierowała się prosto na południe, pytaliśmy zdumieni: „A może chodzi o to, żeby przeprowadzić manewr okrążający?”. Wątpliwości trwały jeszcze kilka godzin. W pewnym momencie musieliśmy się zatrzymać i chwilę poczekać, bo główna droga była zalana wojskami i wszelkiego rodzaju pojazdami.

Z bardzo bliska zobaczyłem cerkiew greckokatolicką (obrzędku wschodniego) z jej charakterystycznymi kopułami. Obok, między drzewami, dom parafialny z anteną na dachu. Ma radio – pójdę się rozerwać – pobiegłem do budynku. Ksiądz wyszedł na spotkanie ze mną, bardzo stary z długą, białą brodą. Przywitałem się z nim i zapytałem, czy coś wie. „Czy wy nic nie wiecie? – powiedział po ukraińsku i zaczął płakać. – Wczoraj rano wojska bolszewickie przekroczyły granicę. Biada nam wszystkim!”

---

<sup>23</sup> Hiszpanie często używają nazwy Leópolis.

Następnego dnia dotarliśmy w pobliże granicy węgierskiej. Pierwszy etap wojny zakończył się dla nas. Mówiono potem, że kiedy wojska sowieckie wkroczyły do Polski, walki całkowicie ustały i dlatego decyzja Stalina nie miała znaczenia militarnego. Zignorowano fakt, że Warszawa broniła się jeszcze przez dziewięć dni, a umocnione twierdze w Modlinie i na Helu przez prawie trzy tygodnie. W niektórych regionach opór regularnych oddziałów trwał do połowy października. Ale oczywiście: propagandzie sowieckiej było wygodnie zapewniać, że nie odegrali żadnej roli militarnej, a Niemcom, że Wehrmacht nie otrzymał sowieckiej pomocy. Zachodni sojusznicy Polski również woleli udać, że sprawa ich nie dotyczy i nawet nie rozważali uznania inwazji sowieckiej za akt wojny.

Znacznie później, już pod koniec wojny, w archiwach Kancelarii III Rzeszy odkryto tajny dokument, do którego dołączony był historyczny pakt o nieagresji Ribbentrop-Mołotow – dokument ten przewidywał zbrojną interwencję Związku Sowieckiego przeciwko Polsce. Po przekształceniu Polski w PRL, a więc kolejnego satelitę Moskwy, prawdy historyczne były ukrywane, fałszowane aż do 17 września 1974 roku, kiedy stanowczy i odważny głos starego polskiego księdza wyjawiał sprawę tysięcy wiernych. Poniżej najważniejsze akapity kazania ojca Jana Ziei.

„Zgromadziliśmy się dzisiaj w świątyni Boga wszystkich narodów, aby modlić się o wieczny odpoczynek dla naszych poległych. Data 17 września ma swoje znaczenie. Mija 35. rocznica dnia, w którym walcząca Polska została zaatakowana od wschodu. Z gorzką pamięcią o tym wydarzeniu stajemy tutaj przed naszym Panem... Jak możemy znieść wspomnienie tego ciosu, otrzymanego niespodziewanie ze wschodu? My, chrześcijanie, nie tylko, kiedy przystępujemy do Komunii Świętej, ale nawet kiedy odmawiamy *Ojcze nasz*, mamy obowiązek przebaczyć...”

Tego kazania wysłuchały tysiące polskich wiernych zgromadzonych nie tylko pod gotyckimi murami katedry św. Jana, ale także na Rynku Starego Miasta i przyległych uliczkach, gdyż tłum nie mieścił się w świątyni. Ci, którzy pozostali na zewnątrz, słyszeli kazanie przez głośniki. W ciągu kilku dni cały naród dowiedział się o tekście kazania poprzez druki i ulotki. Ten tekst rozszedł się po całym kraju lotem błyskawicy.

Słowa księdza Ziei należy dedykować wiecznym głupcom Zachodu, którzy mocno wierzą w suwerenność i wolność wszystkich narodów ciemionych przez Sowietów. A przede wszystkim tym księżom, którzy bardziej niż w Chrystusa Ukrzyżowanego wierzą w kpiny Karola Marksa

i azjatycki uśmiech Lenina, starając się przedstawiać system sowiecki jako ideał i wzór do naśladowania.

*À propos:* w Polsce jest więcej powołań kapłańskich niż we Francji, Włoszech i Hiszpanii razem wziętych. Paradoks? Nie, raczej logiczne i naturalne zjawisko. Chodzi o to, że życie polskiego księdza jest bardzo ciężkie. Wiarę wzmacniają przeciwności. Chrześcijaństwo zostało wzmocnione krwią męczenników. Być może uznają mnie Państwo za człowieka reakcyjnego i zacofanego, niezdolnego do zrozumienia ducha naszych czasów. Nie chodzi o to, że tego nie rozumiem; wręcz przeciwnie: rozumiem i odrzucam. Między Kościołem a Wojskiem istnieje pewne podobieństwo. Kiedy Wojsko jest dzielne i zachowuje ducha wojskowego, przyciąga ochotników; kiedy Wojsko upada, nawet rekruci dezertują. To samo dzieje się z Wojskiem kapłańskim.

Cóż, muszę tylko dodać, że nie jestem ani księdzem, ani zawodowym żołnierzem – jestem pisarzem, a dokładniej poetą lirycznym. Starożytni mówili, że *Inter arma silent Musae*<sup>24</sup>. To nie jest prawda. My polscy poeci wiemy, jak oddać hołd Muzom, nie rozstając się z bronią. Świadectwo, które nie pozostawia żadnych: nazwiska poetów, którzy polegli na polu chwały, a jest ich wielu. Może to też brzmi staroświecko. Co to jest honor? To jest coś, towarzysze, co może jeszcze uratować naszą cywilizację, bardziej zagrożoną przez piątą kolumnę niż przez wroga zewnętrznego.

*Przełożył Grzegorz Bąk*

[17 września 1974 r...]

N2, k. 15–17 r. Tekst napisany w języku hiszpańskim. Poniżej podajemy zapis w wersji oryginalnej.

**E**l día 17 de septiembre de 1974 en la catedral de San Juan, en Varsovia, se ha celebrado la misa en sufragio de las almas de los soldados polacos, caídos en la campaña de septiembre de 1939, la que abrió la trágica contienda de la segunda guerra mundial. ¿Por qué ha sido elegida precisamente esta fecha y no otra cualquiera? Lo curioso es que incluso las autoridades comunistas no se dieron cuenta de ello. La fecha no ha sido elegida al azar, tenía su enorme significado de marcado carácter antisoviético.

---

<sup>24</sup> *Inter...* (łac.) – pośród oręża milczą muzy.

Durante la misa el padre Jan Zieja ha pronunciado una elocuente plática de la que enseguida hablaremos. Después de mencionar los nombres de los cinco generales, que cayeron en el campo de batalla, entre el día 16 y 22 de septiembre, ya todos los caídos, dando especial mención a los soldados asesinados, a los que fue negada la muerte castrense (clara alusión a los fusilados en las fosas de Katyn), padre Zieja ha recordado una vieja canción de los tiempos de la lucha contra la Rusia zarista: “Tal vez caeremos en el campo de batalla, tal vez nos pudriremos en las selvas siberianas, mas de nuestro esfuerzo y sudor Polonia resucitará para la vida”.

¿Quién es padre Zieja? De procedencia silesiana había luchado de muy joven durante la primera guerra mundial, luego se ha ordenado sacerdote. Cuando durante la ocupación alemana, en 1940, se ha formado la llamada Armia Krajowa (Ejército del País o del Interior) padre Zieja llegó a ser capellán del Estado Mayor. 1 de agosto de 1944 ha estallado el Levantamiento de Varsovia que ha durado más de dos meses, cuyo trágico balance ha sido casi total destrucción de la capital y más de doscientos mil muertos entre los insurrectos y la población civil. Padre Zieja se encontraba en aquellos días, en el barrio de Mokotów en uno de los más firmes baluartes de los levantados. Sin olvidar en dar los consuelos espirituales a los moribundos, seguía con los suyos en barricadas con el fusil en la mano. En consecuencia, la propaganda comunista nunca se atrevía atribuir a él la postura colaboracionista con los nazis, aunque lo hubiera hecho a gusto.

17 de septiembre de 1939. Que los lectores me permiten señalar este día. Una semana antes las divisiones alemanas intentaron tomar la histórica ciudad Lwów (Leopol) por asalto— inútilmente. Llegaron los refuerzos. entre ellos la división de los fusileros alpinos de Berchtesgaden (Alpensjeger), unidad bávara, escogida. La 10 brigada de caballería motorizada, en cuyas filas estaba enrollado, atacó a los bávaros en la madrugada del día 15; nos secundaban varios destacamentos de infantería y la artillería pesada, desde el Castillo Alto de Leopol, que dominaba todas las colinas cercanas. Por primera vez desde hace dos semanas, después de interrumpidas luchas en retirada hemos pasado al ataque. Los bávaros resistían bravamente el fuego artillero, mas cuando se presentaba la ocasión de luchar a campo limpio, con bayoneta calada, y bomba de mano, cedían.

Tres días de lucha sin cesar, de 15 a 17, las bajas eran tremendas por ambos lados, pero avanzábamos, disputando la tierra palmo por palmo;

para todos desde los altos jefes hasta último soldado, era evidente que un día o dos días más y la batalla habrá terminado. Amaneció el día 18, como de costumbre hablaron muchos cañones, luego entraron en acción las ametralladoras; las primeras líneas esperaban el orden de pasar al ataque. De repente, todo enmudeció. Llegó orden de retirarse. ¿Cómo? ¿Por qué? Si ya eran nuestros. Nadie sabía nada. Toda la brigada ha tomado rumbo hacia el sureste y después de unos cincuenta kilómetros directamente hacia el Sur, ¿Es que se trata— preguntamos bastante asombrados— de efectuar un movimiento envolvente? Las dudas duraban algunas horas más. En cierto instante hemos tenido que pasar y esperar un rato, porque la carretera principal estaba inundada de tropa y vehículos de toda clase.

Muy de cerca vi la iglesia greco-católica (rito oriental) con sus características cúpulas. Al lado entre árboles la casa de párroco con antena en el tejado. Tiene radio— voy a entretenerme— corrí al edificio. A mi encuentro salió el sacerdote, muy viejo, con luenga barba blanca. Le saludé y le pregunté si sabía algo. ¿Es que no estáis enterados?— dijo en ucraniano y se puso a llorar—. Ayer por la mañana, las tropas bolcheviques atravesaron la frontera. ¡Ay de todos nosotros!”

Al día siguiente hemos llegado a la proximidad de la frontera de Hungría. La primera etapa de la guerra ha terminado para nosotros. Luego se dijo que cuando las tropas soviéticas entraron en Polonia, la lucha ha cesado por completo y por tanto la decisión de Stalin no ha tenido ningún significado militar. Se hizo caso omiso, del hecho de que Varsovia ha resistido nueve días más, y los campos atrincherados de Modlin y Hel casi tres semanas. En algunos sectores la resistencia de las tropas regulares se ha prolongado hacia días muy entrados de octubre. Pero claro: a la propaganda soviética le convenía asegurar que ellos no jugaron ningún papel militar, y a la alemana, que Wehrmacht, no ha recibido ninguna ayuda soviética. Los aliados occidentales de Polonia también prefirieron no darse por aludidos y no llegaron a considerar la invasión soviética como acto de beligerancia.

Ya mucho más tarde, al terminar la guerra, en los archivos de la cancillería del Tercer Reich se descubrió el documento secreto, que completaba el histórico pacto de no agresión, Ribbentrop-Mołotow— en este documento estaba prevista la intervención armada de la Unión Soviética contra Polonia. Después de convertirse Polonia en la República Popular y por lo tanto en otro satélite de Moscú, las verdades históricas quedaron ocultas, falsificadas. Hasta que el día 17 de septiembre de 1974

la voz firme y valiente de un viejo sacerdote polaco ha puesto ante miles de fieles las cosas en su punto. He ahí en continuación los párrafos más significativos de aquella plática del padre Jan Zieja.

“Nos hemos reunido hoy en el templo de Dios de todas las naciones para rezar por el eterno descanso de nuestros caídos. La fecha de 17 de septiembre tiene su significado. Es el 35 aniversario del día en que a Polonia en lucha atacaron desde Oriente. Con amargo recuerdo de aquel hecho estamos aquí ante nuestro Señor... ¿Cómo tenemos que aguantar el recuerdo de este golpe, recibido inesperadamente desde el Este? Nosotros los cristianos cuando no solo nos acercamos a la Sagrada Comunión, sino incluso cuando rezamos Padre Nuestro, tenemos la obligación de perdonar...”

A esta plática le oyeron miles de fieles polacos, congregados no solo bajo las paredes góticas de la catedral de San Juan, sino también en la Plaza Mayor del barrio viejo y las calles adyacentes, ya que muchedumbre no cabía en el templo. Los que quedaron fuera oyeron la plática a través de los altavoces. Dentro de pocos días toda la nación se ha enterado por medio de los impresos y octavillas del texto de la plática. Este texto corrió por todo el país como la pólvora incendiada.

Hay que dedicar las palabras del padre Zieja a los eternos tontos del Occidente que creen firmemente en la soberanía y libertad de todos los pueblos oprimidos por los Soviets. Y ante todo a estos curas que creen más en las burlas de Karl Marx y en la sonrisa asiática de Lenin que en Cristo Crucificado, e intentan presentar el sistema soviético como ideal y modelo a seguir.

A propósito: en Polonia hay más vocaciones sacerdotales, que en Francia, Italia y España juntas. ¿Paradoja? No, más bien un fenómeno lógico y natural. Es que la vida del sacerdote polaco es muy dura. La fé se fortalece con la dureza. El cristianismo se fortaleció con la sangre de los mártires. Tal vez Ustedes me van a considerar como un hombre reaccionario y atrasado, incapaz de entender el espíritu de nuestro tiempo. No es que no lo entiendo; todo lo contrario; lo entiendo y lo rechazo. Entre la Iglesia y el Ejército hay bastante parecido. Cuando un Ejército es entero y conserva su espíritu castrense, atrae a los voluntarios; cuando el Ejército se desmorona, incluso los reclutas se convierten en desertores. Lo mismo pasa con el Ejército sacerdotal.

Bueno, solo me queda añadir, que no soy ni cura ni militar de carrera— soy escritor y para más señas, poeta lírico. Los antiguos decían

que Inter arma silent Musae. No es verdad. Nosotros, los poetas polacos, sabemos rendir el homenaje a las Musas, sin desprenderse de las armas. El testimonio, que quede fuera de toda duda: los nombres de poetas que cayeron en el campo de honor y son muchos. Tal vez esto también suene anticuado... ¿Qué es el honor? Es algo, camaradas, que todavía puede salvar nuestra civilización, más amenazada por quintas columnas, que por el enemigo exterior.

*Opracował Grzegorz Bąk*

## [Przypadek Polski...]

Przypadek Polski należy uznać za szczególny i to nie dlatego, że piszący te słowa jest Polakiem, lecz ze względu na szereg okoliczności, które uwarunkowują jej sytuację w sposób oczywisty wyjątkową. W porozumieniach z Teheranu (tajnych) i Jałty (opublikowanych) mocarstwa anglosaskie oddały *de facto* całą Europę Wschodnią i Środkową do rzeki Łaby na łaskę Związku Sowieckiego. Węgry, Słowacja, Rumunia, Bułgaria były uważane za kraje wrogie, które walczyły u boku III Rzeszy. Polska – wręcz przeciwnie. Naród, który walczył nieprzerwanie przez prawie sześć lat z Niemcami i poniósł największe straty ludzkie, oczywiście, proporcjonalnie do liczby mieszkańców – został wydany Sowiетom i podporządkowany reżimowi komunistycznemu wbrew woli zdecydowanej większości Polaków.

Komuniści, z błogosławieństwem Moskwy, zadbali o zachowanie wszelkich pozorów suwerennego państwa. Tylko ci, którzy chcieli być oszukiwani, dawali się oszukiwać, aby łatwiej uśpić swoje sumienie. Od samego początku komunistyczna propaganda z wielką wprawą podkreślała fakt, również oczywisty, że Polska jest jedynym krajem, w którym reżim praktycznie współistniał z Kościołem katolickim. Oto szczęśliwy eksperyment – wołali i nadal wołają głupcy całego świata. Naród *par excellence* katolicki może jednocześnie budować socjalizm, pojmowany jako etap na niewzruszonej drodze do idealnego komunizmu. Popatrzcie! – kościoły są otwarte, przepełnione wiernymi, rząd szanuje kult religijny. To wspomniały przykład do naśladowania!

Pod koniec 1956 roku zostałem zaproszony przez don Juana Aparicio do Szkoły Dziennikarstwa, kilka tygodni po krwawych wydarzeniach na Węgrzech. Rozmawiano również o sytuacji w Polsce i młody seminarzysta zadał mi następujące pytanie: prasa hiszpańska podaje, że

katolicyzm w Polsce jest bardzo prześladowany. Jak więc wytłumaczyć, że w ważnych chwilach pod częstochowskim sanktuarium Matki Boskiej gromadzi się nawet milion wiernych ze wszystkimi biskupami na czele? Czy to prześladowanie nie jest propagandowym kłamstwem?

Nie było mi trudno odpowiedzieć. To prawda – powiedziałem – że kilka razy w ciągu roku setki tysięcy wiernych udają się do Częstochowy, aby pomodlić się przed obrazem Patronki Polski, korzystając ze wszystkich środków transportu: wielu chłopów jedzie furmanką lub po prostu idzie pieszo, stanowi to odwieczną tradycję. Jak można temu zapobiec? Reżim musiałby zmobilizować wszystkie siły milicji i nawet wtedy byłoby to niemożliwe. Nie wiem, czy go przekonałem.

Tak, to prawda, że kościoły są otwarte i nie przeszkadza się w praktykowaniu kultu religijnego. Ponadto z pomocą państwa odbudowano kilka świątyń o wartości historycznej, zniszczonych lub uszkodzonych w czasie wojny. Swobodnie działa katolicka organizacja PAX, która ma własną prasę, wydaje książki i jest reprezentowana w parlamencie. Tak, ale nauczanie religii było utrudnione, w szkołach zostało zniesione, a poza nimi jest prawie niemożliwe, chyba że członkowie rodziny mogą pełnić rolę katechetów. Metody rządzenia są więc bardzo elastyczne, czasem całkiem liberalne, ale zawsze zmierzają w tym samym kierunku: położyć kres religijności ludu, wychować młode pokolenia w materializmie i ateizmie. Tak zachwalane współistnienie socjalizmu z katolicyzmem to nic innego jak oszustwo, ukryte, ale z zachowaniem wszelkich pozorów.

W tzw. postępowych kręgach katolickich na Zachodzie (i oczywiście w Watykanie) polskiemu duchowieństwu, a przede wszystkim biskupom zarzuca się nieprzejednanie i reakcyjne stanowisko oraz próby torpedowania ekumenizmu. Czy można iść na kompromis w sprawach zasadniczych? W kraju rządzonym przez komunistów, posłusznych we wszystkim Moskwie, biskupi muszą być skłonni do ustępstw w sprawach drugorzędnych, ale nigdy w sprawach zasadniczych. Ustępliwość, tak jak rozumieją ją komuniści, prowadzi do kapitulacji i absolutnego podporządkowania. To jest dramat Kościoła prawosławnego w Związku Sowieckim, którego duchowieństwo stało się zwykłym narzędziem w rękach reżimu. Kościół katolicki w Polsce nie chce iść tą samą drogą i dlatego zderza się z pewnymi tendencjami w rządzie nastawionym na „porozumienie” z Moskwą, a więc ze wszystkimi reżimami komunistycznymi.

Żyjemy w trudnych i niezwykle niebezpiecznych czasach, niebezpieczeństwo zagraża przetrwaniu naszej kultury i cywilizacji. W takich

warunkach nie można posługiwać się ogólnikami ani stosować półśrodków. Trzeba mówić prawdę, która jest jedyną skuteczną bronią przeciwko fałszywym ideom i karnawałowi kłamców. Polscy biskupi znajdują się w bardzo trudnej sytuacji, ponieważ nie znajdują niezbęd- nego oparcia w Rzymie.

Reżim warszawski nie odważy się posunąć zbyt daleko w walce z religią – na razie. Wie, że skrajne środki mogą doprowadzić Polaków do desperacji ze wszystkimi tego konsekwencjami, a to w tej chwili nie byłoby reżimowi na rękę. A mówiąc o innych problemach, nie należy również niepokoić mas chłopskich, choć wiadomo, że komuniści planują kiedyś powrócić do kolektywizacji wsi. Jednak przed czasem nie odkrywają kart.

Tymczasem skończeni durnie wszystkich rodzajów i orientacji mocno wierzą, że polski model można zastosować na całym świecie i że zafałszowany obraz Polski jest prawdziwy. Miejmy nadzieję, że nie zdejmą opaski z oczu dopiero wtedy, gdy już będzie za późno.

*Przełożył Grzegorz Bąk*

\* \* \* [*Przypadek Polski...*]

N4, k. 17–18 r. Tekst napisany w języku hiszpańskim. Poniżej podajemy zapis w wersji oryginalnej.

**E**l caso de Polonia hay que considerarlo como muy singular y no porque el que escribe es polaco, sino por una serie de circunstancias que determinan su situación, a todas luces excepcional. En los acuerdos de Teherán secretos– y de Yalta–publicados– las potencias anglosajonas entregaron de facto toda la Europa Oriental y Central hacia el río Elba a la merced de la Unión Soviética. A Hungría, Eslovaquia, Rumanía, Bulgaria se consideraba como países enemigos que lucharon al lado del Tercer Reich. Polonia– todo lo contrario, esta nación que ha luchado sin cesar durante casi seis años contra Alemania y sufrió pérdidas humanas más grandes– en proporción con número de habitantes, se entiende– ha sido entregada a los soviéticos y subordinada al régimen comunista, contra la voluntad de inmensa mayoría de los polacos.

Los comunistas, con la bendición de Moscú se cuidaron para guardar todas las apariencias del estado soberano. Se dejaron engañar tan solo los que deseaban ser engañados, para poder más fácilmente dormir sus conciencias. Desde primeros momentos la propaganda comunista

con suma habilidad subrayaba el hecho, también aparente, de que Polonia es el único país donde se llegó a la práctica convivencia del régimen con la iglesia católica. ¿He aquí un experimento feliz– exclamaban y siguen exclamando los bobos de todo el mundo.– Una nación por excelencia católica puede a la vez construir el socialismo, concebido como el etapa en el firme camino hacia el comunismo ideal. ¡Mirad!– las iglesias son abiertas, rebosando de los fieles, el gobierno respeta el culto. ¡He ahí un formidable ejemplo a seguir!

En finales del año 1956 fui invitado por don Juan Aparicio en Escuela de Periodismo, unas semanas después de los sangrientos sucesos en Hungría. Se habló también de la situación de Polonia y un joven seminarista me hizo la siguiente pregunta: la prensa española dice que el catolicismo en Polonia se encuentra muy perseguido. ¿Cómo entonces explicar que en grandes ocasiones en el santuario de la Virgen negra de Częstochowa se reúnen hasta un millón de fieles con todos los obispos en frente? Esto de persecución ¿no es una mentira propagandística?

No me era difícil contestar. Es cierto– dije– que varias veces durante el año centenares de miles de fieles se dirigen a Częstochowa, para rezar ante la imagen de Patrona de Polonia, usando todos los medios de transporte: muchos campesinos van en carros o simplemente a pie, lo que constituye la tradición de los siglos. ¿Cómo impedirlo? El régimen tendría que movilizar todas las fuerzas de la milicia y aún entonces sería imposible. Nie wiem, czy przekonałem go.

Si es cierto que las iglesias son abiertas y no se impide la práctica del culto religioso. Más, varios templos de valor histórico, destruidos o dañados durante la guerra, fueron reconstruidos con la ayuda del estado. Libremente actúa la organización católica PAX, que posee su propia prensa, edita libros, es representada en el parlamento. Sí, pero la enseñanza religiosa resultó muy dificultada, en escuelas, ha quedado suprimida y fuera de ella resulta casi imposible, a menos que pueden encargarse de ser catequetas los mismos familiares. Los métodos gubernamentales son muy elásticos, a veces bastante liberales, pero tienden siempre a lo mismo: acabar con la religiosidad del pueblo, educar las jóvenes generaciones en el materialismo y ateísmo. La tan cacareada convivencia del socialismo con catolicismo no es más que un fraude, encubierto– eso sí– con todas apariencias.

En los llamados círculos progresistas católicos en el Occidente (y ¿Cómo no?– en Vaticano) se tacha el clero polaco y ante todo a los

obispos de intransigencia y posturas reaccionarias e intentos de torpedear el ecumenismo. Es que ¿se puede transigir en lo esencial? En el país, gobernado por los comunistas, obedientes en todo a Moscú, el obispado tiene que mostrarse dispuesto a claudicar en cuestiones secundarias, mas nunca en lo esencial. Transigencia tal como lo entienden los comunistas conduce a la capitulación i absoluta sumisión. Este es el drama de la iglesia ortodoxa en la Unión Soviética, y que el clero se convirtió en el mero instrumento en manos del régimen. Iglesia católica en Polonia no quiere seguir el mismo camino y por eso tropieza con ciertas tendencias en gobierno orientadas hacia el “entendimiento” con Moscú y por ende con todos los regímenes comunistas.

Vivimos los tiempos difíciles y sumamente peligrosos, el peligro amenaza la misma supervivencia de nuestra cultura y civilización. En estas circunstancias no se puede andar con tintas medias ni aplicar paños calientes. Hay que decir la verdad, que es única arma eficaz contra falsas ideas y carnaval de los embusteros. El obispado polaco se encuentra en la situación muy difícil porque no encuentra necesario apoyo en Roma.

El régimen de Varsovia no se atreve llevar la lucha contra la religión demasiado lejos— por ahora. Sabe que las medidas extremas podrían llevar al pueblo polaco a la desesperación con todas consecuencias y esto de momento no conviene. Tampoco, hablando de otros problemas, no conviene molestar masas campesinas, aunque se sabe muy bien que los comunistas piensan volver un día a implantar la colectivización del campo. Mas antes del tiempo no descubren las cartas.

Mientras tanto los bobalicones de todas especies y orientaciones creen firmemente que el modelo polaco tiene validez para todo el mundo y que Polonia falsificada es la auténtica. Ojalá no quiten la venda de los ojos cuando ya será demasiado tarde.

*Opracował Grzegorz Bąk*

## O eurokomuniźmie

Tak się złożyło, że w tym samym numerze „Tygodnia Polskiego” (z 25 czerwca), w którym został ogłoszony mój artykuł pt. *Koń trojański eurokomunizmu*, ukazała się wiadomość o ostrym ataku sowieckiego czasopisma „Nowe Czasy”. Oczywiście, napisałem i wysłałem mój artykuł wcześniej. Redakcja zaopatrzyła go uwagą „artykuł dyskusyjny”. O tyle słusznie, że zdania co do eurokomunizmu są mocno podzielone. Powstaje pytanie: czy atak ten równa się „ekskomunice” rzuconej na eurokomunizm, czy też chodzi o co innego? Zwróciło uwagę, że „Nowe Czasy” zajęły się wyłącznie sekretarzem Partii Komunistycznej Hiszpanii, Sanitago Carrillo, i jego książką *Eurokomunizm i państwo*, natomiast Francuza Marchais’go i Włocha Berlinguera w ogóle nie wymienili. Dalsze pytanie: dlaczego atak przyszedł tak późno, dopiero po hiszpańskich wyborach 15 czerwca? Sam Carrillo interpretował to opóźnienie w swoisty sposób, że gdyby atak nastąpił wcześniej, PCE (*Partido Comunista de España*) otrzymałaby kilkaset tysięcy głosów więcej. Możliwe, ale to kwestia wielce sporna. Mogłoby stać się wręcz odwrotnie i sporo komunistów powstrzymałoby się od głosowania; ich znaczna część (zwłaszcza ci doktrynalnie niedokształceni) jest w dalszym ciągu zapatrzona w Moskwę jako w Mekkę i Medynę prawowiernych.

Niedyskretnych pytań jest więcej. Dlaczego zaraz po przyjeździe do Madrytu Pasionaria<sup>25</sup> nazwała eurokomunizm idiotyzmem, a następnie zacichła? Na prośbę Carrillo czy na polecenie kogoś znacznie mocniejszego i bardziej autorytatywnego? Dlaczego tylko Carrillo hałasuje, a inni wybitni przywódcy komuniści – Sánchez Montero, Marcelino Camacho, Ramón Tamames, Rafael Alberti nabrali wody do ust

---

<sup>25</sup> Pasionaria – pseudonim hiszpańskiej komunistki Dolores Ibárruri Gómez.

i nie wychylają się: ani przeciw, ani za? Zapewnia się, że na zebraniu Komitetu Centralnego, które odbyło się, by zająć stanowisko wobec artykułu w „Nowych Czasach”, panowała jednomyślność, nie było żadnych rozbieżności, jeśli nie liczyć, że jeden z członków wstrzymał się od głosu. Ale protokołu z zebrania, naturalnie, nie ogłoszono. A co stało się później, po odrzuceniu przez KC PCE zarzutów sowieckich? Zaczęły dziać się rzeczy dość dziwne. Więc najpierw Komunistyczna Partia Włoch wzięła Carrillo w obronę, doszłusowali do niej Jugosłowianie, natomiast komuniści belgijscy wystąpili przeciw eurokomunizmowi. I zaraz potem delegacja włoska przybyła do Moskwy (29 czerwca), gdzie w ciągu czterech godzin naradzała się z czołowymi ideologami sowieckimi, jak Michaił Susłow, Boris Ponomariow i Wadim Zagładin. Na czele tej delegacji stał Giancarlo Pajetta. Końcowy, a bardzo lakoniczny komunikat o przebiegu spotkania jest napisany tak, by nikogo nie urazić i niczego jasno nie powiedzieć. Z tego wniosek, że istniejące różnice zostały zaklajstrowane. Włosi bronili prawa do odmiennych interpretacji, ale jednocześnie przyznali, że krytyka Związku Sowieckiego idąca zbyt daleko może okazać się niebezpieczna; sowieciarze zańadto nie naciskali. Wszystko wskazuje na to, że doszło do „bratniego” kompromisu.

A co z Carrillo? Towarzysz Pajetta oświadczył po powrocie dziennikarzom zebranych na rzymskim lotnisku, że nie ma powodu do rozdmuchiwania tej sprawy. Skoro przyjęto demokratyczną zasadę, że wszystkim wolno wzajem się krytykować, to dla czego odmawiać tego prawa prasie sowieckiej. Dodał, że otrzymał obietnicę od przywódców sowieckich nałożenia tłumika na kampanię przeciw Carrillo, a w ogóle chodziło przecież jedynie i wyłącznie o mylne oceny zawarte w jego książce, a w żadnym wypadku o atak skierowany przeciw Partii. W Moskwie – twierdzi Pajetta – doszło do takiego porozumienia, które zapewni „pokojowe współistnienie i współdziałanie wszystkich partii komunistycznych”.

W tym samym mniej więcej czasie wspomniany przed chwilą Wadim Zagładin, który jest główną figurą w Departamencie Międzynarodowym Komitetu Centralnego Partii, ogłosił znamieny artykuł w moskiewskiej „Prawdzie”, oskarżając kapitalistyczny Zachód o sianie niezgody w światowym obozie komunistycznym. Dosłownie: „Nasi wrogowie próbują prowokować i podsycać spory między poszczególnymi partiami. Ataki antysowieckie idą w parze z atakami na bratnie partie

w krajach kapitalistycznych... Głównym celem tych nagonek jest wznoszenie przeszkód na drodze, na której komunizm prowadzi walkę klas, podrywać wzajemne zaufanie, jakim lud darzy komunistów i jedność sił demokratycznych...” Czyżby z tego wynikał wniosek, że napisanie przez Carrillo kontrowersyjnej książki zostało sprowokowane przez międzynarodowy kapitał?

Mała dygresja. W jednym z moich artykułów (nie w „Tygodniu Polskim”) zapytałem po wyborach 15 czerwca, gdzie podzieli się anarchiści, co się stało z ich ruchem syndykalistycznym spod czarno-czerwonego sztandaru, o tradycjach zakorzenionych w Hiszpanii o wiele głębiej i dawniej niż tradycje marksistowskie. Zresztą anarchiści zawsze zwalczali komunistów i *vice versa*. Stara FAI (Iberyjska Federacja Anarchistyczna) nie została wskrzeszona, więc do wyborów pójść nie mogła. Pytanie na kogo głosowali zwolennicy CNT, których musi być niemało. Na pewno nie na Partię Komunistyczną.

Właśnie w Barcelonie odbył się potężny wiec CNT z udziałem starej działaczki anarchistycznej, Federiki Montseny. Tu wyjaśnienie: w stolicy Katalonii wpływy anarchistyczne były zawsze o wiele silniejsze niż gdziekolwiek indziej, z wyjątkiem jednej Andaluzji. Otóż Federica Montesny wystąpiła z najostrzejszą diatrybą przeciw PCE. Zarzuciła jej współdziałanie z czynnikami najbardziej reakcyjnymi i że zajęła stanowisko „bardziej monarchistyczne niż sami monarchiści”. „Jeżeli to jest eurokomunizm – zawołała patetycznie na zakończenie – to niech mnie powiesz!”

Inne wydarzenie, jeszcze bardziej charakterystyczne. W ostatnich dniach czerwca dwa potężne wybuchy zniszczyły część gmachu dziennika „Diario 16”. Jest to dziennik o orientacji niewątpliwie zdecydowanie lewicowej, choć bez określonej filiacji partyjnej. Do zamachu przyznała się w komunikacie wysłanym do prasy skrajna organizacja terrorystyczna GRAPO. Później anonimowy telefon zdezawuował tę informację, wobec czego redakcja „Diario 16” przypisała zamach skrajnej prawicy. GRAPO natychmiast ostro zareagowało, oświadczając (tym razem w formie absolutnie wiarygodnej), że telefon był sprowokowany przez samą redakcję, zaś żadnego odwołania nie było. Powtórzono oskarżenie, że „Diario 16” jest czasopismem na usługach policji, stanowi prowokacyjną dywersję wymierzoną przeciw autentycznym ugrupowaniom lewicowym. Jeszcze jeden krok dalej, a sama PCE zostanie oskarżona, że jest przybudówką czy też agenturą *Dirección General de Seguridad* (Główniej Dyrekcji

Policji). W ideowym i organizacyjnym bałaganie wszystko jest możliwe. Zrobiłem tę dygresję w przekonaniu, że opisane wydarzenia w sposób jaskrawy uwypuklają niepoważny i dezintegracyjny charakter niektórych procesów politycznych zrodzonych wraz ze śmiercią generała Franco i likwidacją dyktatury.

Ale branie eurokomunizmu towarzysza Carrillo dosłownie byłoby daleko posuniętą lekkomyślnością. W pierwszych dniach lipca odbyła się w telewizji dysputa między przywódcą jednej z grup socjalistycznych (w łagodnej opozycji do PCE), prof. Tierno Galvánem, i także profesorem, ale komunistą, Tamamesem. Ten ostatni wypadł wręcz kompromitująco, a w każdym razie nie potrafił wytłumaczyć, na czym polega eurokomunizm i ograniczył się do frazesów. Proszę wziąć pod uwagę, że Tamames jest uważany przez Partię za jej najtęższy umysł. Jak w takim razie wyglądają inne komunistyczne umysły, te mniej tęgie?!

Nie zmieniam mej opinii o eurokomunizmie jako o koniu trojańskim wprowadzonym do Europy Zachodniej. Czas wykaże, czy mam rację, bo przecież w akcji muszą prędzej czy później puścić farbę. PCE działa legalnie dopiero od trzech miesięcy, a przez pierwsze dwa, czyli w okresie przedwyborczym, musiała postępować bardzo ostrożnie. Przypuszczam, że Carrillo poniosło; chcąc wykazać się niezależnością, poszedł za daleko i dokonał przechyłu taktycznego. Za to Moskwa dała mu po łbie, ale zaraz po tym zatrąbiła na częściowy odwrót – także taktyczny. Pranie rodzinnych brudów uległo chwilowo przerwaniu. Nadzwyczajny pośpiech, z jakim delegacja włoska pojechała na rozmowy z Susłowem i Ponomariowem, także miał swoje znaczenie. Trzeba było sprawę załatać i zaklajstrować jak najszybciej, by zapobiec dalszym kompromitującym wystąpieniom. I nie bez kozery na czele delegacji włoskiej pojechał towarzysz Pajetta, który jest specjalistą od przyklejania kojących plasterków.

Sowiety potrafią i lubią postępować brutalnie, gdy dojdą do wniosku, że sytuacja już dojrzała do drastycznych rozwiązań. Kiedy indziej bawią się w przebiegłe dyplomatyżowanie, a gdy trzeba, biorą na siebie rolę kameleonów. Wystarczy uważnie przerzucić dzieje Związku Sowieckiego, by pozbyć się wszelkich wątpliwości. Powiedzmy, że we Włoszech dojdzie do koalicji z chrześcijańskimi demokratami, a w Hiszpanii PCE będzie przez jakiś czas zachowywać się lojalnie w stosunku do króla Juana Carlosa. No to co? Nie takie spektakle oglądaliśmy! Czy nie było aktu Ribbentrop-Mołotow, a wcześniej Sowiety

nie dostarczały Włochom Mussoliniego benzyny podczas podboju Abisynii i wiadomych sankcji Ligi Narodów?

W wielu krajach Zachodu opinia publiczna połknęła haczyk eurokomunizmu dość gładko i chwilowo nie czuje żadnych boleści. Przyjdą w swoim czasie, przyjdą ponad wszelką wątpliwość! Niestrawności nigdy nie następują natychmiast po zbyt obfitym czy źle przyrządzonym obiedzie. Zdarza się całkiem często, że ludzie powracają do religii lub nawracają się w bardzo późnym wieku albo nawet na łożu śmierci. Słynny rosyjski uczony profesor Pawłow powrócił do prawosławia, od którego odszedł w młodości, już będąc zgrzybiałym starcem; Einstein zmienił swój stosunek do religii na pozytywny – także w starości.

Pięknie! Można bez większego trudu nawrócić się z komunizmu na demokrację czy inną, odmienną ideologię w młodości, a ostatecznie w wieku dojrzałym. Natomiast nie wierzę w szczerłość takich nawróceń starych, wytrawnych funków partyjnych po odwaleniu trzydziestoletniego stażu najpierw u Stalina, potem u Chruszczowa. I dlatego nadal podtrzymuję tezę o koniu trojańskim.

*O eurokomunizmie*  
N7, k. 9–14 r.

## Komuniści zachodni

Z komunistami zachodnimi zetknąłem się jeszcze w sierpniu 1941 roku w więzieniu hiszpańskim w Figueres. Naturalnie, jeśli chodzi o Hiszpanów, nie było między nami żadnych rozmów, bo nie znałem języka. Dopiero po kilku miesiącach. Ale to właściwie dotyczyło tylko Hiszpanów. Od pierwszego dnia miałem do czynienia z dwoma komunistami: Węgrem, trockistą, oraz Belgiem, stalinistą. Rozmawiałem z nimi po niemiecku, co miało ten zysk, że sobie ten język, nieco zapomniany, nieźle uzupełniałem. Szkoda, że ta więzienna wilegiatura<sup>26</sup> trwała stosunkowo krótko (osiemnaście miesięcy), gdyby potrwała dłużej, to bym mowę niemiecką miał w jednym palcu. Ale cóż na to poradzić, nawet więzienne [-] trwają krótko.

Co wiedzieli o Polsce? Byłem absolutnie zaskoczony. Przecież miałem do czynienia z ludźmi inteligentnymi i nieźle czytаныmi. O Polsce wiedzieli bardzo mało, prawie nic, ale chętnie słuchali moich informacji i na ogół wierzyli. Nie wszyscy. Od byłego prezydenta Brukseli, który w ostatniej chwili przed aresztowaniem zmylił gestapo i uciekł – najpierw do Francji, potem do Hiszpanii, dowiedziałem się, że był przed wojną w Warszawie i zwiedził między innymi Wilanów. „Tam jest – powiedział ze zgryźliwym uśmiechem – pałac królewski: taki wersal z operetki”. Zdziwiłem się: „Dlaczego z operetki? Przecież to piękny barok”. „Tak, ale w zestawieniu z Wersalem – mikroskopijny”. „Wobec tego – zareplikowałem – arcydzieło gotyku, kaplica św. Ludwika w Paryżu, jest także z operetki, bo kilkakrotnie mniejsza od każdej nawet najbardziej przeciętnej katedry!”

---

<sup>26</sup> Wilegiatura – tu: ironicznie – urlop.

Pan prezydent nie był komunistą, w każdym razie do partii nie należał, ale zachwycał się rewolucją bolszewicką i rzeczywistością sowiecką: „najwspanialszy eksperyment w dziejach ludzkości”. Inwazję z 17 września 1939 roku uważał za całkowicie uzasadnioną. „Odebrali to, co im się słusznie należało. Wilno i Lwów to czysto rosyjskie miasta!”. „Pan tam był?”. „Nie, ale dobrze wiem. To imperialista Piłsudski skorzystał z chwilowego osłabienia Rosji i zajął te miasta”.

Natrafiałem nieraz na prostych ludzi, którzy chcieli popisać się znajomością spraw polskich. „O, tak! – mówił taki mędek. – Dużo słyszałem, znam nazwiska wielkich Polaków: Kopernik, Szopen, Paderewski, Piłsudski, Stawiski...!”. No tak, ale żaden z tych prostaków nie był prezydentem wielkiej stolicy. Od zarozumiałego Belga wolałem tych, co stawiali Stawiskiego obok Kopernika i Szopena. *Sancta simplicitas*<sup>27</sup>! – jak zawołał w niezbyt miłej sytuacji nieboszczyk Jan Hus.

Opowiadałem już przy jakiejś okazji o tym francuskim komuniście, który cieszył się z czerwcowej klęski Francji i jej kapitulacji. Warto powtórzyć. Rozmowa toczyła się w Lodève, o jakieś pięćdziesiąt kilometrów od Montpellier, w jednej z najpiękniejszych okolic winem i oliwą płynącej Langwedocji. Także to przecież langwedoccy mnisi z tamtych stron przybyli nad Bałtyk pod koniec XII wieku na zaproszenie pomorskiego księcia, założyli klasztor i kościół (słynne organy) pod Gdańskiem i nadali świątyni śródziemnomorską nazwę Oliva. Więc ów stary francuski komunard przedkładał mi, że Francja wygra na tym interesie. Wprawdzie Hitler zabierze Lotaryngię i Alzację, ale za to po pokonaniu Anglików zwróci Francuzom zrabowaną niegdyś Kanadę.

Miał do Anglików zadawnioną pretensję o spalenie Joanny d'Arc. Usiłowałem mu wytłumaczyć, że Francuzi także przyłożyli rękę do tej sprawy. Sorbona paryska uznała Darczankę (przypomina się młody Mickiewicz) za czarownicę, a i biskup Cauchon, który odegrał zasadniczą rolę, nie był Anglikiem. „To byli wszystko faszyści – zapewnił mnie stary komunard – a Joanna, gdyby żyła dziś, byłaby militantką naszej Partii Komunistycznej!”. Tu już zabrakło mi argumentów, więc skapitulowałem za przykładem marszałka Pétaina. Ale wbrew zapewnieniom sympatycznego komunarda Kanady Francja nie odzyskała,

---

<sup>27</sup> *Sancta...* (łac.) – święta naiwności!

naturalnie, tylko dlatego, że *der schöne*<sup>28</sup> Adolf przegrał drugą wojnę światową. Zdarzają się takie rzeczy wbrew wszystkim pozorom.

Jak wiadomo, my wszyscy, polityczni emigranci, którzy pozostaliśmy na Zachodzie, nie ulegając [-] głosom apelującym do naszego patriotyzmu („Polska jest tylko jedna: nad Wisłą!”), żyjemy w największym luksusie, opływając w funty, franki, marki i dolary. Pewien trzeciorzędny pisarz krajowy, przyzwoity zresztą człowiek i niesplamiony nadmiernym lokajstwem, zapytał mnie po przeczytaniu mego tomu wierszy *W połowie wędrówki*, wydanego w roku 1972 przez Fundację Kulturalną w Londynie: „Ile Panu za to zapłacono?”. Powiedziałem zgodnie z prawdą, że sto funtów, ale to wyjątkowo, bo wydawca, dziś nieżyjący, był moim przyjacielem. Mój rozmówca złapał się za głowę. „Panie, pan za te wiersze otrzymałby po dziesięć tysięcy od arkusza!”. Ostudziłem go. „Co najmniej jedną trzecią wierszy musiałbym wyrzucić. A więc o trzy arkusze mniej” (dla niezorientowanych w sztuce drukarskiej – arkusz to szesnaście stron). „Pewnie – zgodził się tamten – ale czy musiałby pan pisać właśnie tak?!”. „Nie musiałbym, nie mógłbym, chyba że do szuflady i właśnie dlatego mieszkam w Madrycie, a drukuję w Londynie! Za psie pieniądze albo w ogóle bez nich, ale za to bez kagańca i obroży”.

Może będzie nie od rzeczy opowiedzieć o pewnej przygodzie, która mi się zdarzyła jakieś dwadzieścia lat temu. Chyba nigdy o tym nie pisałem, a jeżeli – to nie dość szczegółowo. Zjawiam się w pewnej stolicy europejskiej, mój przyjaciel, już nieżyjący, dowiedział się o moim przybyciu, dzwoni do mnie i powiada: „Słuchaj, kończy się rok budżetowy, mamy w audycji polskiej sporo luzu, chodzi o to, by wydać jak najwięcej pieniędzy; nagraj kilka, albo kilkanaście wierszy, dobrze zarobisz, a my zlikwidujemy nadwyżkę!”. Cudownie! Komu zawadzi takie nagranie i zainkasowanie kilku tysięcy franków. Umawiamy się na najbliższą niedzielę. Mój przyjaciel ma zadzwonić w sobotę.

Nie zadzwonił ani w sobotę, ani w niedzielę. Dopiero w poniedziałek. Przeprasza, umawia się na rozmowę. Z nagrań – nici. Dlaczego? Bardzo zwyczajnie. „Nasz rząd prowadzi obecnie politykę porozumiewawczą, więc nie możemy nadawać tekstów kogoś tak bardzo zaangażowanego w propagandzie antykomunistycznej i antysowieckiej”.

Wiadomo: radio madryckie. „Ależ proszę pana – replikuje tamten – uzgodniłem z Łobodowskim, że nie będzie żadnych wierszy

---

<sup>28</sup> *Der schöne* (niem.) – śliczny.

polityczno-ideologicznych: folklor hiszpański, pejzaż, erotyki...” „Nie ma znaczenia – wystarczy nazwisko”. Te parę tysięcy franków diabli wzięli! Nazwisko nieodpowiednie! Jak widzimy, antykomunistyczna i antysowiecka działalność niesłychanie na kapitalistycznym Zachodzie popłaca. Chcielibyście więcej takich dykteryjek? Mam tego na kopy. I proszę, oto poważne zagadnienie, jak tu stać się tym milionerem?!

Oczywista, mógłbym się urządzać zupełnie inaczej, to znaczy mądrzej. Gdybym, zamiast upierać się przy hiszpańskim winie, przeniósł się swego czasu na monachijskie piwo, o co zbyt trudno nie było, siedziałbym od kilku lat na emeryturce, a i wyszedłbym na nią z zaoszczędzonym grosiwem. A w Madrycie zarabiałoby się niewiele ponadto, by nie uświerknąć z pragnienia. Po ostatecznej redukcji (20 grudnia, dokładnie w miesiąc po śmierci generała Franco, na co nadal uskarżam się bez przerwy!) dostaję tyle, co byłoby całkiem cacy przed piętnastu laty, a dziś nie starcza na jeden przelot do Londynu.

Rozmawiam na te tematy z miejscowymi komunistami. Nie ze świeżo upieczonymi, ale tymi z dziada pradziada, którzy śpiewali Międzynarodówkę (*Arriba, parias de la Tierra*<sup>29</sup>) jeszcze w kołyskach, to znaczy wtedy, gdy Dolores Ibárruri (Pasionaria) jeszcze chadzała do kościoła. Bo bywało i tak. Więc gdy się im spowiadam z kłopotów finansowych, nie mogą wyjść ze zdumienia. „Jak to – frankistowskie radio tak kiepsko się z tobą obeszło?”. „To było już po śmierci Franco”. „A ileś miał wtedy lat? Byłeś już chyba wieku emerytalnym?”. „Od pewnie dwóch lat”. „Więc dlaczego nie wyszedłeś na emeryturę?”. Właśnie – dlaczego?

Inna rozmowa, tym razem z ideowym młodzikiem. „Widziałem pana i słyszałem parę razy w telewizji”. „I?”. „Dobrze pan wypadł, ale dlaczego oskarżył pan o zbrodnię katyńską moskiewskich towarzyszy? Wierzy pan w to?”. „To nie jest kwestia wiary: są na to niezbite dowody!”. „A kiedy znowu zjawi się pan na małym ekranie?”. „To nie zależy ode mnie i wątpię, czy mnie kiedykolwiek znowu zaproszą”. „Czytałem, że wystąpił ostatnio w telewizji inny Polak... Iko... Ikono...”. „To pewnie Mirosław Ikonowicz”. „Kto to taki?”. „Korespondent warszawskiego radia”. „A dlaczego on, a nie pan?”. „Bo on jest ludowym demokratą i nie oskarża Stalina o zbrodnię katyńską, a ja jestem reakcyjnym faszystą i nie pasuję do procesu demokratyzującego”. „Nie rozumiem tego wszystkiego. Wy,

---

<sup>29</sup> *Arriba...* (hiszp.) – „Wyklęty powstań, ludu ziemi”, pierwsze słowa komunistycznej Międzynarodówki.

Polacy, jesteście jacyś dziwni ludzie!” „O, to-to! Chcemy orła w koronie, którą tamci nam ukradli”. „W koronie? Przecież Polska nie była królestwem tylko republiką, więc po co korona?”. „Żeby chronić orła przed deszczem i słońcem!”. Gdyby stary Ollendorf mógł usłyszeć te [-], umarłby po raz drugi z zachwyty.

Eurokomunizm! Starzy marksiści nie wiedzą, co o tym sądzić. „Santiago Carrillo chce uczyć towarzysza Breżniewa rozumu?!”. Młodszy na ogół wierzą. „U nas nigdy nie dojdzie do nadużycia proletariackiej wolności! Dopiero my pokażemy, czym jest ideał komunistyczny!”. „Dobrze – powiadam ledwie pełnoletnim entuzjastom – ale w takim razie powinniście potępić wszystkie bolszewickie zbrodnie, odżegnać się od nich i proklamować na cztery wiatry, że ustrój sowiecki nie ma nic wspólnego z prawdziwym komunizmem”. I tu dopiero zaczyna się kołomyjka. Udowodnij, że były i nadal istnieją obozy koncentracyjne, że na Ukrainie zorganizowano w latach 1932–1933 sztuczny głód, że mordowano niewinnych ludzi, że prawie cała elita intelektualno-artystyczna Rosji, Ukrainy i Białorusi uległa zagładzie (także Kaukazu i Turkiestanu).

Nie trafia im do przekonania. „To niemożliwe! Panie Lobo (hiszpański skrót od nazwiska), pan przesadza. Unosi pana uprzedzenie do Rosji”. Zachwycają ich popisy sowieckich grup artystycznych (taniec i śpiew). I znowu to samo. Jeżeli kaukaską lezginkę, zakarpackiego czardasza (wziętego od Madziarów), huculską kołomyjkę, litewskie tańce obrzędowe i całą resztę przedstawia się jako folklor rosyjski, trudno, trzeba go uznać za najbogatszy na świecie. Także poznałem i takiego durnia, który majestatyczny polonez, tańczony w znanej operze Glinki *Żyżń za caria* (*Życie za cara*), uznał za typowy taniec rosyjski. „Polacy go potem naśladowali”. Z czego wynikało, że np. Ogiński był następcą Glinki. Proszę, oświecaj Panie Boże zachodnich mędrców w naszych sprawach.

Na marginesie tego wszystkiego przypomnę zabawną scenę, która rozegrała się w nocnym tramwaju w Tuluzie. Styczeń albo luty 1941 roku. Doszło do drobnego zatargu z konduktorem, ale wszystko się rozładowało. Jeden z pasażerów zainteresował się, jakiej jesteśmy narodowości. „Polacy? No, naturalnie”. „Pijany jak Polak!”. Ogólny śmiech. Mówię do kompana: „Kaziu, ja tu zaraz wygłoszę większe przemówienie, a ty dokładnie tłumacz!”. Zacząłem od tego, skąd się wzięło owe lekceważące powiedzenie. Po szarży na przełęcz Somosierra jeden z francuskich generałów zauważył uszczypliwie, że nic dziwnego: wszyscy szwoleżerowie byli pijani. Na to Napoleon:

„Chciałbym, by wszyscy moi żołnierze bywali tak pijani, jak ci Polacy!”. Wykład wzbudził zainteresowanie. Brnąłem dalej. Owszem, Polacy upijają się od czasu do czasu, a Francuzi piją wino już od samego rana, poją niemowlęta, dlatego się zdegenerowali i nie chcieli się bić z Niemcami ani po pijanemu, ani po trzeźwemu.

Zakończyłem znaną anegdotką o Paderewskim. Kiedyś po wielkim koncercie w Paryżu, wydanym na cześć pianisty, jeden z zaproszonych (bodaj jakiś wybitny polityk, nie jestem pewny), widząc, że Paderewski pije wodę mineralną, zrobił niegrzeczną uwagę. Że niby muzyk zaprzecza znanemu francuskiemu powiedzeniu: „Pijany jak Polak”. Znakomity muzyk odpowiedział spokojnie, że przysłowia narodowe i różne porzekadła narodowe często są nieprawdziwe. „Na przykład w polskim języku istnieje powiedzenie: »Grzeczny jak Francuz« – także nieprawda!”. Dzięki dobrej francuszczyźnie mego kumpla wygraliśmy tę tramwajową batalię bez pudła.

O Tuluzę zahaczyłem po raz ostatni w 1945 roku. Przyjechałem z Narbony koło południa, wychodzę z dworca, co u diabła, całe miasto udekorowane, wszędzie sztandary! Same czerwone i republikańskie, hiszpańskie. Prawda, przecież to 14 kwietnia – rocznica ogłoszenia Drugiej Republiki Hiszpańskiej. Ale dlaczego ani jednego francuskiego trykotażu? Prosta sprawa: tradycyjna „czerwona Tuluza”. Tak, ale pomyślałem, że cztery lata wcześniej ta sama Tuluza szalała z radości, gdy zjawił się tam marszałek Pétain. Kapitalne przeskok: od komunizmu do petainizmu i znowu do komunizmu. To się nazywa, że Karl Marks postawił słynną heglowską triadę na nogi.

*Komuniści zachodni*

N13, k. 22–27 r.

N6, k. 10–14 v. Pdr. po modyfikacjach pod tytułem: *Pogwarki o komunistach*, „Tydzień Polski” 1980, nr 47, „Wiadomości” 1977, nr 30.

## Czy zmierzch Zachodu?

Od upadku Cesarstwa Rzymskiego stale pojawiały się inicjatywy jednoczenia Europy w jedną całość państwową i zawsze próby te kończyły się klęską. Nie udało się Karolowi Wielkiemu, którego państwo rozleciało się prawie natychmiast po jego śmierci, nie udało się w siedemset lat później jego wielkiemu imiennikowi, królowi Hiszpanii i cesarzowi Rzeszy Niemieckiej. Temu drugiemu przeszkodziło głównie rozbitcie religijne świata zachodniego, ale nie tylko. Na przeszkodzie stanęła także rosnąca potęga Francji, która święcie uwierzyła, że *gesta Dei*<sup>30</sup> powierzone zostały właśnie jej, więc wolała paktować z Turkiem, byle nie dopuścić do tego, czego sama zechciała dokonać w przyszłości. Znakomity minister Henryka IV, Sully, opracował plan zjednoczenia Europy, z wyłączeniem Moskowi i europejskich posiadłości Ottomanów. Do realizacji tego planu przystąpił po dwustu latach Napoleon Bonaparte, ale zapomniał o poszanowaniu praw i tradycji narodowych poszczególnych narodów, z czego zdał sobie sprawę dopiero na skalistej wyspie atlantyckiej, która stała się jego więzieniem aż do zgonu.

Klęska Napoleona była jednocześnie wielką historyczną przegraną narodu polskiego, choć cesarz Francuzów zaniedbał wykorzystania wielkich szans, jakie mu dawało pełne zaangażowanie się w sprawę polską. Nie przyłączył do Księstwa Warszawskiego pierwszego zaboru austriackiego, pozostawiając Kraków i Lwów pod władzą Wiednia. By nie drażnić Petersburga, przez dłuższy czas unikał nawet imienia Polski i podczas pochodu na Moskwę zlekceważył rady polskich wojskowych, gubiąc lekkomyślnie Wielką Armię, której mu później zabrakło w dniach ostatecznej klęski. Mimo to legenda napoleońska przetrwała przez cały

---

<sup>30</sup> *Gesta Dei* (łac.) – czyny Boże.

wiek XIX i nawet znalazła swoich kontynuatorów w naszych czasach. Znakomicie podpatrzony w *Lalce* Bolesława Prusa „stary subiekt”, Ignacy Rzecki, nie był wyjątkiem.

W wieku XX zjawily się zjednoczeniowe herezje, za które Europa zapłaciła milionami trupów. Pewien hiszpański myśliciel celnie uznał początek pierwszej wojny światowej za domową wojnę europejską. W imię nowej Europy występował Adolf Hitler, ale w praktyce dał jej karykaturę, odrzucając chrześcijaństwo i usiłując je zastąpić germańskim mitem rassistowskim, co pociągnęło za sobą ponownie milionowe ofiary. Jedność pod znakiem młota i sierpa proklamują czerwoni totalitaryści, których militarna potęga wyrosła głównie na głupocie ich zachodnich sojuszników z czasu wojny. Na Zachodzie już dostrzega się – o ileś lat zbyt późno! – niebezpieczeństwo sowieckie, ale wciąż nie widać rozeznania politycznego, jak się temu niebezpieczeństwu skutecznie przeciwstawić.

Zasadniczy błąd zwolenników jedności polega na tym, że się z nią utożsamia uniformizm. Monstrualny kształt przybrało to dążenie w sowieckiej praktyce. Jedność ludów sowieckich ma być osiągnięta poprzez siłą narzucony uniformizm. Ma powstać i już w oficjalnym języku istnieje j e d e n naród sowiecki, używający tej samej, naturalnie rosyjskiej mowy. Starzy Rzymianie popełnili wiele grzechów, ale uniknęli jednego: nie dążyli do pozbawienia podbitych ludów ich języka, obyczajów i tradycji, inaczej mówiąc, nie dążyli do narzucania sztucznej, bo przymusowej l a t y n i z a c j i. Dzięki temu imperium rzymskie trwało tak długi czas, a jeśli w końcu upadło, przyczyny tkwiły gdzie indziej. Jedność – to separacja polityczna, ale nigdy psychologiczna ani kulturalna. Wspólny mianownik nie powinien likwidować składających się na całość liczników.

Gorzej, gdy korzystając ze swobód demokratycznych, małe nacjonalizmy zaczynają rościć sobie pretensję do obalenia ustalonych historycznie zespólów. Separatyzmy narodowościowe objawiające się w Europie Zachodniej, niekiedy z wielką gwałtownością, a nawet w poszczególnych wypadkach uprawiający zbrojny terror, skierowane są przeciw jedności, chociaż ta uznaje prawo do różnorodności. Separatyzmy walijski i szkocki w Wielkiej Brytanii, kreteński czy korsykański w Republice Francuskiej nie stanowią wielkiego problemu, natomiast groźne rozmiary przybiera separatyzm baskijski, cieszący się czynnym poparciem Związku Sowieckiego. Kulturowanie odrębności językowych i kulturalnych w poszczególnych regionach Hiszpanii ma swoje uzasadnienie, którego należy

odmówić skrajnym dążeniom separatystycznym, zwłaszcza gdy czerpią natchnienie spod znaku sowieckiego młota i sierpa.

Terrorystyci nacjonalistyczni czy społeczni, idący na rękę polityce moskiewskiej, nie zdają sobie sprawy, że w razie jej zwycięstwa oni pierwsi pójdą na straty w myśl starego powiedzenia: „Murzyn zrobił swoje, Murzyn może odejść!”. Mylą się ci, którzy sądzą, że druga wojna światowa pogrzebała definitywnie wszystkie konflikty istniejące uprzednio. Idealiści sądzą, że wiosna 1945 roku przyniosła narodziny nowej epoki w życiu ludzkości. Zakładali naiwnie istnienie dobrej woli ze strony sowieckiego rewolucyjnego bolszewizmu. Naiwność intelektualistów zachodnich przetrzymała wszystkie próby, przeszła do porządku dziennego nad wszystkimi świadectwami i spowodowała takie monstrualne zjawiska, jak przyznanie jednego roku literackiej Nagrody Nobla Borysowi Pasternakowi, a wkrótce potem Michaiłowi Szołochowowi, a następnie Sołżenicynowi i Garcii Márquezowi, co odpowiadało polskiemu powiedzeniu: „Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek”. Na tym ma polegać bezstronność szwedzkich akademików, że nie zwracają uwagi na polityczne przekonania laureatów.

Zachowaniu się intelektualistów zachodnich, poczynając od pierwszych dni rewolucji październikowej, można by poświęcić obszerny tom, który by brzmiał jak bezlitosne oskarżenie. Ostatecznie nie wyglądało to zbyt groźnie w pierwszych latach, gdy informacje były niezwykle skąpe, a ponadto pochodziły niemal wyłącznie od rosyjskich emigrantów, którym nie bardzo dowierzano. Ale z biegiem czasu dokumentacji było coraz więcej, coraz trudniej było powoływać się na dezorientację czy na brak rzetelnych wiadomości. Gdy się dziś czyta książki wydawane przed wojną, takie jak *rodzeństwa* Webbsów (Sidney i Beatrice), Alberta Rhysa Williamsa, Harolda Laskiego czy Johna Stracheya, wszystko pisane i wydane w latach trzydziestych, gdy cała prawda o Sowietach powinna być opanowana powszechnie, bierze zdumienie, jak długo mogła utrzymać się fałszerska legenda o bolszewizmie. Autentycznym świadectwom nie wierzono i naprawdę reagowano wprost kompromitująco. Tragedia ukraińskiego ludu, który podczas sprowokowanego głodu w roku 1933 stracił kilka milionów ludzi, została niezauważona, a w najlepszym razie zinterpretowana w sposób kłamliwy, zgodnie z sowiecką propagandą.

Późniejsze wydarzenia, jak pokazowe procesy moskiewskie, terror Jagody i Jeżowa, sojusz z Hitlerem w roku 1939 i inwazja Polski 17 września, otrzeźwiły niektórych, ale nie wszystkich. Zaprzeczano nadal

istnieniu sowieckich obozów śmierci, przyjęto zełganą tezę o autorstwie niemieckim zbrodni katyńskiej. Toż jeszcze w roku 1969, a więc grubo po śmierci Stalina i usunięciu przez Chruszczowa jego mumii z mauzoleum w Moskwie, Aleksander Werth potrafił napisać w poczytnej książce, że zmyślenia o sowieckich łągrach stanowią jedno z największych oszustw naszego stulecia. Sołżenicyn otrzymał Nagrodę Nobla, ale iluś durni nadal sądzi, że Archipelag Gułag w ogóle nie istnieje i nigdy nie istniał. Przypomnijmy, na jakie opory natrafiali Polacy, gdy wystąpili z inicjatywą wzniesienia pomnika katyńskiego w Londynie! A cóż powiedzieć o zwolennikach jednostronnego rozbrowienia Zachodu, którzy zbrojenia sowieckie przedstawiają jako przygotowanie do obrony, a nie do agresji? O *pacifistas* ekologach *antiamericanistas* i całej reszcie nieświadomych samobójców, usiłujących założyć sobie i innym sowiecką pętlę na szyję?

Antyamerykanizm skierowany jest, naturalnie, wyłącznie przeciw Stanom Zjednoczonym, przy czym wzmocnił się on ostatnio, gdy prezydentem został Reagan, nieukrywający swej wrogości do sowieckiego komunizmu. Toteż Moskwa usiłuje oskrzydlić niebezpiecznych *gringos*<sup>31</sup> od Ameryki hiszpańskiej, od Kuby, Nikaragui przy współudziale wszystkich lewicowych „demokratów”, a także, niestety, hiszpańskich socjalistów. Przy pewnej okazji przytoczyłem słowa Eugenio d’Orsa, który uznał Krzysztofa Kolumba za „wielce niedyskretnego człowieka”. Dlaczego? „Bo gdy się okryje taką rzeczą o Ameryce, lepiej o tym nie mówić nikomu”. Ta kostyczna uwaga dotyczyła Ameryki Południowej i Środkowej. Zdobywcy hiszpańscy nie wymordowali Indian, jak Anglosasi na Północy, i we współżyciu z nimi pomnożyli wszystkie przyniesione z Półwyspu Iberyjskiego wady. Stąd albo anarchia prowadząca do komunistycznej utopii, albo wojskowe i plutokratyczne dyktatury.

À propos i na marginesie zachowania się hiszpańskiego socjalizmu. *Alkalde m*, czyli burmistrzem Madrytu, został w wyborach majowych na dalsze lata profesor Tierno Galván, który kiedyś był entuzjastą mesjanizmu Hoene-Wrońskiego, a obecnie który przy każdej okazji deklaruje się jako marksista. Właśnie była w Madrycie matka Teresa z Kalkuty, która niedawno otrzymała Nagrodę Pokojową Nobla. W rozmowie z nią Tierno Galván oświadczył, że „Jezus Chrystus to najlepsza droga do pokoju i miłości”. Pan burmistrz, który jako marksista jest agnostykiem, najwidoczniej dąży do tego samego co sandiniści w Nikaragui, czyli

---

<sup>31</sup> *Gringos* (hiszp.) – tu: Amerykanów.

do skomunizowania Nowego Testamentu. Jakże, przecież Chrystus był prekursorem komunizmu! To stara teza, wymyślona jeszcze przed rewolucją, a dziś forsowana przez „kościół narodowy”.

Gdybyż ludzie uprawiający zawodowo politykę więcej czytali i zastanawiali się nad tym, co przeczytali! Intelktualna Hiszpania obcho-dziła ostatnio setną rocznicę narodzin znakomitego myśliciela i pisarza z młodszych roczników „pokolenia 1898”, José Ortegi y Gasset, autora znakomitych i proroczych książek z *Buntem mas* na czele. Zakwalifi-kowano go swego czasu jako konsekwentnego liberała, co znaczyło, że go absolutnie nie rozumiano. Wychowanek niemieckich uniwersyte-tów wyszedł daleko poza granice germańskiej filozofii. W twórczości Goethego, „największego niemieckiego Europejczyka”, dostrzegł brak kompromisu między umiarem (*Mass*) a *Sturm und Drang*<sup>32</sup>, co spo-wodowało, że Niemcy, siedząc w sercu Europy, wciąż się przeciw niej buntowali. Ortega y Gasset cytował z przekonaniem słynne zdanie Erd-manna: „być anty-Niemcem może być tylko Niemiec”.

Jego następcy dodali: „być anty-Hiszpanem może być tylko Hisz-pan”. Stąd wynikło starcie między nacjonalizmem i integracją uniwer-salną. Ortega widział rozwiązanie właśnie w kompromisie; uniwersaliści nie powinni zapominać, że narody istnieją. A więc znowu to samo: jed-ność nie powinna przekształcać się w uniformizm, który niesie ludom i narodom totalitarna dyktatura komunistyczna. Stąd należy energicz-nie piętnować i zwalczać jej sprzymierzeńców, zarówno świadomych, jak nieświadomych, działających z naiwnej głupoty. Ci ostatni są bodaj najszkodliwsi, co wielokrotnie w swoich artykułach podkreślałem, gdyż działają z całą dobrą i gorliwą wiarą, godną lepszej sprawy.

Gdy w niewiele lat po pierwszej wojnie światowej emigracyjny filozof rosyjski Bierdiajew pisał o „powrocie do średniowiecza”, miał na myśli średniowieczną jedność psychiczną i kulturalną, najlepiej re-prezentowaną przez wczesne uniwersytety włoskie, angielskie, fran-cuskie, przez hiszpańską Salamankę, a w wiekach późniejszych także przez wszechnice w Pradze, Wiedniu, Heidelbergu, a nade wszystkim w naszej krakowskiej Jagiellonce. Liberalno-demokratyczny wiek XIX pozostawił nam w spadku odziedziczoną po encyklopedystach bzdurną opinię o „mrokach średniowiecza”, gdy w rzeczywistości w wielu spra-wach powinniśmy się kierować ku tym „mrokom”, by znaleźć w nich

---

<sup>32</sup> *Sturm und Drang* (niem.) – burza i napór.

źródła odrodzenia naszych uczuć i myśli, zbyt często kierowanych na manowce przez intelektualnych uzurpatorów. To, oczywista, osobny temat, który również zasługiwałby na szczegółowe omówienie.

Zachód europejski i Ameryka znajdują się teraz w chwili decydującej o ich dalszej przyszłości. Albo przygotowywanie się do świadomej obrony, albo kapitulacja. Kapitulantów świadomych tego, co czynią, jest bardzo mało i ci nie stanowią większego problemu. Natomiast kapitulantów nieświadomych – zatrzęsienie. Stanowią prawdziwe zagrożenie tej wolności, w imię której tak gwałtownie występują.

*Czy zmierzch Zachodu?*

N19, k. 71–77 r. Pdr. po modyfikacjach: *Czy nadchodzi zmierzch Zachodu?*, „Tydzień Polski” 1983, nr 23.

## Rosyjskość i sowietyzm

L iteratura o tematyce i problematyce rosyjsko-sowieckiej jest olbrzymia. Z roku na rok dochodzą nowe pozycje; jedne z nich posiadają zasadniczą wagę, inne stanowią mniej lub bardziej ważne przyczynki. Składają się na to wszystkie rodzaje literackie: wspomnienia, publicystyka polityczna, eseje filozoficzne, historia, nawet poezja. Z pozycji, które wpadły w ostatnich kilku latach w moje ręce, wymienię Perelmana *Rosja porzucona*, Awtorchanowa *Siła i słabość Breżniewa*, Andrieja Amalrika *ZSRR i Zachód w jednej łodzi*, Paula Gomy *Le tre[m]blement des hommes*, François George'a *Pour un ultime hommage au camarade Stalin*.

Czytuję te książki przeważnie z dużym opóźnieniem, co usprawiedliwia brak czasu. Jestem chyba jedynym polskim pisarzem emigracyjnym, który utrzymuje się niemal wyłącznie z pióra. Do tego od niedawna doszedł nie najlepszy stan zdrowia. W tych warunkach niepodobna stawiać konieczne lektury na pierwszym miejscu, z konieczności to zajęcie musi być spauperyzowane w czasie.

Jednym z głównych zagadnień niepokojącym tych wszystkich autorów (najbardziej Rosjan) jest sprawa odrębności, względnie tożsamości Rosji historycznej, przedrewolucyjnej i Rosji sowieckiej. Postawiłem to doniosłe zagadnienie już w tytule niniejszego artykułu: *Rosyjskość i sowietyzm*. Poruszałem ten temat niejednokrotnie, a wciąż dochodzą nowe ujęcia, argumenty i kontrargumenty, nieustająca polemika zatacza coraz szersze kręgi, a nie są to rozważania czysto teoretyczne: ustalenie różnic i podobieństw powinno zdeterminować właściwą politykę, której na Zachodzie wciąż brakuje.

Teza skrajnych nacjonalistów na emigracji brzmi: „Bolszewizm to zjawisko niemające korzeni w rosyjskiej historii, sama idea przyszła z Zachodu: została narzucona rosyjskiemu Zachodowi siłą. Naród ten

padł i pada ofiarą totalitarnej tyranii komunistycznej w nie mniejszym stopniu niż inne narody wchodzące w skład ZSRR. Kładzenie znaku równości między rosyjskością i sowietyzmem stanowi fałsz historyczny i podstawowy błąd polityczny”.

Polscy skrajni rusofobi, a jest ich sporo i są niezmiernie autorytatywni, idą na najl[żejsz]ej linii oporu: ta sama barbaria co zawsze – i kropka. Historii rosyjskiej nie znają, o stanie obecnym mają pojęcie sprowadzające się do kilku sloganów. Takie samo absurdalne podejście charakteryzuje niektóre środowiska polityczne na Zachodzie, mało skłonne do krytycznego myślenia. Bolszewizm nie jest niczym nowym, wynikał organicznie z przeszłości, Rosjanie nie zmienili się ani na jotę, ten sam imperializm, szowinizm, pogarda ludzkich praw, gnębienie innych narodów.

Prawda, jak prawie zawsze i wszędzie, leży pośrodku. Bolszewizm nie urodził się w pustce historycznej, ma swoje tradycje, ale stuprocentowe utożsamianie go z rosyjskością stanowi fałszerskie uproszczenie. We wspomnianej książce Awtorchanowa znalazłem oryginalne i w znacznym stopniu trafne ujęcie sprawy akcji rusyfikacyjnej, prowadzonej na szkodę innych narodów – Ukraińców, Białorusinów, Kaukazczyków etc. A najpierw, dla wiadomości tych czytelników, którzy nie wiedzą, kim jest Awtorchanow, a może nawet nigdy o nim nie słyszeli. Jest to Czeczeniec (jedno z górskich plemion na północnym Kaukazie), zapewne zrusyfikowany, w młodości otrzymał solidne wykształcenie marksistowskie, wyrobił się na jednego z najwybitniejszych znawców rzeczywistości sowieckiej, a więc sowietolog z prawdziwego zdarzenia.

„Rusyfikacja mniejszych narodów – pisał Awtorchanow (rok 1979) – jest równie wroga do rosyjskiego narodu, jak do innych narodów – chodzi o utworzenie swego rodzaju etnicznej hybrydy, pozbawiając Rosjan ich historycznej świadomości i kulturalnej identyczności. Mamy do czynienia z derusyfikacją samych Rosjan...” Awtorchanow twierdzi, że bolszewizm nie stanowi internacjonalistycznej koncepcji, lecz ponadnarodową, to znaczy niwelującą wszystkie odrębności historyczno-kulturalne. A więc sowiecki totalitaryzm uderza we wszystkie narody, rosyjskiego nie wykluczając. Chodzi o absolutną niwelację wszelkich odrębności narodowych, o utworzenie narodu s o w i e c k i e g o . W oficjalnej nomenklaturze istnieje od dawna; jego pełną realizację ma przynieść najbliższa przyszłość.

Jest w tym wiele racji, ale Awtorchanow zapomniał o jednej ważnej sprawie: proces ten został rozłożony na dwa etapy. Najpierw rusyfikacja

innych narodów, a następnie derusyfikacja całości. Jednakże taka derusyfikacja natrafi na zasadniczą przeszkodę: język. Ojczysta mowa zawsze jest magicznym kluczem, otwierającym przeszłość historyczno-kulturalną. Utrata tego klucza bywa równoznaczna (choć nie zawsze) z utratą pamięci historycznej, a więc także odrębnej tożsamości kulturalnej. Przewaga rosyjskości jest więc pod tym względem niezaprzeczalna.

Awtorchanow energicznie przeciwstawił się dość rozpowszechnionej na Zachodzie koncepcji, według której „o zewnętrznej polityce Kremla decyduje nie globalna ideologia komunistyczna, lecz wspólny dla wszystkich wielkich mocarstw tradycyjny faktor narodowo-państwowych interesów”. Koncepcja ta odpowiada wielu zachodnim politykom, gdyż podsuwa formułki zwalnające od krytycznego myślenia, a jednocześnie niezmiernie cieszy panów eurokomunistów, recytując nieodmiennie bzdurę o odrębności komunizmu na Zachodzie, pozbawionego rosyjskich nałogów. Zwariowany paradoks: ratowanie ideologii komunistycznej kosztem rosyjskiego narodu. Zawinił wyłącznie ten naród, gdyż stracił czystą ideę komunizmu; eurokomuniści powracają do nieskażonych źródeł.

I ta sprawa jest o wiele bardziej skomplikowana, niż się to wydaje Awtorchanowowi. Nie utożsamiam sowietyzmu z rosyjskością, ale nie mogę nie zauważać zrostów i uzależnień leżących jak na dłoni. Z tym, że sowietyzm zabija wszystko, co w rosyjskości było pozytywne, a pielęgnuje i doprowadza do stanu *elefantiasis* wszystko złe i nieludzkie. „Rosji nie ma – pisał w rozpaczy Maksymilian Wołoszyn w roku 1918 – sama skazała się na całopalenie!”. Nie, to niezupełnie tak, jak w poetyckiej wizji autora *Demonów głuchoniemych*. Rosja nie przestała istnieć, a tylko pozwoliła się okaleczyć. Jeśli wolno użyć metafory: uległa złej pokusie, wypięła magiczny eliksir przyrządzony przez doktora Jekylla i zamieniła się w potwornego Mr. Hyde’a. Jak go odczarować, jak uczłowieczyć?

Koncepcja ponadnarodowego sowietyzmu ma swoje antecedensy w przeszłości, czego stronnicy jego rzekomo absolutnego ahistoryzmu jakoś raczą nie zauważać. Na początku wieku XVIII wymyślono nowe pojęcie rosjanizmu, unoszące się ponad rosyjskością. Tkwił w tym piruet lingwistyczny, który całkowicie uszedł uwadze zachodnich historyków i badaczy. Stara Moskwa zawsze pretendowała do opanowania wszystkich ziem ruskich.

Właśnie w jednym z emigracyjnych czasopism, zresztą doskonale redagowanym („Russkoje Wozroźdienie”), przeczytałem artykuł

o tym, jak powstał naród – tu muszę cytować w oryginale – „*nie russkij, a rossijskij*”<sup>33</sup>. Proszę zwrócić uwagę na zasadnicze przeciwstawienie. „*Rossijskij*” obejmuje wszystkie etniczne elementy, które złożyły się na imperium. Stąd autor cytowanego artykułu mógł napisać o „potężnym wkładzie do procesu formowania się *rossijskiej nacji*”<sup>34</sup>, dokonany przez Małorosję – Ukrainę”.

To już Puszkina postawił pytanie: „Czy słowiańskie strumienie połączą się z rosyjskim morzem?”. Ale pojęcie *rossijaństwa* jest znacznie szersze i nie ogranicza się do „słowiańskich strumieni”. *Rossijanin* to w takim ujęciu każdy, kto zna język rosyjski i zgadza się na przynależność do imperium. Gawriił Dierżawin w swoim naśladowaniu horacjańskiej ody *Exegi monumentum* zapowiadał, że jego sława pozostanie u „ludów niezliczonych”. Nie tylko u Rosja[n], także u wszystkich *Rossijan*. Baszkirów, Kałmuków, Uzbeków, Turkmenów, czemu nie, byle nie wyrwali się ku odrębnej wolności.

A więc były i są pewne analogie, których nie należy przekreślać ani przemilczać. Wystarczy, by się ich zbyt natrętnie nie wysuwało na pierwszy plan i nie przypisało głównej roli. A na to konieczny jest umiar i szczypta dobrej woli. A przede wszystkim obiektywne rozeznanie rzeczywistości, zarówno obecnej, jak minionej.

W rosyjskiej prasie emigracyjnej nie brakuje polemik kręcących się dokoła wyłożonych zagadnień, polemik nierzadko bardzo ostrych i wykluczających jakikolwiek kompromis. W wypadku słynnego generała Hryhorenki (Grigorenko) gwałtowna dyskusja ogarnęła także łamy emigracyjnych czasopism ukraińskich.

Nie tu miejsce na omówienie tej niecodziennej postaci i jej poglądów. Wspomnę więc tylko, że niektóre z nich wywołały zdecydowany sprzeciw w znacznej części ukraińskiej emigracji, która krytycznie i niechętnie zareagowała na główny postulat Hryhorenki: uzgodnienie walki niepodległościowej podbitych narodów z samym narodem rosyjskim. Ten szlachetny i odważny człowiek niewątpliwie ulega zbyt często pomysłom idealistycznym, a przez to mało realnym, by nie powiedzieć – utopijnym.

Podsumowując powiedziane, zwrócę uwagę na oczywisty fakt, że szerokim masom narodu rosyjskiego imponuje potęg[a] imperium,

---

<sup>33</sup> *Nie russkij...* (ros.) – nie ruski, a rosyjski.

<sup>34</sup> *Rossijskoj nacii* (ros.) – narodu rosyjskiego.

którego czują się współtwórcą i nosicielem. I nieważne jest, jaki procent nie-Rosjan zasiada w Komitecie Centralnym, w Politbiurze, na kluczowych pozycjach w życiu polityczno-społecznym i gospodarczym. W jednym ze swoich artykułów Hryhorenko rzucił następujące zdanie: „Nigdy rosyjski »imperialny naród« nie dopuściłby do tego, aby władzę dyktatorską objął nad nią gruziński gangster Koba, zrusyfikowany Ukraińiec, Chruszczow, albo Bułgar z Ukrainy, Breżniew”. Bardzo lekko-myślne zdanie, niesłuchanie łatwe do obalenia. Caryca Anna Iwanowna i Piotr III byli bardziej Niemcami niż Rosjanami; Katarzyna II – czystej krwi Niemką. A poczynając od Birona, poprzez różnych Rosenów, Geismarów i Dybitschów, aż po Rennenkampfa w armii cesarskiej roilo się od Niemców. Rosyjscy chłopci pańszczyźniani ginęli pod ich władzą bez słowa protestu, przez sto kilkadziesiąt lat tworząc potęgę i wielkość imperium. I dla wielu Rosjan czerwony sztandar na Bramie Brandenburskiej w Berlinie w roku 1945 to wystarczająca racja, by w razie potrzeby nadal ginąć za władzę Stalinych, Chruszczowych, Breżniewych.

*Rosyjskość i sowietyzm*

N10, k. 51–62 r. Pdr. po modyfikacjach: *Rosyjskość i sowietyzm*, „Tydzień Polski” 1980, nr 30.

## W tej samej łodzi

W poprzednim artykule, umieszczonym w „Tygodniu Polskim” (*Rosyjskość i sowietyzm*), wyliczyłem kilka książek, wydanych w ostatnich paru latach, a w ten czy inny sposób oświetlających problematykę rosyjsko-socjologiczną. Między nimi zwróciłem uwagę na książkę Andrieja Amalrika, który swego czasu wywołał sensację w skali międzynarodowej, zapowiadając rozpadnięcie się Związku Sowieckiego na rok 1984. Zapowiedź ta została włączona wraz z nowym wstępem do książki wydanej obecnie; uzupełniają tom artykuły i przemówienia różnego pochodzenia i z różnych lat.

Ogólny ton jest pesymistyczny. Amalrik rzucił metaforę: „W nieznanym kierunku płynie wielka łódź, w której siedzą liczne narody, niczym galernicy przy wiosłach”. Związek Sowiecki trzyma w rękach ster. On jeden wie, dokąd płyną, wiosłarze nie wiedzą, lecz posłusznie wiosłują. Sternik opowiada im uspokajające bajeczki, wiosłarze niekiedy zdobywają się na słowa krytyki i na protesty, ale na ogół wierzą i przestróg nie bardzo chcą słuchać, zwłaszcza jeśli te pochodzą od Rosjan i ludzi z krajów satelickich.

Znamienny przykład. Swego czasu wieloletni moskiewski korespondent „Washington Post” ogłosił przed paru laty artykuł, w którym uznał za wskazane twierdzić, że tzw. „dysydenci” wprowadzają opinię zachodnią w błąd, przecierając sowiecką rzeczywistość. Amerykański dziennikarz poznał ją „lepiej” niż ci, co mają za sobą lata całe więzień, łagrów i szpitali dla wariatów. Ten ochotniczy sojusznik Wielkiego Sowieckiego Sternika ani się domyśla, że występuje przeciw ludziom pragnącym ochronić Zachód przed zgubą. Inny przykład, jeszcze bardziej zatrważający. Dość dawno (Amalrik przebywał wtedy jeszcze w Rosji) sowiecki minister sprawiedliwości w wywiadzie ogłoszonym

przez czasopismo „Nowy Czas” zapewniał, że w Sowietach nie ma więźniów politycznych. Amalrikowi udało się przemyścić za granicę artykuł obalający kłamliwe zapewnienia Suchariewa. Został on częściowo lub w całości podany na łamach wszystkich poczytniejszych dzienników i czasopism na Zachodzie. Udokumentowane zaprzeczenie Amalrika ukazało się (w urywkach) jedynie w trzech krajach zachodnich. Prasa angielska i amerykańska pominęła je całkowitym milczeniem.

Sowiety uprawiają mistyfikację o niesłychanym natężeniu. Ale wystarczy odrobina prawdy, aby nadęty balon pękł i nic z niego nie pozostało. Ale Zachód nie chce tej prawdy, odrzuca ją, jeśli nie w całości, to w znacznej części. Jest jak małe dziecko, które nie lęka się ognia, bo nie rozumie jego funkcji. W pierwszych dniach lipca br. bawił w Madrycie Olof Palme, przywódca szwedzkich socjalistów. Na konferencji prasowej wywróżył, że wszystkie kraje zachodnioeuropejskie pójdą w najbliższym czasie na lewo i powołał się między innymi na... Finlandię. Widocznie nie zdążył jeszcze domyśleć się, że sama sytuacja geopolityczna tego dzielonego kraju przesądza o sytuacji wewnętrznej. Co do Szwecji, oświadczył, że była i nadal będzie neutralna. O Afganistanie wołał nie mówić. Po co? To zbyt przykry epizod, niepotrzebnie zakłócający piękny, międzynarodowy krajobraz...

Politycy tego typu nie rozumieją, że w razie nowego, powszechnego konfliktu nikt się pod krzaczkiem neutralności nie ostoi. Szwecja pozostała neutralną podczas drugiej wojny światowej tylko dlatego, że Hitlerowi na jej okupacji nie zależało. Dania, Norwegia, Holandia i Belgia także były neutralne, a jednak nic im to nie pomogło. Gdyby Sowiety postanowiły uderzyć na Zachodnią Europę, Półwysep Skandynawski także padłby ich ofiarą i neutralistyczna gadanina Olofa Palme zwiędłaby w ciągu niewielu godzin.

O Sowietach jeszcze niewiele wiedziano na Zachodzie, a już Sigmund Freud zadawał niepokojące pytania. „Dla komunistów sama natura ludzka jest dobra; zepsuło ją prywatne pożądanie. Próba ustanowienia komunistycznej władzy uzasadniona jest psychologicznie dążeniem do zniszczenia burżuazji. Warto by zastanowić się, co zaczną robić Sowiety, kiedy wszyscy burżuje zostaną zniszczeni”. Freud mógł zadawać to niepokojące go pytanie przed trzydziestu kilku laty. Historia dała na nie odpowiedź już dawno. Czytajmy zachodnią prasę komunistyczną sprzed ćwierćwiecza, gdy w Sowietach Stalin kontynuował straszliwy terror. „Nikt bardziej od Stalina – pisało „L’Humanité” – nie

ceni ludzkiego życia”; „życie każdego sowieckiego człowieka wygląda jak bajka w oczach obywateli kapitalistycznych krajów”. No, cóż, różne bywają bajki – nie brakuje koszmarnych, o czarownicach, zbójcach, wariatach, sadystach!

Ktoś nazwał komunizm „zrealizowanym marzeniem”. To prawda, tyle tylko, że marzenie zjawilo się w utopijnym śnie, który po zrealizowaniu zamienił się w potworny koszmar. Utopijny sposób myślenia odrzuca pojęcie stopniowego postępu, więc wprowadzony w życie stosuje metody gwałtu, przemocy, rewolucyjnego przełomu. Utopia wymaga bezwzględnej wiary, nie znosi krytyki, prowadzi do bałwochwaltwa.

Utopii, poczynając już o[d] starych Greków, nigdy w dziejach ludzkości nie brakowało. Tomasz Morus, Jean Jacques Rousseau – to nazwiska najbardziej znane, groźnie zaczęło się dopiero od schyłku XVIII stulecia, a więc od Rewolucji Francuskiej. Z triady rewolucyjnych haseł wolność i braterstwo miały charakter pozytywny, natomiast równość (*egalité*) zinterpretowana właśnie w sposób utopijny narobiła niemało szkód. Już Babeuf nieodpowiedzialnie deklamował o nadejściu „rządów, które zlikwidują wszystkie przegrody, ściany, zamki, procesy, zabójstwa, trybunały i szubienice”, ale tej deklamacji potrzebne było „naukowe uzasadnienie”. Pierwsi socjaliści francuscy, z *monsieur* Fourierem na czele, zaczęli marzyć na jawie o zwycięstwie utopii, aż przyszedł Marks ze swoim historycznym determinizmem, dokładnie wyznaczył miejsce dla przyszłego raju i ogroził je solidnymi murami doktryny. Niestety, raj pozostał na papierze. W rzeczywistości mieliśmy Lenina i Stalina, czerzycyjkę i łagry, jak obecnie mamy Breżniewa, KGB i „psychuszki” (szpitale dla wariatów). Bo każdy, kto niedowierza utopii, zasługuje na to, by go traktować jako wariata.

Nieco łagodniejszą formę nadano tzw. „demokracjom ludowym”, które mają to do siebie, że nie są ani demokratyczne, ani ludowe. A czy istnieje demokracja marksistowska? Bardzo zabawne widowisko mamy od kilku lat w Hiszpanii. Socjaliści nie mogą się zdecydować: są marksistami czy nie? Jedni deklarują się jako marksiści, drudzy nie chcą, jeszcze inni nie bardzo wiedzą, jak się zachować. A znowu starzy sykofanci<sup>35</sup> Stalina są marksistami, ale nawet do Lenina nie chcą się przyznać. Niedawno na jednym z madryckich cmentarzy odbyła się wielka uroczystość: pogrzeb prochów zmarłego poza Hiszpanią założyciela

---

<sup>35</sup> Sykofanci – tu: donosiciele.

PSOE, Pablo Iglesiasa. Czerwone sztandary, podniesione pięści, *¡Arriba, parias de la Tierra...*<sup>36</sup> („Wyklęty, powstań...!”).

Przy tej okazji monarchistyczny dziennik „ABC” przypomniał wielką demonstrację antyfrancuską zorganizowaną w Madrycie przez tegoż Pablo Iglesiasa. Był rok 1919, w Rosji toczyła się zaciekle wojna domowa, rząd francuski popierał białych generałów (Denikina, Wrangla). Przy okrzykach „*Viva Rusia!*” („Niech żyje Rosja!” – oczywista, bolszewicka) pochód udał się pod gmach ambasady francuskiej. W rok później polski proletariats wraz z całym narodem odrzucił kuszące hasła rewolucji październikowej i przyczynił się do zwycięstw nad Wisłą i nad Niemnem. Bo też polski socjalizm wykrystalizował się i okrzepł w walce o niepodległość, a nie za biurkami doktrynerów. I na wiecach, zebraniach, manifestacjach śpiewano nie *Międzynarodówkę*, lecz *Gdy naród do boju wyrusza z orężem* albo *Nasz sztandar płynie ponad trony...* Programy polskich socjalistów były konkretne, realne, a nie utopijne, nie wydumane na konwentykłach inteligentów udających proletariuszy (humorystyczna wojna wypowiedziana krawatom).

Mówi się ciągle o możliwości dojścia do władzy w Hiszpanii lewicy demokratycznej. Gdyby się tak stało, projekt rozszerzenia Paktu Atlantyckiego na ten kraj uległby likwidacji. Symbioza socjalistów hiszpańskich z komunistami jest faktem dokonany i stanowi nową, zreformowaną formę Starego Frontu Ludowego, choć się tej nazwy starannie unika z uwagi na niedobre wspomnienia z lat 1936–39.

Stosunek rządu hiszpańskiego do Związku Sowieckiego jest niewyraźny. Niejednokrotnie podkreślałem, że zarówno Santiago Carrillo, sekretarz generalny Partii Komunistycznej, jak Felipe González, przywódca PSOE, mają w Sowietach doskonałą prasę, konsekwencja negatywnego stosunku obydwu do ewentualnego wejścia Hiszpanii do Paktu Atlantyckiego. Takie wejście przekreśliłoby wszystkie plany moskiewskie w stosunku do Półwyspu Iberyjskiego. Spora część Hiszpanów sądzi naiwnie, że trzymając się oburącz neutralności (analogia ze wspomnianym Olofem Palme), będą siedzieć spokojnie za Pirenejami, choćby miał zapalić się cały świat. Do tego dochodzi swoisty antyameerykanizm, który ostatnio przejawiał się choćby w decyzji wzięcia udziału w Igrzyskach Olimpijskich w Moskwie. Afganistan Afganistanem, a należy zrobić wujaszкови Samowi na złość. Dla samej satysfakcji.

---

<sup>36</sup> Zob. przyp. 29.

Moskwa nie szuka żadnego polskiego kontrahenta, bo już posiada o[d] trzydziestu pięciu lat: reżym warszawski i KPP, posłuszni w stu procentach każdemu życzeniu „starszego brata”. Ten proponowany „sojusz” może doprowadzić tylko do jednego: do udziału polskich dywizji w zbrojnym konflikcie z Chinami. Bo ewentualne rzucenie tych dywizji przeciw Amerykanom mogłoby doprowadzić do bardzo nieprzyjemnych niespodzianek.

Wystawiając na sztych prosowiecką i antychińską koncepcję, Ciołkosz zahaczył po drodze o bezpłodne rozważania jednego ze współpracowników paryskiego robotnika. „Znamy doskonale ten jałowy sposób rozumowania, który przed dziesięciu laty zapoczątkował śp. Zygmunt Zaremba i który nie dał żadnych konkretnych owoców oprócz kilku broszurek, mających dzisiaj już tylko archiwalną wartość”.

Sojusz z Moskwą to zgłoszenie się w charakterze dobrowolnych galerników do wiosłowania pod rozkazem Wielkiego Sternika.

Mogą mi na [to] odpowiedzieć, że nawet będąc błędną, jest to koncepcja w gruncie rzeczy jedyna i nie wystarczy jej krytykować i odrzucać, należy przeciwstawić inną, lepszą. A właśnie! W tym największy sęk: takiej koncepcji, takiego programu podzielanego przez całą emigrację nie ma. Trzeba będzie temu zagadnieniu poświęcić osobny artykuł.

*W tej samej łodzi*

N10, k. 55–65 v. Pdr. po modyfikacjach: *W tej samej łodzi*, „Tydzień Polski” 1980, nr 31.

## Rozmowa z roku 1943

**Y***o fui un ministro de Stalin (Byłem ministrem Stalina)* to tytuł książki Jesús Hernández wydanej po raz pierwszy, jeśli się nie myli, przed jakimś trzydziestu pięciu laty. Hernández był członkiem Komunistycznej Partii Hiszpanii, odegrał pewną rolę w wojnie domowej, następnie schronił się do Związku Sowieckiego i został mianowany członkiem Kominternu. Poznał dobrze rzeczywistość sowiecką i po wydostaniu się z Rosji napisał wymienioną książkę wymierzoną przeciw bolszewizmowi w stalinowskim wydaniu.

Właśnie madryckie „ABC”, pisząc o sprawach polskich, przypomniało jedną ze scen opisanych przez Hernándezę. Był rok 1942. Wicekomisarz spraw zagranicznych, Wyszyński, zaprosił Hiszpana na kolację, w której między innymi wzięli udział także wszechwładny szef NKWD Ławrientij Beria oraz pisarz Ilja Erenburg, stojący ówczesnie u szczytu sławy i wpływów. Przy wódce i dobrych daniach toczyła się żywa rozmowa. Erenburg zaczął mówić o solidarności zachodnich krajów demokratycznych i wyraził nadzieję, że solidarność ta przetrwa wojnę i utrwali się na stałe. Beria przerwał mu w brutalny sposób: „*Camarada*<sup>37</sup> Erenburg, widzę, żeście się ześlizgnęli ku oportunistycznemu odchyleniu i ku mentalności drobnoburżuazyjnej”. W ustach Berii takie oskarżenie zabrzmiało groźnie: Erenburgowi wszystka krew uciekła z twarzy. Początkowo zmilczał, ale gdy któryś z obecnych zaczął mówić o Stanach Zjednoczonych, postanowił odrobić utracony teren. „Najwidoczniej, towarzyszu Ławrientij, źle się wyraziłem. Nie miałem na myśli czynników imperialistycznych, lecz ludzi, które walczą obok nas od

---

<sup>37</sup> *Camarada* (hiszp.) – towarzysz.

samego początku wojny. Byłem w okupowanym Paryżu i mogłem zdać sobie sprawę z nienawiści, jaką Francuzi czują do agresora”.

Hernández poruszył sprawę Polski: „Hercen napisał kiedyś – powiedział Erenburg – że dzieli nas od Polaków jedynie ciężki cień przeszłości”. Hernández wyczuł, że poruszenie tej sprawy wywołało złe wrażenie wśród obecnych. Beria ponownie zabrał głos. „Jestem w sprawie polskiej o wiele bardziej radykalny, podobnie jak towarzysz Stalin. Wierzę w konieczność odpowiedniej propagandy, ale dla jej podparcia nic lepszego od iluś tam patroli NKWD. Co do całej reszty, wypadek Polski ma jedno rozwiązanie, jakie wszyscy dobrze znamy: okupowanie kraju przez Czerwoną Armię i powołanie rządu posłusznego Związkowi Sowieckiemu. W ten sposób skończy się stara historia Polski i zacznie się nowa historia, której autorami będziemy my sami”.

„To się wydaje właściwą metodą” – zanotował Erenburg, który koniecznie pragnął udobruchać niebezpiecznego Berię. Następnie dodał, aby nikt nie mógł mieć najmniejszych wątpliwości co do jego wiernej postawy: „Generał Anders i ci wszyscy Polacy, którzy w zgodnym chórze z nazistami niemieckimi przyznają im rację w sprawie rzezi katyńskiej, to wieprze, które oczekuje ten sam los: rzeźnia!”.

Erenburg znał prawdę, ale ratując własną skórę, musiał przypochlebiać się Berii. Dziennikarz hiszpański, który przypomniał tę rozmowę w madryckim „ABC”, dodał sarkastycznie: „Między kawiozem i kawą Erenburg miał dosyć czasu, by zmienić swoją kondycję *homo sapiens* na umysł antropoidy!”. Dalszy komentarz madryckiego publicyście: „Oto niebezpieczeństwo, czyhające na Polskę Solidarności, która jest czymś więcej, niż zwykłym syndykatem robotniczym. Niedawno napisałem na tej samej kolumnie, że rewolucja rosyjska stworzyła w Europie Wschodniej stan sprzed rewolucji francuskiej, gdy rządził stary feudalizm. Fakty mówią same za siebie. Jedynie nie znamy rzeczy najważniejszej: czy Związek Sowiecki zechce zaaplikować logikę swego systemu – i zakończy konflikt, ofiarując Polakom odpowiedź feudalną?”.

Beria zginął z ręki strzelca wyborowego podczas walki o władzę po śmierci Stalina. Po zreferowanej rozmowie żył jeszcze lat jedenaście. Był niewątpliwie, wraz ze swoimi szefami, organizatorem Katynia i innych miejsc zbiorowej kaźni polskich oficerów. Wszczęta wkrótce po śmierci krwawego Dżugaszwilego destalinizacja była jedynie taktycznym posunięciem i wkrótce została zahamowana. Ponownie zaludniły się mordwińskie i sybirskie łagry, choć nigdy nie osiągnęły liczebności

dawnych, „dobrych” czasów stalinowskich. Obląkany terror masowy, bijący na oślep obcych i swoich, ustał. Obecnie KGB wyłapuje ludzi, którzy są czy tylko wydają się niebezpieczni. Niepokornych intelektualistów skazuje się na banicję. Nie wszystkich.

Fakt, że w wielu łagrach więźniowie są narodowości nierosyjskiej (przeważnie ukraińskiej), świadczy o nasileniu walki z ruchami narodowymi. Stanowiły one zawsze w Sowietach czułą piętę Achillesa i taką piętą pozostały w jeszcze większym nasileniu po dziś dzień. Znamienne, że zarówno Zinowjew w swojej okrzyczanej na Zachodzie książce, jak Roy i Żores Miedwediewy albo wcale o tych ruchach nie wspominają, albo je lekceważą. Ale czy są to prawdziwi emigranci polityczni, czy wręcz odwrotnie? Sprawa niełatwa do sprawdzenia; o dwóch książkach Zinowjewa, wydanych stosunkowo niedawno, napiszę w „Tygodniu Polskim”. Na razie ocena ogólna: mocno mi nie przypadły do gustu, wietrzę w nich zamierzoną czy nie, ale wyraźną dywersję ideologiczną. Rad byłbym, gdyby mnie ktoś przekonał, że jest wręcz odwrotnie. Ale nie sądzę.

Sprawa polska wysunęła się obecnie na pierwszy plan. Tolerowanie odnowy w Polsce zamierzonej przez Solidarność wykracza daleko poza granice naszego kraju. W Moskwie widzą w tej odnowie grożące niebezpieczeństwo dla całości bloku wschodniego. Organizacje robotnicze w tych krajach, kontrolowane ściśle przez totalitarne rządy, ustosunkowały się do wezwania Solidarności negatywnie, ale to nie ma żadnego znaczenia, bo nie odzwierciedla prawdziwych nastrojów robotniczych. Przykład polski, jeżeli nie zostanie zaduszony siłą, może stać się zarzewiem uniwersalnym o konsekwencjach niewymiernych. Z każdym dniem staje się coraz bardziej jasne, że na Kremlu panuje bezradność, że nikt nie wie, jak się do wydarzeń polskich ustosunkować i jakie powziąć decyzje. Nie znaczy to, że niebezpieczeństwo już ustąpiło i że moskiewscy starcy nie pójdą na drastyczne metody, na jakie dotychczas się nie zdobyli.

Ważne jest, aby naród przetrwał zbliżającą się zimą w możliwie najlepszej kondycji fizycznej i moralnej. Dziennik madrycki, który przypomniał rozmowę między Bериą i Erenburgiem sprzed prawie czterdziestu laty, chciał w ten sposób wypowiedzieć swój niepokój co do dalszego przebiegu wydarzeń. Prawdziwe intencje Leonida Breżniewa *et consortes*<sup>38</sup> w stosunku do Polski nie różnią się niczym od

---

<sup>38</sup> *Et consortes* (łac.) – i współnicy.

cynicznych wypowiedzi Berii i nadskakującego mu Erenburga. Ale sytuacja zmieniła się zasadniczo i mało przypomina warunki, w jakich toczyła się tamta cyniczna rozmowa.

Technicznie sprawę ujmując, zmiążdżenie polskiego ruchu odnowy nie przedstawiałoby żadnych większych trudności. Oddziały armii polskiej nie mają zapasów amunicji ani benzyny, więc ich ewentualny opór miałby charakter krótkotrwały. Partyzantka? Chyba tylko przy pomocy amunicji zdobytej na wrogu. Afganistan jest w tym szczęśliwym położeniu, że ma wspólne granice z Chinami i z Pakistanem; Polska jest okrążona ze wszystkich stron. O powtórzeniu powstania listopadowego czy styczniowego nie mogłoby być nawet mowy. Ale zbrojna okupacja kraju pociągnęłaby za sobą koszty zbyt poważne, by się opłaciły, i to chyba jest główną racją, dla której Moskwa nie zdobyła się na zastosowanie metod drastycznych. Czy z biegiem czasu zastosuje? Zapytajcie Ekologa z „Myśli Polskiej”, on wszystko wie najlepiej!

Opisany duet Beria-Erenburg należy do historii. Protagonisci nie żyją. Świadectwu hiszpańskiego komunisty nikt nie zaprzeczy. Zbyt dobrze byli znani uczestnicy rozmowy, by żywić jakiegokolwiek wątpliwości. Ale taka sama rozmowa mogłaby się odbyć także dziś, powiedzmy Erenburga, gdyby żył, nie z Bериą, lecz z Breżniewem. Gdyby zechcieli być szczerzy! I gdyby przy nich był ktoś, jakiś Hernández, który by później dał świadectwo prawdzie. Czy nie należałoby jego książki przełożyć na polski i wydać w kraju? Przecież to eksminister towarzysza Stalina!

Właśnie przeczytałem rezolucję ogłoszoną w Płocku 22 września przez Komitet Obrony Więzionych za Przekonania; przeczytałem go w „Tygodniu Polskim” z 17 października. Jeden tekst został wysłany do ambasady ZSRR w Warszawie za pośrednictwem MSZ. Zapewne ugrzązł po drodze. Ale towarzysze z ambasady na pewno treść rezolucji poznali, choć ta dotarła do nich inną drogą. Zwracam uwagę na następujące zdania: „Rzekomy antysowietyzm jest niczym innym, jak mówieniem historycznej prawdy, do której w ciągu ostatnich trzydziestu sześciu lat nie mieliśmy prawa. Przemilcza się najazd Armii Czerwonej na Polskę w sojuszu z hitlerowskimi Niemcami jesienią 1939 roku, deportacje i mordowanie obywateli polskich i cały szereg innych spraw, rzucających cień na nasze wzajemne stosunki”.

Wszystko to stanowi oczywistą prawdę, ale do bolszewików nie dotrze, bo oni na każdy zarzut mają swoją własną odpowiedź, oczywiście opartą o kłamstwo i fałszowanie faktów historycznych. Bo jest

to system, który zawaliłby się natychmiastowo bezpowrotnie, gdyby wymienił tylko kilka słów prawdy. W rozmowie, którą zacytowałem na wstępie, a która odbyła się, gdy cały naród polski krwawił w walce z hitlerowskim terrorem, Beria wyłożył karty na stół: brutalnie i bez ogródek powiedział w dobranym towarzystwie, jakie ma razem z drugim zbrodniarzem w osobie Stalina plany i zamiary co do Polski. To w prywatnej rozmowie.

W oficjalnych oświadczeniach nie było o tym mowy. Przeciwnie, reżym sowiecki prześcigał się w wypowiedaniu pięknych frazesów, z których miało wynikać, że uszanuje wolę sprzymierzonego narodu i przyniesie mu w podarunku wolność i sprawiedliwość. I, naturalnie, także pełne uszanowanie kulturalnych i historycznych tradycji. Wiemy aż nadto dobrze, jak to w dalszej praktyce wyglądało.

Moskwa jest wściekła, że Polska usiłuje urwać się z jej obroży założonej, jak się Kremlowi wydawało, na wieki wieczne. Ach, te cudowne, genialne słowa wypowiedziane przez Ilję Erenburga do Ławrientija Berii podczas owej kolacji! Powtórzę je raz jeszcze: „Generał Anders i ci wszyscy Polacy... to wieprze, które oczekuje ten sam los: rzeźnia!”. Zawodowy podsłakiewicz sam do rzeźni nie trafił, w trudnych chwilach potrafił się wykręcić, ale szedł od jednego moralnego upadku do drugiego, jeszcze większego, jeszcze gorszego. Umarł w swoim łóżku, nie tak, jak Beria, którego powaliła kula fachowego snajpera.

Ale o tej rozmowie, ocalonej we wspomnieniu hiszpańskiego komunisty, żaden Polak nie powinien zapomnieć. Była to kwintesencja stosunku bolszewików do narodu polskiego. *¡Don Jesús Hernández, muchas gracias por su testimonio!* („Bardzo dziękuję za pańskie świadectwo!”)<sup>39</sup>.

Gdy przy owej kolacji zaczęto mówić o Polsce, Erenburg zacytował znane słowa Hercena, które już podałem za Hernándezem: „Dzieli nas od Polski jedynie cień przeszłości”. To za carskich czasów. Ów groźny cień rozrósł się, stał się jeszcze gęstszy, jeszcze mroczniejszy, jeszcze bardziej krwawy. Nie tylko poczynając od agresji w 1939 roku, od Katynia. Zacząć by należało od wojny 1919–20, a w latach późniejszych od wyniszczenia Nadberezyńców i Żytomierszczan, a także od rozstrzelania starych polskich komunistów, naiwniaków politycznych, którzy poszukiwali

---

<sup>39</sup> *Don Jesús...* (hiszp.) – Panie Jesúsie Hernándezie, bardzo dziękuję za pana świadectwo!

schronienia w Sowietach: Nalicki, Warszawski, Nina Rostowicz. Już wtedy, w 1938, Stalin przemyślał nad przyszłym paktem z Hitlerem i wołał się pozbyć tych komunistów, by nie stanęli na zawadzie.

Naród polski niejednokrotnie wykazywał dobrą pamięć historyczną. I o tę pamięć potknęli się ostatnio niesławni spadkobiercy zbrodni Stalina i Berii.

*Rozmowa z roku 1943*

N18, k. 10–18 r. Pdr. po modyfikacjach: *Rozmowa z roku 1943*, „Tydzień Polski” 1981, nr 47.

## Kisiel na kwaśno

Stefana Kisielewskiego nie znam, choć doszło kiedyś między nami do niezbyt przyjaznej wymiany zdań. O tym za chwilę. Czytałem go, naturalnie, z niezmiennym zainteresowaniem i dużo o nim słyszałem od osób trzecich. Był czas, gdy często przyjeżdżał do Paryża i zatrzymywał się w gościnnym domu „Kultury” w Maisons-Laffitte. Także i [ja] nieraz korzystałem z tej gościny, ale daty jakoś nigdy się nie zbiegły. Więc znałem go tylko z publicystyki i z opowiadań. Najczęściej, a z sympatią, choć niepozabawioną łagodnej ironii, mówił mi o nim nieodżałowany Zygmunt Hertz.

Z obszernego artykułu Wiktora Sukiennickiego *O geopolityce, Res Publicae, nacjonalnych patologiach i świętym Giedroyciu* („Kultura” paryska, nr 7/394 – 8/395, 1980), dowiedziałem się, że Kisielewski poświęcił mi w jednym z krajowych czasopism kilka zjadliwych uwag. Chodzi o mój paromiesięczny pobyt w Kanadzie i w Stanach Zjednoczonych w jesieni 1977. Według Kisielewskiego „ukrainofil Łobodowski użył tam, jak pies w studni”. „Ukraińcy... biedny Łoboda!”<sup>40</sup>.

Wszystko to Kisielewski wypisał po przeczytaniu mego artykułu *Ameryka po roku*, ogłoszonym przed dwoma laty w tejsze „Kulturze”<sup>41</sup>.

---

<sup>40</sup> Cytat, do którego odwołuje się Łobodowski, w rękopisie został podany w formie skrótowej (zapewne do późniejszego przepisania), natomiast w pierwodruku prasowym został rozwinięty do formy następującej: „Ukraińcy oskarżyli go, że pochodzi od Łobody, więc jest renegatem, zaś niektórzy Polacy krzyczą, że jest zdrajcą, bo w ogóle zajmuje się i interesuje Ukrainą; dowiedział się też, że »wolna Ukraina« nie potrzebuje żadnych sojuszników i że należy się jej, oprócz oczywiście Lwowa i Wołynia, także... Sandomierskie, Kieleckie, Radomskie, nie mówiąc już o Łemkowszczyźnie, Lubelszczyźnie, Bełżczyźnie, Lubaczewszczyźnie, Chełmszczyźnie i Podlasiu... Tu już sam Łobodowski nie zdzierzył i ryczy, jak ranny koń – biedny Łoboda!”

<sup>41</sup> Mowa o artykule Łobodowskiego *Wyprawa do Ameryki* („Kultura” 1979, nr 1–2).

To bardzo koronkowa robota – przedstawić wydarzenia niby zgodnie z autorskim sprawozdaniem, ale ustawić sprawy, rzeczy i opinie w najzupełniej fałszywym świetle. Bo to nieprawda, że użyłem „jak pies w studni”. Miałem bardzo duże powodzenie zarówno u Ukraińców, jak u Polaków. Że nie obeszło się bez zgrzytów, to co innego, ale Kisielewski robi taką minę, jak gdyby towarzyszyły mojej wycieczce same zgrzyty. To „wołanie na puszczy” okazało się i kłamliwe, i oszczercze. Nielojalność tym większa, że do czytelnika krajowego nie mam żadnego dostępu, więc złośliwych, a całkowicie błędnych informacji Kisielewskiego sprostować nie jestem w stanie.

Ale mniejsza o tę drobną prywatkę. Kisielewskiego tak bardzo ucieszyły moje „nieszczęśliwe” przypadki w jego własnej imaginacji, że znalazł jeszcze jeden argument do upewnienia się w postawie wszechstronnego wywiadowcy, węszącego wszędzie objawów „patologii nacjonalnych”. Cytuję za Sukiennickim najbardziej smakowity z wywodów w *Res Publicae*: „Sądziłem... zaiste!”<sup>42</sup>.

„Wizja istotnie makabryczna – zauważa Sukiennicki. – Szczególnie zaskakujący jest wynikający z niej wniosek, że jedyną rękojmnią istnienia jakiej takiej Polski jest potężny Związek Sowiecki. Niech tylko jego imperium zmurszeje i »zabraknie wschodniego żandarma« natychmiast nastąpi *Finis Poloniae*<sup>43</sup>, ostateczny i nieodwołalny!”

Pamiętam – to już było bardzo dawno, dobrych dwadzieścia lat z okładem – na życzenie redaktora Giedroycia przełożyłem zasadniczą pracę rosyjskiego prof. Fiedotowa, która następnie ukazała się w „Kulturze” (wszystkie drogi prowadzą do Maisons-Laffitte). Jak na Rosjanina był to tekst zupełnie wyjątkowy, zwłaszcza w tamtym okresie. Fiedotow zapowiadał, że Imperium rozleci się prędzej czy później na narodowe

---

<sup>42</sup> „Sądziłem, że to tylko Polacy tu i ówdzie, ciężko przez historię w tyłek bici, w końcu nie wytrzymali, poszaleli – tymczasem bzik nie gorszy ogarnął i pobratymców. Emigracyjna schizofrenia, patologia nieszczęśliwych – powiecie? Hm. Nie mogę się jednak opędzić od pewnej surrealnej wizji. Oto, gdy po latach stanie się wreszcie według prorocstwa świętego Giedroycia i muzułmanie, Gruzini, Bałtowie oraz Ukraińcy rozwałą w kawały mursejające Imperium Radzieckie, gdy zabraknie wschodniego żandarma, co wtedy będzie z naszą Polską? Rzucą się oto na nią wyposzczone Litwiny, Białorusy, Ukraińcy – i rozszarpią na sztuki. (Nie miałeś litości, Panie... I my nie znajmy litości! Szarpmy ciało na sztuki. Niechaj nagie świecą kości). Ostatni rozbiór Polski. *Finis Poloniae!* Z tego już nie powstaniemy. Wielka skleroza, wielka schizofrenia, wielkie Bałkany, jako wynik patologii, czyli ekscesów nowoczesnej historii?! Wielka Apokalipsa głupstwa zaiste”

<sup>43</sup> *Finis...* (łac.) – koniec Polski.

części składowe: Ukrainę, Białoruś, kraje bałtyckie, Kaukaz, Turkestan... Ba, przewidywał, że na Syberii także powstanie z biegiem czasu ruch separatystyczny. Przypomniałem sobie wtedy artykuł Włodzimierza Bączkowskiego wydrukowany na kilka lat przed wojną w „Biuletynie Polsko-Ukraińskim” pt. *Syberia czeka na sw[oj]ego Waszyngtona*. Zbieżność była zastanawiająca.

Kisielewski po przeczytaniu artykułu prof. Fiedotowa wpadł w oburzenie i mocno wyklócał się z Giedroyciem. A więc od dawna uważał całą koncepcję wyzwolenczą (nazwijmy ją, zgodnie z tradycją, prometejską) za szkodliwą i godzącą w interesy narodu polskiego. Obecne wystąpienie nie mogło mnie zatem zdziwić; jedynie zaskoczyła gwałtowność sformułowań. W ten sposób Kisielewski wysunął się na czoło tych wszystkich, dla których Stanisław Swianiewicz wymyślił kapitalne określenie „proowieccy antykomuniści”. Moskiewski żandarm mu się nie podoba, ale należy się chronić pod jego opiekuńczym skrzydłami. Na jak długo? – na całą wieczność?

Bezwarunkowa stawka na Rosję. „Gdy żyje się...”<sup>44</sup>. I dalej: „Polska nie jest... tożsamość”<sup>45</sup>. „Dostrzeżono wreszcie i zrozumiano... politycznych”<sup>46</sup>. Dopiero od roku 1971? Pan Kisielewski kpi, czy o drogę pyta?

#### *Kisiel na kwaśno*

N13, k. 5 r, 10–11 r. Jest to krótsza wersja felietonu, który ukazał się w październiku 1980 roku w „Orle Białym” (nr 194). Łobodowski jednostronną (jak sam się żalił) polemikę ze Stefanem Kisielewskim kontynuował, pisząc kolejne teksty, które publikował na łamach „Tygodnia Polskiego” (*Reytan czy Wernyhora, Rozkoszny Kisiel*).

W przypisach podano pominięte w rękopisie brakujące fragmenty cytowanych artykułów: Wiktora Sukiennickiego *O geopolityce, Res Publicae, nacjonalnych patologiach i świętym Giedroyciu* uzupełniono w oparciu o pierwodruk prasowy („Kultura” 1980, nr 7/8) oraz [Stefana Kisielewskiego] *O niektórych patologiach nacjonalnych* („Res Publica” 1979, nr 2).

---

<sup>44</sup> „Gdy żyje się między Niemcami a Rosją i nie jest się mocarstwem...”

<sup>45</sup> „Polska nie jest... (przynajmniej dotąd) krajem nędzy, lecz krajem olbrzymiego, centralnie zawinionego marnotrawstwa i dezorganizacji. Jest krajem gigantycznego zakłamania... Cóż z tego, że formalnie mamy państwo, gdy stajemy się sowiecką prowincją, a mimo wychwalanej jedności etnicznej tracimy z dnia na dzień swą narodową tożsamość”

<sup>46</sup> „Dostrzeżono wreszcie i zrozumiano konsekwentną od roku 1971 linię sowiecką w dziedzinach duchowych i politycznych”.

## Rejtan czy Wernyhora?

Kiedy swego czasu Stefan Kisielewski kandydował do tzw. Sejmu i, jak wiadomo, został wybrany, stał się nieświadomym swej czynności parawanem, ukrywającym całkiem przejrzyste cele reżymu. To mi w dużym stopniu zsumowało się (czytaj: skojarzyło się) z bardzo zabawnym artykułem Brukselczyka *Spowiedź dziecięcia wieku* („Kultura”, nr 9/396)<sup>47</sup>. Przedstawiono w tym artykule przygody belgijskiego dziennikarza, który pojechał na moskiewską olimpiadę i chciał przewieźć kompromitujące władzę sowiecką dokumenty i zdjęcia w brzuszku olimpijskiej maskotki, czyli sławnego Miszki. Poruszał się po Moskwie swobodnie, pewny, że zwiódł KGB. [-] na lotnisku, gdy szykował się do powrotnej podróży, „celnicy” rozpruli brzuszek Miszki, wyciągnęli cenny przemyt, a niefortunnego turystę po kilku godzinach aresztowania wysłali ciupasem z granic „ojczyzny proletariatu”. Przybył do ojczystej Brukseli nieuszkodzony, ale bez Miszki i jego nielegalnych wnętrzności.

Co to ma wspólnego z Kisielewskim? A to, że kiedyś sam wstąpił w kuluary „sejmowe”, pragnąc odegrać jakąś aktywną i pozytywną rolę, inaczej – oszukać warszawski „rząd”. Sądził, że, jak temu Miszce, uda mu się przemycić źle widzianą zawartość ideologiczną. Brzuszka mu wprawdzie, jak tej sowieckiej maskotce, nie rozpruto, ale „nieznani sprawcy” nieładnie go potraktowali na ulicy, a najważniejsze, że z zamierzonego odegrania historycznej roli wyszły zwykłe nici. Odtąd pisuje felietony do „Tygodnika Powszechnego” z reguły kastrowane przez cenzurę, a ponadto przemycia do Maisons-Laffitte swoje gorzkie żale, wyrozumiale traktowane przez redaktora Giedroycia. Cóż ma do powiedzenia polskim

---

<sup>47</sup> Mowa o artykule opublikowanym w rubryce „Widziane z Brukseli”, którą na łamach „Kultury” prowadził Leopold Unger (pod pseudonimem Brukselczyk).

emigrantom, wielu z których już-już chciało go umiejscowić w połowie drogi między Rejtanem i Wernyhorą, a może nawet wyżej?

Paryski Instytut Literacki ogłosił ostatnio kilka tekstów łagodnie czy ostrzej przeciwstawiających się pisarstwu popularnego Kisiele. Pisarstwu czy może lepiej jego pomysłom ideologicznym, historiozoficznym, geopolitycznym? W „Kulturze” wypowiedzieli się kolejno Jerzy Giedroyc, Socjusz i Wiktor Sukiennicki; w „Zeszytach Historycznych” Stanisław Swianiewicz. Kisiel nie wytrzymał i w teście „Kulturze” ogłosił replikę *Szczekanie aż po Sekwanę*<sup>48</sup>. Jest to polemika wyłącznie z Socjuszem, widocznie pisząc tę odpowiedź, autor jeszcze nie znał krytycznych tekstów Sukiennickiego i Swianiewicza. Nie odczuwają naszych problemów – zarzut ten jest skierowany do dwóch wymienionych z imienia i nazwiska osób, ale domyślam się, że dotyczy wszystkich emigrantów „mieszkających za granicą”. Ponieważ jednak zapowiada, że generalnie odpowie wszystkim dyskutantom, należy przypuszczać, że nadrobi tę lukę. Mnie zapewne uwzględnić już nie zdąży. Może przy innej, późniejszej okazji.

W swoich artykułach i felietonach, drukowanych w „Kulturze” pod wspólnym szyldem „Wołanie na puszczy”, Kisiel z uporem i konsekwencją wysuwa swój program, który dałoby się streścić mniej więcej tak. O zabicie imperium sowieckiego nie ma co nawet marzyć, a więc należy się do sytuacji powstałej w wyniku drugiej wojny światowej odpowiednio przystosować. Powinniśmy jedynie dbać o zachowanie „tożsamości narodowej”, zagrożonej przez ustawiczną sowietyzację. Rzucą się na nas Lit[ini], Ukr[aińcy] itd., jeżeli zabraknie sow[ieckiego] żandarma. A jeżeli temu żandarmowi przyjdzie do głowy, żeby przekreślić granicę zachodnią PRL i oddać Niemcom nie tylko Szczecin, Wrocław i Gdańsk, ale także Katowice, Poznań, Toruń? Nie przychodzi mu do głowy, że w razie opanowania całego świata przez Sowiety, nastąpi kolejne połykanie wszystkich narodów. A może pragnie odegrać rolę margrabiego Wielopolskiego?

Przede wszystkim zarzucam Kisielowi częste mijanie się z prawdą. Głoszone przez niego nieprawdy i półprawdy wynikły ze swoistej kapitulacji przed sloganami sowieckiej propagandy. Traktuję jako okoliczność łagodzącą supozycję, że jest to kapitulacja niezamierzona: po prostu Kisiel padł ofiarą dezinformacji. „Chodziło o to – pisze w polemice

---

<sup>48</sup> Artykuł opublikowany w „Kulturze” 1980, nr 9.

z Socjuszem – aby przypomnieć młodym, że graniczymy z dwustu pięćdziesięciu milionowym NARODEM SOWIECKIM”. Tak jest, by nadać temu fatalnemu zdaniu największą wagę, pisząc słowo naród sowiecki, wyróżnił je majuskułami. I zaraz podbudował następującym zdaniem: „Sześćdziesiąt lat prania mózgów, odcięcia od świata i przemieszania stworzyły na Wschodzie Europy nową sowiecką psychiczną zbiorowość, nową JAKOŚĆ, wobec której dawne podziały narodowe są fikcją”.

Nie jest to prawda! Oficjalna propaganda stale mówi o narodzie sowieckim, ale nie zatrząskuje furteczki zbyt szczelnie. Często-gęsto słyszymy i czytamy o narodach sowieckich. Ta „psychiczna zbiorowość”, ta „nowa JAKOŚĆ”, o których z taką emfazą pisze Kisiel, istnieją na papierze, stanowią główną część planu, dotąd niezrealizowanego. Gdyby było inaczej, Moskwa nie prowadziłaby usilnej rusyfikacji, pomyślanej jako wstępna faza przed całkowitą sowietyzacją. W polemice z Socjuszem Kisiel powołał się na świadków; poradził swemu adwersarzowi, aby wczytał się uważnie w *Présent soviétique et passé russe!*

Besançoną nie czytałem, ale dzieła Sołżenicyna, Zinowjewa i artykuły Kruczka znam nie gorzej od Kisiel. Jego interpretacja tych autorów jest najzupełniej dowolnie podciągnięta pod osobisty, ze wszech miar mylny strychulec.

Oczywisty wniosek końcowy: Kisiel stał się psychicznym i moralnym kapitulantom, a że jest ambitny i marzy mu się rząd dusz, zapragnął swą kapitulancą postawą zarazić głównie emigrację, bo tylko na łamach pism wychodzących na Zachodzie może jasno formułować swoją postawę (dorywcze wystąpienia w krajowych czasopismach). Więc na dość niedorzeczne pytanie, postawione w tytule tego „worka”: „Rejtan czy Wernyhora?”, odpowiedzieć trzeba negatywnie. A może kandydat na nowego margrabiego Wielopolskiego? Także nie! To po prostu intelektualny ciura, który uciekł z walczącego obozu i zaczął działać na rzecz wroga. Świadomie? Ależ nie! I właśnie ta okoliczność wystawia niezwykle ubogie świadectwo jego politycznej inteligencji i historiozoficznej wyobraźni. Ani mi w głowie posądzać go o tak daleko posuniętą perwersję.

Napisał, że „pranie mózgów” odbywa się w Sowietach od sześćdziesięciu lat. Bardzo niecisła opinia, naprowadzająca na podejrzenie, że historii przemian w Związku Sowieckim w ogóle nie zna, a tym samym ich sensu nie rozumie. W pierwszym okresie tzw. wojującego komunizmu nastąpiło coś w rodzaju kulturalnego NEP-u. Lenin doskonale rozumiał,

że tuż po zakończeniu przewlekłej wojny domowej, gdy władza sowiecka daleka była od stabilizacji, natychmiastowe niszczenie rozbudowanych i rozjątrzonych przez rewolucję ruchów narodowych może okazać się zbyt niebezpieczne i poszedł na daleko idące ustępstwa.

W utworzonych republikach pozwolono na daleko idące unarodowienie szeregu instytucji, przede wszystkim kulturalnych. Konkretnym i najbardziej reprezentatywnym przykładem – sowiecka Ukraina. Nastąpił tam jedyny w swoim rodzaju wybuch, stanowiący odrodzenie ukraińskiej literatury, zwłaszcza poezji, teatru, sztuk plastycznych. Powszechnie ulegano złudzeniu, że to zjawisko nieodwracalne i nawet liczni Ukraińcy lwowscy w to uwierzyli i niektórzy intelektualiści przenosili się do Kijowa czy Charkowa, nie wiedząc, co ich czeka w niezbyt dalekiej przyszłości.

Okres tego narodowego rozkwitu zakończył się tragicznie na początku lat trzydziestych. Opór wsi ukraińskich przeciw kolektywizacji złamano terrorem i sztucznym głodem, twórcza inteligencja kończyła w poszczególnych wypadkach żalną kapitulacją (Rylski, Tyczyna, Bażan), przeważnie jednak w piwnicach GPU i łagrach. Samobójczy wystrzał Mykoła Chwyłowego stał się żalobną fanfaramą tego okresu, który przeszedł do historii narodowej pod nazwą „Rozstrzelane Odrodzenie” (*Rozstrilane Widrodzennia*). I naród długo jeszcze żył wspomnieniami owych lat, a odżyły one już po drugiej wojnie światowej z taką siłą, że ich echa odzywają się po raz po dziś dzień. Więc naród ukraiński istnieje, choć okaleczony i przygłuszony, i nie jest żadną fikcją, jak się lekkomyślnie przyśniło Kisielowi.

A czy sądzi, że np. Litwini, Łotysze, Estończycy czy – że przesunę się o tysiące kilometrów – Kaukazczycy już wsiąknęli całkowicie w sowiecką „JAKOŚĆ”, już ich mózgi bez reszty zostały wyprane ze świadomości narodowej? Ten osąd wypłynął, niestety, z faktu, że Kisiel uległ absolutnej dezinformacji. Poleca innym różne lektury. Ja bym mu także polecił, by uważniej czytał choćby „Kulturę”, która z franciszkańską cierpliwością zamieszcza jego „Wołania na puszczy”.

W tym samym numerze, w którym ogłosił powstanie jednego „narodu sowieckiego”, znajdzie rozmowę przeprowadzoną w Toronto przez Benedykta Heydenkorna z poetą ukraińskim Światosławem Karawanskym. Spędził on trzydzieści lat (z przerwami), czyli połowę swego życia, w więzieniach sowieckich. Czytelnika polskiego powinno zainteresować, że jeden z wyroków na dziesięć lat otrzymał za głoszenie prawdy o zbrodni

katyńskiej. Niech Kisiel sobie przeczyta, co Karawansky powiedział o sytuacji na Ukrainie. „Bez wahania mogę stwierdzić, że przeżywamy na Ukrainie renesans narodowy. Umacnia się świadomość odrębności narodowej, rozwija się działalność kulturalna i społeczna. Walczy się uporczywie i świadomie o wolność słowa”. Prawda, zaraz potem dodał, że „o ile wiem, nie ma na terenie Ukrainy żadnej niekomunistycznej organizacji. Wszelkie przejawy opozycji są likwidowane. Bodajże wszyscy członkowie tzw. grupy Helsinek zostali aresztowani. O nastrojach rewolucyjnych nie może być mowy. Powtarzam: ludzie walczą o margines wolności osobistej i narodowej. Trzeba przy tym uważać, żeby nie stracić pracy; zwalnianie jest jedną z form represji wobec niepokornych. Ważnym problemem jest pomoc dla aresztowanych, a liczba ich wzrasta, nie spada. Jedność i solidarność narodową obserwujemy, właśnie gdy chodzi o pomoc dla aresztowanych i prześladowanych”.

W Polsce także nikt nie myśli o rewolucji dawnego typu, z burzeniem Bastylli i wznoszeniem barykad. Ludzie także walczą o „margines wolności osobistej i narodowej”, jak Ukraińcy, Bałtowie, ludy kaukaskie i turkiestańskie. A czy Kisiel słyszał o turkiestańskich basmaczach, czyli partyzantach? A skoro walczą (dwadzieścia lat), twierdzenie Kisielego, że już powstał jeden naród sowiecki, zaś „dawne podziały narodowe są fikcją”, rozkłada się bezradnie na dwie łopatki. Co gorsza, stanowi obelgę pod adresem takich jak Karawanskyj, Moroz, Hryhorenko pod adresem tropionych, prześladowanych, sądzonych, skazywanych, żywcem gnojonych w łagrach śmierci, „psychuszkach”. Kisiel ich przekreślił, postawił nad nimi znak krzyża w imię fałszywej teorii narzuconej przez propagandę „starszego brata”. Widocznie jej megafony doskonale słycać „na puszczy”. I wygląda na to, że Kisiel sam sobie nie zdaje sprawy z uprawiania propagandowej fikcji, którą karmi swoich czytelników.

Napisałem, że nie przestrzega elementarnej konsekwencji, jeżeli ostrzega przed nacjonalizmami, które nas rozszarpią, gdy zabraknie „wschodniego żandarma”. Znaczy to, że owe drapieżne nacjonalizmy istnieją i w przyszłości mogą nam zagrozić, a zaraz potem zalicza je do fikcji, bo już powstał jeden „naród sowiecki”. Czy to nie zasadnicza sprzeczność?

Jak długo będziemy przebywać w sowieckiej orbicie, nikt nie odgadnie. Ta pierwsza część pytania jest zaskakująca. Przecież z tego wszystkiego, co Kisiel w ciągu br. napisał, wyraźnie wynika, że uważa naszą geopolityczną sytuację za stan permanentny. Druga część także

mnie zaskoczyła. Kisiel wymienia Rosjan. Znowu przeczy sam sobie. Skoro dawne podziały narodowe uznał za fikcje i pisze stale o „narodzie sowieckim”, to jacyś tam Rosjanie?! Skoro tak, można się zastanawiać jedynie nad tym, czy stanowisko „narodu sowieckiego” pozostanie „przesądzone i niezmiennie”. Chęć przełamania geopolityki, walka o tożsamość międzynarodową? Jedno z drugiego wynika, łączy się i uzupełnia. Po upadku starej Rzeczypospolitej polscy niepodległościowcy, od Kościuszki, poprzez wszystkie powstania – aż po Piłsudskiego, nie rozdzielali tych zagadnień. Świadomość odrębności narodowej, a więc także duchowej i kulturalnej, rodziła wolę zbrojnego przełamywania praw geopolitycznych, a choć te próby przez dłuższy czas przynosiły same klęski, owa tożsamość za każdym razem wychodziła wzmocniona, aż doczekała się zwycięstwa. Niech się Kisiel nie łudzi! Jeżeli idąc za jego radami, naród polski przestanie myśleć o niepodległości, „tożsamość narodowo-społeczna” także ulegnie zachwianiu, jeżeli nie likwidacji.

*Rejtan czy Wernyhora?*

N13, k. 44–50 r. Tekst powstał pod koniec 1980 roku w reakcji na felieton Stefana Kisielewskiego *Szczekanie aż po Sekwanę* („Kultura” 1980, nr 9). Miał ukazać się jako jeden z felietonów z cyklu „Worek Judaszów” na łamach „Wiadomości”, w zmienionej wersji został później opublikowany na łamach „Tygodnia Polskiego” w styczniu 1981 roku (nr 4).

## Prawda leży na stole

Przez dłuższy czas towarzysz gensek Leonid Iljicz Breżniew korzystał w oficjalnej opinii Zachodu z „taryfy ulgowej”. Że niby skromny i cichy, liberalizujący pacyfista, a do tego „śmiertelnie chory”, co naturalnie wyciskało łezki współczucia u zafascynowanych własną głupotą „realistycznych” zwolenników rozładowania za wszelką cenę. Dopiero Afganistan podziałał jak wiadro zimnej wody wylanej na rozgorączkowane łby zawodowych optymistów. Nie wszystkich.

A przecież żadnej niespodzianki nie było. Przecież Breżniew nigdy nie ukrywał strategicznych, taktycznych planów globalnej polityki Związku Sowieckiego, przeciwnie, stale je wykladał i wyklada na stół. Co tu dużo gadać! Breżniew jest gorszy i groźniejszy od samego Stalina. Wprawdzie nie przeprowadza masowych czystek; zamiast roz[s]trzeliwać, skazuje aliantów na banicję, ale to są sprawy wewnętrzne. Chodzi mi o politykę zewnętrzną, zakrojoną na skalę światową. Na tym terenie Breżniew działał o wiele więcej niż wszyscy jego poprzednicy razem wzięci. I z każdym rokiem, z każdym agresywnym posunięciem staje się coraz bardziej bezczelny i pewny siebie.

Nigdzie, w prasie żadnego kraju (wyjąwszy rosyjskie czasopisma emigracyjne) nie znalazłem najlżejszej próby określenia sylwetki Breżniewa na podstawie jego własnych wypowiedzi i sformułowań. Nikt nie zadał sobie tego łatwego trudu? Dlaczego? Brak informacji czy zwykłe lenistwo?

Jeszcze w roku 1971 w moskiewskiej „Prawdzie” ukazał się artykuł, w którym Breżniew w następujący sposób scharakteryzował postawę Lenina: „Tak, Lenin urodził się w Rosji, ale rosyjską rewolucję zawsze uważał za składową część i faktor rewolucji wszechświatowej”. „Pragniemy raz jeszcze zapewnić wszystkich naszych sojuszników – komunistów całego

świata: nasza Partia zawsze będzie maszerować razem z wami w tym samym zwartym, bojowym szyku. Całkowity tryumf socjalizmu w skali światowej jest nieunikniony i o ten tryumf będziemy walczyć, nie żałując sił!”

A jak potraktował słynne „pokojowe współistnienie”, czy, jeśli kto woli, „rozładowanie”? Oto charakterystyczne wyimki z przemówienia, wygłoszonego na XXV Zjeździe KPSS: „Rozładowanie stwarza warunki sprzyjające rozszerzaniu ideologii socjalistycznej. Niektórzy działacze burżuazyjni hałasują z racji solidarności sowieckich komunistów z walką innych ludów... To albo naiwność, albo zamierzone zaćmiewanie mózgow. Rozładowanie w najmniejszym nawet stopniu nie zmienia zasady walki klasowej. Nikt nie powinien liczyć na to, że pod wpływem rozładowania komuniści pogodzą się z kapitalistycznym wyzyskiem!”

W tym samym przemówieniu Breżniew uściślił zasady sowieckiej polityki w stosunku do tzw. „walczących patriotów”. „Działalność naszej Partii na terenie międzynarodowym jest niezwykle rozległa i wielostronna: na pewno nie ma takiego zakątka na świecie, gdzie sytuacja w takiej czy innej formie nie byłaby brana pod uwagę przy kształtowaniu naszej polityki zewnętrznej”. Wszystkie te cytaty są do sprawdzenia, gdy[ż] przemówienia Breżniewa są zawsze utrwalane drukiem na łamach moskiewskiej „Prawdy”. Niestety, politycy wolnego świata nie chcą ani informować się, ani sprawdzać.

Na Zachodzie przeważa opinia, że Breżniew zagalopował się, nie przewidział gwałtownej reakcji na inwazję Afganistanu i ta reakcja go zaskoczyła. Nie jestem tak bardzo tego pewny. 13 stycznia, a więc w dwa tygodnie po rozpoczęciu akcji pacyfikacyjnej, Breżniew w wywiadzie udzielonym tejże moskiewskiej „Prawdzie” oświadczył w formie kategorycznej: „Komitet Centralny Partii i rząd sowiecki działały z pełną świadomością swej odpowiedzialności biorąc po[d] uwagę wszystkie możliwe okoliczności”. I dodał chełpliwie: „U nas, jak wiadomo, słowa zawsze idą w parze z czynami”.

Należałoby to powiedzenie uzupełnić. U nich, istotnie, zbrodnicze czyny idą w parze z kłamliwymi słowami. I vice versa. Niekiedy tylko zmienia się kolejność, ale i tak wszystko na jedno wychodzi. Powiedzmy, że zacytowane zapewnienie ogłoszone zostało w chwili, gdy Breżniew mógł jeszcze łudzić się, że opinia światowa rychło uspokoi się i zapomni, jak to się działo zawsze dotychczas. To chyba najbardziej prawdopodobne. Zachód akceptował wszystko po kolei: Budapeszt i zduszenie

Wiosny Praskiej, także zainspirowane zamachy stanu, jak w Mozambiku i Jemenie, sprowadzenie oddziałów kubańskich do Angoli i Etiopii, wydarzenia w Kambodży, ciągłe prowokacje w Ameryce Południowej i Środkowej... Bezkarność zawsze rozzuchwala. Ale wszystko to dzieje się na strategicznych peryferiach. Tym razem – odmiennie. Irańskie i arabskie zagłębia naftowe znajdują się zbyt blisko Afganistanu i to całkowicie zmieniło polityczny krajobraz.

Niezależnie od tego, czy Breżniew żywił jakieś złudzenia, czy też z całą świadomością zagrał *à la banque*, nietrudno po chwili zastanowienia zorientować się, co trzyma w zanadrzu. Zakładam, że Afganistan to *place d'armes*<sup>49</sup>, z którego dalsze agresje mają pójść w dwóch kierunkach. Ale przedtem trzeba zajęty obszar rozszerzyć na Pakistan. Wtedy przyszedłby czas na dwie wielkie operacje. Pierwsza z nich polegałaby na opanowaniu całego Bliskiego Wschodu i odcięciu go od Europy, co oznaczałoby unieruchomienie jej przemysłu i transportu, a w natychmiastowej konsekwencji – kapitulację. Operacja nr 2 miałaby na celu oskrzydlenie Chin od południa. Zajęcie Hindostanu (wystarczyłaby na razie część północna, czyli dolina Gangesu), następnie poszłyby przerzuty na Półwysep Indochiński i uzyskanie terytorialnego kontaktu z komunistycznym Wietnamem. Po drodze – drobnostka! – połknęłoby się Birmę i Tajlandię. Wtedy Chiny znalazłyby się w kleszczach, z jakich niełatwo się wyrwać.

W Afryce głównym i właściwie jedynym poważnym przeciwnikiem byłaby Unia Południowa, bez pokonania której trudno o władztwo nad Czarnym Lądem. Ale skuteczna akcja przeciw niej nie jest możliwa, dopóki nie zorganizuje się solidnych baz na Oceanie Indyjskim. Takie bazy jak Jemen Południowy nie wystarczają, trzeba je mieć mocno związane z zapleczem. A to oznacza konieczność uprzedniego opanowania Pakistanu, Iranu i krajów arabskich.

Plan jest gigantyczny i dobrze przemyślany. Brakuje tylko jednego: aby świat zgodził się na jego realizację bez sprzeciwu. Afgańscy górale, prymitywnie uzbrojeni, dali przykład właściwego postępowania: stawili zbrojny opór agresji. Ich sąsiedzi najwyraźniej łudzą się, że jeżeli będą siedzieć cicho, ominie ich identyczny los. Jeżeli Afganistan nie otrzyma efektywnej pomocy, prędzej czy później będzie musiał ulec. A to stanie się punktem wyjścia dla nowych agresji.

---

<sup>49</sup> *Place d'arme* (fr.) – tu: baza wojskowa, arsenał.

Ustalmy punkt widzenia. Albo Breżniew i otaczający go starsz-  
kowie pomylili się w obliczeniach i nie przewidzieli rozwoju wydarzeń,  
albo przewidzieli i z góry taki rozwój zaakceptowali, a to by znaczyło, że  
idą na ewentualny wybuch trzeciej wojny światowej. Proszę mnie dobrze  
zrozumieć. Nie to, by Moskwa dążyła do wojny, ale decyduje się pójść na  
ryzyko. Zresztą niewykluczone, że wciąż jeszcze nie wierzy, aby Zachód  
podjął rzuconą rękawicę. Czyli typowa taktyka szantażysty.

Temu szantażowi ciągle zbyt wiele polityków zachodnich bezwol-  
nie się poddaje. Po co prezydent francuski pojechał do Warszawy na  
spotkanie z Breżniewem? Niczego nie wskóra, niczego nie wyperswadu-  
je. Francuscy sportowcy wybierają się do Moskwy na olimpiadę. Bo nie  
należy „mieszać sportu z polityką”! Po przeszło sześćdziesięciu latach  
durnie jeszcze nie zdążyli się dowiedzieć, że w Sowietach nie ma żadnej  
dziedziny życia, która nie byłaby od dawna upolityczniona.

Gdy przed paru miesiącami pisałem po raz pierwszy o Afganista-  
nie, założyłem, że Sowiety spróbują pójść na „krakowski targ” i wybrnąć  
z afery przy pomocy oszustwa: oświadczą, że się wycofali, a pozostaw-  
ią pewną ilość mniej lub bardziej zakamuflowanych żołnierzy. W tej  
chwili wydaje się to tak trudne, że już niemożliwe. Bo nawet gdy udało  
się oszukać zachodnich polityków i dyplomatów, afgańskich powstań-  
ców nie oszukają. W ciągu dwóch lat Moskwa trzymała w Afganistanie  
jedynie tzw. „doradców”. Przez jakiś czas kilka tysięcy poprzebieranych  
wojskowych i agentów KGB wystarczało dla kontrolowania sytuacji, ale  
gdy ruch partyzancki zaczął wzrastać i groził obaleniem marionetkowe-  
go reżymu prosowieckiego, trzeba było pogodzić się z przegraną albo  
wprowadzić oddziały wojsk regularnych. Politbiuro wybrało to drugie:  
teraz ma twardy orzech do zgryzienia.

Sprawa afganistańska jest do wygrania. Ale do tego potrzeba z jed-  
nej strony, by amerykańska determinacja nie osłabła, z drugiej – by  
otrzymała solidarne poparcie innych wolnych krajów, a przede wszyst-  
kim Europy Zachodniej. Sztaby sowieckie doskonale zdają sobie sprawę,  
że zjednoczony Zachód jest dostatecznie silny, by zwycięsko przeciw-  
stawić się każdej sowieckiej agresji. Ale właśnie pod tym zasadniczym  
warunkiem – że zdołędzie się na solidarność. Ponadto w Moskwie lę-  
kają się zacieśnienia stosunków amerykańsko-chińskich. Chiny są jesz-  
cze za słabe, by sam na sam mogły zagrozić Związkowi Sowieckiemu,  
ale jako drugi front stanowiłyby przeciwnika bardzo nieprzyjemnego.

O tym dobrze wiadomo zarówno w sztabach Czerwonej Armii, jak w Politbiurze i w Komitecie Centralnym.

Zachowanie się prasy sowieckiej w związku z bojkotem igrzysk olimpijskich to wierna ilustracja do znanego powiedzenia: „dobra mina do złej gry” (po rosyjsku znacznie dobitniej: „*morda w krwi, no kricza wiktoria!*”<sup>50</sup>). W chwili gdy piszę te słowa, wciąż jeszcze nie wiadomo, ile krajów weźmie udział w bojkocie, na pewno jednak tyle, że olimpiada, która miała przewyższyć swoim splendorem wszystkie poprzednie, zamieni się [w] międzynarodowe zawody pozbawione cech powszechności. Można bez pudła stwierdzić, że Breżniewowi *et consortes* do łąbów nie przyszło, gdy zarządzili inwazję Afganistanu, że ich olimpiada zostanie zbojkotowana.

Znacznie gorzej z bojkotem zbożowym i technologicznym. Przez tyle lat Sowiety pokrywały swoje niedobory dzięki pomocy udzielanej przez Zachód z niepojętą, samobójczą lekkomyślnością. Jeżeli Stany Zjednoczone pójdą po wybranej linii, nie zbacząc ani na krok, Związek Sowiecki odczuje to niezmiernie boleśnie na własnej skórze. Szkoda, że tak późno! Gdyby nie ta pomoc trwająca latami, Sowiety nie potrafiłyby rozbudować tak bardzo swojej potęgi wojskowej. Ale to już przeszłość, za którą teraz Zachód musi płacić tak drogo.

Pesymiści twierdzą, że energiczne zarządzenia prezydenta Cartera zostały podyktowane wyłącznie koniecznością odpowiedniego wykazania się w okresie przedwyborczym, natomiast po wyborach wszystko się uspokoi i *détente*<sup>51</sup>, która już tyle szkód przyniosła wolnemu światu, będzie nadal uprawiana ze zdwojoną gorliwością. Byłoby to prawdziwą katastrofą i wstępem do objęcia całej ludzkości przez *pax sovietica*<sup>52</sup>, czyli niewolę wszystkich krajów i narodów. Towarzysz Leonid Iljicz dąży do tego celu z całą energią i konsekwencją. I wcale, jak wynika z cytatów przytoczonych na wstępie, tego nie ukrywa.

Istnieje teza, której słuszności nie podejmuję się ani sprawdzać, ani obalać; po prostu nie mam ku temu wiarygodnych danych. Według niej obecnie kierownictwo partyjne jest dość ostrożne i nie ma zamiaru zaognić sytuacji. Decyzja zaanektowania Afganistanu zapadła na

---

<sup>50</sup> *Morda...* (ros.) – morda we krwi, ale wołaj: „Zwycięstwo!”

<sup>51</sup> *Detente* (ros.) – odprężenie, tutaj: złagodzenie zimnej wojny w latach siedemdziesiątych.

<sup>52</sup> *Pax Sovietica* (łac.) – sowiecki pokój.

skutek błędu w kalkulacji. Młodzi przywódcy partyjni oraz wojskowi są o wiele bardziej dynamiczni i zadufani w potęgę sowiecką. Czekają na odejście starych – Breżniewa, Susłowa, Kosygina – których uważają już za figury dekoracyjne. Gdy ci młodzi – ciągle zgodnie ze wspomnianą tezą – dojdą do władzy, przestawią ogólny kurs polityczny na drogę bardziej agresywną i bezwzględną. Podkreślam: nie mam wyrobionej opinii na ten temat. Ale jeżeli istotnie takie tendencje istnieją i mogą się w najbliższej przyszłości objawić, może to i lepiej.

Poczynając od śmierci Stalina, zewnętrzna polityka sowiecka była odpowiednikiem techniki stopniowego krajania salami: w tym roku jeden plaster, w następnym – drugi. Warto by raz wreszcie uniemożliwić kontynuowanie tej sztuki wędliniarskiej, chyba że zdecydujemy się na ustąpienie Moskwie i salami, i całej wędliniarni. Pewnie frontalne starcie ze Związkiem Sowieckim spowodowałoby ciężkie straty. Ale lepiej ponieść straty, choćby najcięższe, niż skazać naszą cywilizację na zagładę.

*Prawda leży na stole*

N11, k. 35–37 v, 39 v, 45 v, 53 v, 56 v, 59–63 v, 68–71 v. Pdr. po modyfikacjach: *Prawda leży na stole*, „Tydzień Polski” 1980, nr 23.

## Różnice i kontrasty

Kiedy Stany Zjednoczone były jeszcze zaangażowane w wojnie wietnamskiej, a w Sajgonie rozpierał się „krwawy dyktator” w osobie prezydenta Nguyễna, w międzynarodowej prasie stale czytało się o konfiskatach opozycyjnych czasopism oraz o całopaleniach buddyjskich zakonników popełniających samobójstwo na znak protestu. Komunizm zatryumfował [-], Amerykanie wynieśli się, nie mogąc dać sobie rady z partyzantką w odwiecznej dżungli, i konfiskaty ustały. A to z tej prostej racji, że nie ma czego konfiskować, ponieważ opozycyjna prasa nie istnieje. O całopaleniach buddystów już się nie słyszy, bo niby skąd, choćby nawet się odbywały! Wszelka kontrola tego, co się dzieje w Wietnamie Południowym, ustała całkowicie wraz z wycofaniem ostatniego amerykańskiego żołnierza.

Natomiast nie ustały ani na chwilę, przeciwnie, znacznie wzrosły ucieczki zarówno zbiorowe, jak indywidualne „oswobodzonych” Wietnamitów. Dlaczego uciekają, ryzykując życiem, na byle jakich łodziach, czy nawet prymitywnych tratwach? Iluż ich zginęło na wzburzonych morzach, ilu stało się pastwą rekinów! Liczba tych uciekinierów idzie w tysiące, ale prasa międzynarodowa pisze o nich znacznie mniej, niż kiedyś pisała o „zwierzęcej dyktaturze” Nguyễna! A np. tzw. „międzynarodowy trybunał im. Bertranda Russella”<sup>53</sup> w ogóle się tą sprawą (jeśli się nie mylę) nie zajął. Dlaczego?

Tych „dlaczego” jest coraz więcej. Np. dlaczego swego czasu nie wysunięto żądania, by w Wietnamie zorganizować plebiscyt: czego naprawdę pragnie ludność? To samo dotyczyło i nadal dotyczy podzielonej Korei

---

<sup>53</sup> Mowa o Międzynarodowym Trybunale do spraw Zbrodni Wojennych, który został powołany do życia w 1966 roku z inicjatywy Bertranda Russella.

i Niemiec. Żaden taki plebiscyt nie może dojść do skutku z tej oczywistej racji, że komuniści go nie chcą, bo wiedzą, iż przegraliby ze szczerem, zaś wolny Zachód nie wykazuje w tym kierunku żadnych inicjatyw.

Na temat udziału w „grach olimpijskich” wypisano mnóstwo bz[ur]. Bojkot połączono z agresją sowiecką w Afganistanie, jak gdyby to było pierwsze i zaskakujące wydarzenie tego typu. Sowietom w ogóle nie należało przyznawać prawa do urzędu olimpiady i to ze względów jak najbardziej zasadniczych. Po prostu z tej racji, że nie powinno się urządzać międzynarodowych spotkań na brzegu krwawej gnojówki. Ci sportowcy, którzy uparli się pojechać do Moskwy, nie zdają sobie sprawy, że stają się moralnymi współnikami zbrodniczego systemu. Tu nie powinno chodzić jedynie o Afganistan. Przed tym była Praga i Budapeszt, a jeszcze wcześniej był Katyń i miliony ofiar północnych syberyjskich łągrów. O tym społeczeństwa zdepra[wo]wanego Zachodu nie chcą słyszeć ani wiedzieć. Ani o tym, że aktu uroczyście zatwierdzonego i podpisanego w Helsinkach rząd sowiecki nie wykonuje nawet w minimalnym procencie.

W październiku ma dojść do ponownego międzynarodowego spotkania. Kreml wyłazi ze skóry, by je przełożyć na późniejszą datę. Liczy, że z biegiem czasu sprawa afganistańska rozejdzie się po kościach, że zapomni się o Sacharowie i innych opozycjonistach, już skazanych czy znajdujących się pod nadzorem albo w śledztwie. Moskwa, jak zawsze, liczy na krótką pamięć i szybkie zmęczenie koryfeuszów „zgniłego Zachodu”. Wie dobrze, że jeśli dojdzie do tego spotkania w Madrycie w przewidzianym terminie, może być przyparta do muru i usłyszeć publicznie wielce nieprzyjemne rzeczy.

Ktoś mógłby np. stwierdzić, że tak zwane „otwarte”, publiczne procesy polityczne stanowią jawną parodię. Nie dopuszcza się na salę sądową nie tylko najbliższych znajomych i przyjaciół, ale nawet krewnych pod pretekstem, że „nie ma wolnych miejsc”. Wolne miejsca są, ale dla specjalnie spędzanych kagiebiów i zaangażowanych członków Partii, więc zachowanie się tego rodzaju „publiczności” jest nieodmienne wrogie do oskarżonego. O przedstawicielach prasy zagranicznej nie ma, czytawista, mowy.

Inny temat, który powinien być ze specjalną mocą poruszony w Madrycie, to sprawa zamykania zdrowych ludzi w szpitalach dla wariatów. Niedawno wydano na Zachodzie wstrząsającą broszurę Jurija Biełowa opisującą koszmarny los więźniów przebywających w słynnej

Syczowce, niedaleko od Smoleńska. Jest to wręcz niesamowita katownia, w której rolę oprawców odgrywają zarówno lekarze, jak sanitariusze, z reguły rekrutowani ze skazanych kryminalistów szukających „rehabilitacji” znęcaniem się nad rzekomymi wariatami. Biełow uratował się wyłącznie dzięki poruszeniu opinii międzynarodowej przez przyjaciół, którzy uprzednio wyjechali z ZSSR. Ci, którzy nie korzystają z takiej pomocy, wykańczają się zazwyczaj po kilku latach i wychodzą zgodnie z terminologią „personelu medycznego” nogami do przodu.

Krótko mówiąc, powinny zostać uwydatnione i odpowiednio skomentowane wszystkie różnice i kontrasty między wolnym światem a sowiecko-komunistyczną niewolą. Chodzi o skompromitowanie metod propagandowych opartych na wierutnym kłamstwie, fałszerskich widowiskach, zaprzeczaniu oczywistym prawdom, na grze znaczoneymi kartami, na używaniu psychicznego terroru. A przede wszystkim chodzi o to, by w Madrycie nie popełniono straszliwego błędu Helsinek: nie brano łgarstw i fałszywych zapewnień, i obietnic za dobrą monetę. I aby udowodniono ponad wszelką wątpliwość, że Deklaracja Praw Człowieka, uchwalona właśnie w Helsinkach, pozostała w Związku Sowieckim na cierpliwym papierze.

Byłoby konieczne, aby reprezentanci Związku Sowieckiego wyjaśnili, dlaczego, znowu w sprzeczności ze wspomnianą Deklaracją, obywatele sowieccy nie mają prawa do swobodnych wyjazdów za granicę i podróżowaniu po świecie. Wszystko, co napisałem, nie wyczerpuje sprawy. Pytań byłoby znacznie więcej, trzeba tylko zdecydować się na ich postawienie i żądać jasnych, niedwuznacznych odpowiedzi, a nie zwyczajnych wykrętów.

Jeżeli na konferencji madryckiej znajdzie się ktoś z poczuciem humoru, powinien zapytać, co sądzić o wiadomości o przyznaniu literackiej Nagrody imienia Lenina towarzyszowi Leonidowi Breżniewowi. Rzecz w tym, że informacja o tym doniosłym wydarzeniu ukazała się we wszystkich dziennikach Związku Sowieckiego pod datą 1 kwietnia br. Czy chodzi o *prima aprilis*, a więc o dobry kawał, czy też nikt nie zdał sobie sprawy, że podanie powyższej wiadomości akurat tego dnia mogło spowodować kpiące komentarze? Może chodzi o złośliwy sabotaż? Więcej klasowej czujności, towarzysze!

Kiedy indziej ta czujność przybiera formy, które można by było uznać za humorystyczne, gdyby nie ich wręcz niesamowity charakter. Wspomniany Jurij Biełow napisał w swojej broszurze o rozpaczliwej

sytuacji odzieżowej zamkniętych w syczowskiej „psychuszce”. Między innymi zupełny brak chustek do nosa. Ktoś z przyjaciół, dowiedziawszy się o tym, przysłał Bielowowi w paczce kilka chusteczek. W administracji „psychuszki” wybuchła panika. Na tych chusteczkach mogą być przecież wypisane niewidzialnym szyfrem antysowieckie, niebezpieczne hasła albo zgoła strategiczne tajemnice. Jedną z tych chusteczek ukradła sanitariuszka, ale gdy doszło do wielkiego rabanu, przestraszyła się i wrzuciła chusteczkę do ustępu. Podpatrzono i doniesiono komu trzeba. Odbył się komisyjne śledztwo. Tak długo grzebano się w kupie ekskrementów, aż znaleziono groźny obiekt. Po wypraniu chusteczki niczego podejrzanego na niej nie znaleziono. Wobec tego w oficjalnym sprawozdaniu stwierdzono, że ekspertyza nie dała żadnych wyników, gdyż kilkugodzinne przebywanie chusteczki w ekskrementach spowodowało proces chemiczny, który zatarł wszelkie możliwe ślady. Rzekomego szyfru nie zdołano odczytać. Pomyśleć tylko, że w rękach tego rodzaju typów znalazły się losy tysięcy najzupełniej bezbronnych i niewinnych ludzi!

*Różnice i kontrasty*

N10, k. 9–17 r. Pdr.: *Różnice i kontrasty*, „Tydzień Polski” 1980, nr 27.

## Polityczny kercelak

Claude Cheysson jest w socjalistycznym rządzie, który powstał po zwycięstwie Mitteranda, ministrem spraw zagranicznych. Już jego pierwsze wystąpienia mocno zdziwiły opinię zarówno francuską, jak i w innych krajach. Świat przyzwyczaił się do dyplomatów, którzy dziesięć razy pomyślą, zanim złożą jakieś oświadczenie, a przede wszystkim uciekają przed jasnymi, niedwuznacznymi oświadczeniami. Cheysson jest bezpośredni, lubi wypowiadać się wprost, bez żadnych zastrzeżeń i bez tego, co uchodzi za „werbalny malabaryzm”<sup>54</sup>. Na próżno dziennik „Matin” określił go jako zwolennika „antydyplomacji”. Zaczęło się od tego, że Cheysson ostro skrytykował negatywną postawę Waszyngtonu wobec wprowadzenia do rządu ministrów-komunistów, których później określił jako „chłopców na posyłki”. Własnych kolegów z rządu, do którego należy!

Po śmierci prezydenta egipskiego Sadata, zamordowanego przez terrorystów, Cheysson wprowadził w zdumienie słuchających go dziennikarzy swoją odpowiedzią na pytanie jednego z nich dotyczące nieobecności przedstawicieli krajów arabskich na pogrzebie. Ów dziennikarz zapytał, czy ta nieobecność nie utrudni sytuacji w stosunkach Zachodu z Arabami. A oto jednoznaczna odpowiedź: „Zabójstwo Sadata powinno wzbudzić, bardziej niż niepokój, optymizm, gdyż usunięta została największa przeszkoda dla porozumienia w świecie arabskim”.

Najlepiej, jeżeli zacytuję dosłownie tę zaskakującą wypowiedź, która doczekała się z jednołósną krytyką i – więcej – z kategorycznym potępieniem tego niesłychanego w swej treści wysokości. Oto najważniejsze fragmenty: „Mówię tak, nie, bo lubię paradoksy ani sprzeciwianie

---

<sup>54</sup> Żonglerka słowna (od hiszp. *malabarista* – żongler).

się opiniom panów, lecz muszę wysunąć tezę przeciwną. Ubiegłego lata odbyłem wiele podróży do krajów arabskich; w Paryżu miałem do czynienia z pewną ilością arabskich przywódców. Prezydent Republiki był w Arabii Saudyjskiej. Uprzednio pojechałem do Maghrebu, gdzie nawiązaliśmy szereg nowych kontaktów i mogę tu powiedzieć, że nie ma ani jednego arabskiego przywódcy, który by nie uznał, że osiągnięcie trwałego pokoju na Bliskim Wschodzie, rozwiązanie trudnych problemów Bliskiego Wschodu wymagałoby przede wszystkim powrotu Egiptu do arabskiego obozu... Ani jeden dyrygent palestyński czy syryjski – cytuję ich, bo są uważani za ekstremistów, a także żaden z umiarkowanych w krajach nad Zatoką Perską i w Maghrebie nie uznał, że pokój na Bliskim Wschodzie jest niemożliwy, dopóki Egipt nie wróci do rodziny arabskiej. Ponieważ pokój zależy od porozumienia między stronami zainteresowanymi, to jest między Izraelem i Arabami. Dopóki Egipt nie znajdzie się ponownie razem z innymi krajami arabskimi, nikt nie widzi możliwości rozwiązania problemów, które nie zostały objęte porozumieniem w Camp David...”

I oto ostateczna konkluzja: „W konsekwencji, jeśli się chce być optymistą, a ja pragnę nim być, powiedzieć można, że zniknięcie Sadata, niezależnie od okropnej formy, w jakiej nastąpiło, i od skutków dla samego Egiptu, spowodowało usunięcie przeszkody do porozumienia w łonie arabskiej rodziny”. Powiedzmy, że tak, ale dziennikarze i czytelnicy głowią się, w jaki sposób ma to przyspieszyć osiągnięcie trwałego pokoju na Bliskim Wschodzie. Cheyssen nie miał nic do powiedzenia na temat barbarzyńskiej reakcji takich ekstremistów, jak szef Palestyńczyków Arafat czy libijski pułkownik Kaddafi, którzy zachowali się z radością godną afrykańskich ludożerców.

A oto bukoliczne oświadczenie prezydenta Sudanu Gaafara Nimeiry: „Kaddafi powinien być zlikwidowany fizycznie za wszelką cenę, nawet gdyby trzeba było utopić w oceanie albo rzucić z samolotu”. Tę miłą propozycję Nimeiry wygłosił, zapowiadając udział sił zbrojnych Sudanu we wspólnych manewrach amerykańsko-egipskich zapowiedzianych na listopad. Śródziemnomorska Flota Stanów Zjednoczonych skoncentrowała się na wodach granicznych Egiptu, aby być w pogotowiu w razie jakichś wojennych zamiarów Kaddafiego. Oczywiście, prasa sowiecka lamentuje i odgraża się, ale nikt tych pogroźek nie bierze na serio. Należy założyć, że owe manewry, w których wezmą udział Amerykanie, Egipt i Sudan, powinny ostudzić zapały wojowniczego,

libijskiego pułkownika. Mówiąc nawiasem, Moskwa nie wysłała swojej delegacji na pogrzeb Sadata. Widocznie chciała ją uchronić przed spotkaniem z izraelskim Beginem.

No, dobrze, a jeżeli Husni Mubarak poprowadzi egipską politykę w tym samym kierunku, co zamordowany Sadat? Gdzie się wtedy podzieje ze swoim optymizmem *monsieur* Cheysson?

Hiszpańska para królewska – don Juan Carlos I i doña Sofia – złożyła wizytę w Stanach Zjednoczonych, przyjęta z wielką serdecznością zarówno przez władze amerykańskie z prezydentem Reaganem na czele, jak przez prasę i publiczność. Reagan nazwał Juana Carlosa królem „walczącym o demokrację” i dodał, że Stany Zjednoczone udzielą Hiszpanii wszelkiej koniecznej pomocy na drodze do integracji europejskiej, a przede wszystkim do Paktu Atlantyckiego. A w Brukseli przedstawiciel Związku Sowieckiego zagroził, że w razie wejścia Hiszpanii do Paktu Kuba zostanie zaproszona, by weszła do Paktu Warszawskiego. A cóż by to zmieniło w układzie międzynarodowym? Przecież komunistyczna Kuba od dawna jest zbrojnym ramieniem sowieckim i wykonuje posłusznie wszystkie zlecenia Kremla w krajach Trzeciego Świata, w Angoli czy Etiopii. Więc chodziłoby o zwykłą formalność bez żadnego praktycznego znaczenia.

Hiszpańska prasa lewicowa prowadzi nadal intensywną propagandę przeciw Wspólnocie Atlantyckiej, prasa umiarkowana i popierająca rząd zapowiada, że przed upływem roku, najprawdopodobniej w grudniu, Hiszpania wejdzie do Paktu. A na razie uwaga powszechna skupia się na oświadczeniach nacjonalistów katalońskich i baskijskich, którzy nie ustają w swoich prowokacjach wobec Madrytu. Ostatnio wywołał wielki skandal prezydent PNV (Partia Nacjonalistyczna Baskijska), Xabier Arzallus, składając oświadczenia, które zostały uznane za „niesłychane”, za „szaleńczą prowokację” i „niesłychane i bezwstydną”.

Wypowiadając się na rzecz całkowitej niepodległości Euskadi (kraj Basków), Arzallus zapowiedział, że walka będzie długotrwała, a jeżeli Hiszpanie „zechcą nas powstrzymać, muszą to zrobić z bronią w rękę, jak w roku 1936. Ale i tak nic nie wskórają”. Prasa całej Hiszpanii, w ogromnej swej większości, uznała to oświadczenie za niedopuszczalne wyzwanie, rzucone państwu, rządowi, zdrowemu sensowi i historii. Gubernator Vizcayi (oświadczenie zostało złożone przez Arzallusa w Bilbao, stolicy Vizcayi) skierował sprawę do prokuratury, aby ta wyciągnęła konsekwencje prawne. Dodać należy, że zanim Arzallus zajął się polityką, był księdzem katolickim (jezuitą), ale zdążył zrzucić sutannę.

Sensacji w Hiszpanii nie brakuje na co dzień. Część radców w zarządzie miasta Madrytu zażądała ustąpienia urzędującego *alcade*, prof. Tierno Galvána. Profesor odmówił, twierdząc, że „ci, którzy go wybrali, nadal darzą go szacunkiem i miłością”. Powiedział to z rana, a po południu, gdy zjawił się na korridzie (walka byków), został przykładnie wygwizdany przez publiczność. „ABC” zaznaczyło ironicznie, że najwidoczniej Tierno Galván, gdy słyszy gwizdy, uważa je za dowód uznania. Pisałem już o nim parokrotnie w „Tygodniu Polskim” i gdzie indziej. Gdy go poznałem przed trzydziestu laty, był zaciekłym zwolennikiem, ba, entuzjastą filozofii Hoene-Wrońskiego, który, jak wiadomo, był polskim mesjanistą i poszukiwał absolutu poprzez wzory matematyczne. Po jakimś czasie Tierno Galván przerzucił się na Hegla i w końcu został marksistą. Nie chce podać się do dymisji.

Na piaskach Sahary Zachodniej, w miejscowości Guelta Zemmur, rozegrała się poważna akcja bojowa między załogą marokańską a oddziałami tzw. „Frontu Polisario”, stanowiącymi siłę zbrojną Arabskiej Ludowej Republiki Saharyjskiej, uznawanej przez niektóre kraje Afryki arabskiej i murzyńskiej. Republika ta jest w poważnym stopniu fikcją utworzoną przez Algierię, Mauretanię i Libię. Akcja zbrojna jest skierowana przeciw Maroku. Załoga Guelty Zemmur poniosła poważną klęskę. Saharyjczycy po raz pierwszy rozporządzali najbardziej nowoczesną bronią sowiecką, dostarczaną im przez Libię: czołgi, artyleria, pociski kierowane. Straty Marokańczyków nie są znane, wiadomo tylko, że Polisario zestrzeliło dwa samoloty.

I jak się to niekiedy zdarza, klęska wojskowa okazała się zwycięstwem politycznym. Podczas konferencji Organizacji Państw Afrykańskich w Nairobi król marokański Hassan II zaproponował urządzenie plebiscytu wśród ludności saharijskiej mającego zadecydować o jej przyszłości. Warunek: utrzymanie zawieszenia broni. Przedtem jeszcze król Arabii Saudyjskiej Chaleb zaproponował Mauretanii poważną pomoc finansową, jeżeli ta przestanie atakować Maroko i uzyskał na to zgodę. W podobnym sensie wypowiedzieli się prezydent Algierii Bendzedid i dyktator libijski Kadafi. Hassan przypisał ciężkie uzbrojenie użyte w Guelcie Zemmur bezpośredniej interwencji obcego mocarstwa, ponieważ „Saharyjczycy nigdy nie mieli takiej broni i nie potrafią się z nią obchodzić”.

„To pogwałcenie umowy zawartej w Nairobi – dodał Hassan II – pozostawia memu rządowi wolne ręce w konflikcie”. Dokładne omówienie

tego wydarzenia otrzymało pięciu stałych członków Rady Bezpieczeństwa Organizacji Narodów Zjednoczonych, sekretarz generalny ONZ Kurt Waldheim, prezydent Kenii, sekretarze generalni Ligi Arabskiej i Konferencji Islamu, król saudyjski Chaleb oraz prezydenci Stanów Zjednoczonych, Francji i Tunezji. Rzecz prosta ani Mauretania, ani Algieria, ani Libia nie fabrykują takich ultranowoczesnych broni. Ich dostawcą może być wyłącznie Związek Sowiecki.

Nazwałem ten artykuł politycznym Kercelakiem. Starsi czytelnicy, którzy pamiętają przedwojenną Warszawę, domyślą się, jak sądzę, bez trudu, co miałem na myśli. Ale ci, co byli dziećmi albo urodzili się podczas wojny, nie muszą tego wiedzieć. Kercelak po zburzeniu i odbudowie stolicy przestał istnieć. Był to targ wypełniony straganami, na których wszystko można było kupić i wszystko sprzedać. W felietonach Wiecha Kercelak zjawiał się wielokrotnie. Przez pewien czas buszował tam groźny półbandzior, zwany tatą Tasiemką. Odchodziły brudne interesy załatwiane na lewo, różne nielegalne kanty, roiło się od ciemnych typów, złodziejasków i szwindlarzy, czyhających na niedoświadczonych naiwniaków. Zresztą nie brakowało także uczciwych handlarzy, tyle że stanowili mniejszość.

Podobnie w polityce międzynarodowej, a nawet znacznie gorzej. Bo działają nie półbandziory, w rodzaju Tasiemki, lecz krwawi bandyci, zawodowi włamywacze, fałszerze i oszuści najwyższej skali, a także uzurpatorzy władzy i wolności. Oczywiście, są także politycy o wyjątkowej uczciwości, ale tych coraz mniej. Przykłady, wybrane na chybił trafił, w pełni uzasadniają tę opinię. Więc tytuł *Polityczny Kercelak* też wydaje mi się całkowicie usprawiedliwiony. I kto wie, komu po takim zestawieniu wyrządziłem krzywdę: międzynarodowej polityce czy przedwojennemu, warszawskiemu Kercelakowi? Chyba to drugie?! Nie?

I na zakończenie szczegółów anegdotyczny, dotyczący omówionej już postać burmistrza Madrytu, prof. Tierno Galvána. Rzuciłem słowo uzurpatorzy. A czymże innym jest uporczywe powoływanie się na powszechne poparcie, nawet wtedy, gdy to świeci absolutną nieobecnością. Kapitałny przykład tej swoistej aberracji dał burmistrz Madrytu, wspomniany powyżej prof. Tierno Galván. Jużem to omówił. Poza tym Tierno chce przejść do historii jako przysięgły podróżnik. Część prasy nazywa go „podróżującym burmistrem”, gdyż w ciągu niezbyt długiego czasu zdążył objechać stolice niemal wszystkich pięciu kontynentów. A podatki miejskie ciągle rosną i w madryckich barach i kawiarniach

mówi się, że to na pokrycie nieustannych burmistrzowskich podróży. Kosztują one miliony, bo miejski dygnitarz uprawia swoje wojaże zawsze w towarzystwie licznej świty.

*Polityczny Kiercelak*

N17, k. 18–21 r. Pdr. po modyfikacjach: *Polityczny Kiercelak*, „Tydzień Polski” 1981, nr 46.

## W Afganistanie

Itak oto, gdy uwaga całego świata była skupiona na wydarzeniach perskich, nagle z wdzięcznej inicjatywy Moskwy wyskoczył na pierwszy plan międzynarodowej aktualności politycznej sąsiedni Afganistan. Zaskoczenie prawie całkowite. Wyobrażam sobie, że niejednen z odpowiedzialnych polityków Zachodu rzucił się do atlasu i encyklopedii, by dowiedzieć się, gdzie się ten egzotyczny kraj znajduje i co reprezentuje. Rychło w czas! Od półwiecza w Afganistanie dominowały gospodarcze wpływy sowieckie, a tam, gdzie zaczynają działać technicy, inżynierowie, doradcy, prędzej czy później zjawiają się uzbrojeni „wyzwoliciele”. Bolszewicy kochają imperialistyczne tradycje: obecna inwazja to nic innego jak nawiązanie do prób czynionych przez rządy carskie pod koniec wieku XIX w nieustannej walce z wpływami angielskimi. Od tamtego okresu sytuacja zmieniła się radykalnie. Anglików od dawna nie ma na południe od Afganistanu, tym łatwiej przyszło Rosji Sowieckiej wpakować się tam na dobre.

Od najdawniejszych czasów Afganistan padał ofiarą ciągłych napałów i wojen. Górzysty kraj, pozbawiony bogactw naturalnych, znajdował się na skrzyżowaniu ważnych szlaków handlowych, prowadzących z Azji Przedniej do Chin i z Turkiestanu (Chorezmu) do Indii, przyczyna, dla której potężni sąsiedzi zawsze dążyli do panowania nad nim.

Przyłączony na siłę do imperium staroperskiego, po śmierci Aleksandra Macedońskiego wszedł w skład Baktirii, jednego z państw hellenistycznych, na które rozpadło się imperium. Przewalali się tędy kolejno Scytowie i inne ludy koczownicze. Przy końcu V wieku p. Chr. Afganistan został podzielony między jedną z hord Hunnów (Heftalicy) i Persję pod rządami dynastii Sasanidów. W wieku IX zapanował tu Islam w ob-rządku sunnickim. Są także szyici, ale stanowią nieznaczną mniejszość.

Ciągle najazdy spowodowały mieszaninę etniczną: ludność stanowi dosyć pstrą mozaikę. Jeśli się nie mylę, Afganie nie stanowią nawet połowy ludności, równoważą ich liczebnie szczepy irańskiego pochodzenia; jest sporo Tadżyków, najstarszych tubylców na tej ziemi. Inne mniejszości nie mają znaczenia. Pstrokaczna etniczna łączy się z językową. I to samo działo się i dzieje na terenie kulturalnym. Skrzyżowały się tu i splątały wpływy perskie i hellenistyczne, hinduskie i tiurskie, nawet rzymskie i partyjskie, zaś Islam towarzyszył wcześniejszemu buddyzmowi.

W wieku XIX rozpoczęła się infiltracja brytyjska, która wkrótce natknęła się na identyczną infiltrację rosyjską. Wojny domowe, o które w czysto feudalnym kraju nie było trudno, odbywały się pod znakiem i z pomocą tych dwóch rywalizujących imperiów. W Londynie obawiano się, że Afganistan może stać się *place d'arme*<sup>55</sup> rosyjskiej ekspansji ku Indiom; Petersburg miał na widoku cele zarówno zaborcze, jak obronne. Data 1907 była przełomowa. Pobita przez Japończyków Rosja zrezygnowała z dynamicznej polityki w Azji. Na razie.

Penetracja komunistyczna Afganistanu przeprowadzana była stopniowo i ostrożnie, by nie zwracać przedwcześnie niczyjej uwagi. Gdy Amerykanie połapali się, było już za późno. Wielu obserwatorów wyraża zdziwienie: właściwie po co to było Sowietom potrzebne? Afganistan ma znaczenie wyłącznie geopolityczne i, rzecz prosta, właśnie o to chodziło. Pakistan znalazł się w bezpośrednim zasięgu. Iran został oskrzydłony od wschodu, Armia Czerwona opanowała wąwozy prowadzące ku pustyniom chińskiego Sinciang (poligon broni atomowych). Czy Rosjanie liczyli się z nieuniknioną reakcją? Na pewno, ale widocznie uznali, że ogólny bilans im się opłaci. Albo doszli do wniosku, że krzyku będzie co niemiara i po jakimś czasie wszystko rozejdzie się po kościach. Jak po węgierskiej sprawie w 1956, po czechosłowackiej w 1968. Istnieje jednak zasadnicza różnica. Afganistan znajduje się zbyt blisko największych na świecie złóż naftowych, których nie mają ani Węgrzy, ani Czesi. I ta różnica ma nie byle jakie znaczenie.

Zanim ten artykuł ukaże się w druku, mogą zajść doniosłe wydarzenia i zmiany, których przewidzieć, naturalnie, nie mogę. Jedno jest pewne. Nawet gdyby wojska sowieckie opuściły oficjalnie Afganistan,

---

<sup>55</sup> Zob. przyp. 49.

pewna część ich pozostanie (znowu tzw. „technicy”, „doradcy”), by nie dopuścić do wymknięcia się kraju spod moskiewskiej „opieki”.

Prezydent Carter zagroził represjami, między innymi wstrzymaniem albo ograniczeniem dostaw zboża. Szkoda, że tak późno, ale na początek dobre i to, jeżeli się nie rozmyśli. Ale chodzi nie tylko o Stany Zjednoczone. Czytałem niedawno, że Francja, Holandia, Belgia, Irlandia sprzedały ostatnio sowociarzom przeszło dwadzieścia tysięcy ton masła. O, właśnie! – smarujcie diabła masłem śmietankowym; odwdzięczy się w przyszłości, smarując was dziegciem i smołą. Tych produktów w Związku Sowieckim zawsze pod dostatkiem! Gdyby nie obłądana polityka prowadzenia handlu z Moskwą za wszelką cenę, militarny potencjał sowiecki nie mógłby wzrosnąć tak bardzo w ciągu powojennego ćwierćwiecza. Trzeba było dopiero Afganistanu, by to zrozumieć. Przeciw zapowiedzi ewentualnego bojkotu tegorocznych igrzysk olimpijskich w Moskwie wypowiada się energicznie wiele osobistości. „Nie należy mieszać sportu z polityką!”. Naturalnie, nie należy. Związek Sowiecki zawsze i wszędzie mieszał jedno z drugim: sport był zawsze dla niego narzędziem politycznego oddziaływania. Dlaczego w Organizacji Narodów Zjednoczonych Ukraina i Białoruś mają osobne reprezentacje, natomiast w sporcie nie istnieje takie rozróżnienie? Bardzo zwyczajnie: ilość rosyjskich medali uległaby daleko idącej redukcji. Wystarczy przejrzeć listę nazwisk mistrzów olimpijskich, poczynając od Helsinek, poprzez Rzym, Tokio, aż po Montreal. Jeżeli Zachód stchórzy raz jeszcze i zjawi się w Moskwie, przeciwnicy akcji bojkotowej przekonają się ponowczynie, jak tam wygląda separacja sportu od polityki. No, ale cóż na to poradzić! Głupcy nie potrzebują żyznej ziemi, rodzą się na każdym kamieniu.

Chyba wszyscy zgodzą się bez trudu, że Afganistan to tylko pierwszy etap szeroko zakrojonej akcji. Podobno Breżniew był przeciwny tej inwazji, ale go na posiedzeniu Głównego Sowietu przegłosowano. Dalszy ciąg zależeć będzie mniej od zmian personalnych u sowieckiej góry; bardziej – od zachowania się Stanów Zjednoczonych. Nie przypisujemy Amerykanom wyłącznej winy za wszystkie niepowodzenia. Przecież Zachód europejski ciągle rzuca im kłody pod nogi. Np. we Francji natychmiast podniosły się głosy, że o d p r ę ż e n i e należy ratować mimo wszystko. Mentalność zawodowych kapitulantów nadal święci tryumfy. Przeważają głupcy, którzy będą gotowi paktować z Moskwą nawet wtedy, gdy czołgi sowieckie staną nad Renem, jeśli istotnie do tego dojdzie.

Afganistan to bardzo odległy kraj. Co jego losy obchodzą przeciętnego francuskiego burżuja! Ale z baz sowieckich w Niemczech Wschodnich do Paryża jest bliżej niż z sowieckiego Taszkientu do Kabulu. I droga o wiele wygodniejsza, bo gór po drodze prawie nie ma. Zaś towarzysz Marchais już się postara o wystawienie licznych bram tryumfalnych.

Czy i jak inwazja Afganistanu oddziała na dalszy rozwój sytuacji w sąsiednim Iranie? Tłum w Teheranie spalił sztandar sowiecki i usiłował wdrzeć się do gmachu sowieckiej ambasady, ale policja mu uniemożliwiła dostęp. Ta sama policja, której nie było przy zajęciu ambasady amerykańskiej i która nie potrafiła zapobiec atakowi na samochód Waldheima, bo się tej napaści „nie spodziewała”. Ajatollah Chomeini nie wypowiedział się; odpoczywał w swoim świętym mieście. Ciekawe co powie, bo przecież będzie musiał zająć jakieś stanowisko. Wersji na ten temat jest sporo. Nie wysuwając własnej, zakładam, że prawdziwa rola Chomeiniego będzie musiała tym razem wyjaśnić się bez reszty. Czy tylko fanatyczny wariat, czy ktoś o wiele bardziej interesujący?

W prasie zachodniej nie brakuje rozważań, czy Iran i Afganistan mogą doprowadzić do wybuchu trzeciej wojny światowej ze wszystkimi konsekwencjami (zagłada atomowa). Zdania są podzielone, ale panika, jak dotychczas, nie objawiła się. Precedensy historyczne nie napawają jednak zbyt wielką otuchą. Przypomnijmy, że po powrocie z Monachium w jesieni 1938 roku Chamberlain (ten z parasolem) chodził przez jakiś czas w glorii zbawiciela europejskiego pokoju. Także francuski Daladier. A przecież już wtedy było oczywiste, że Monachium to tylko preludium do dalszych agresji hitlerowskich. Jakoś żalosny optymizm pp. Chamberlainów i Daladierów trwał zaledwie do 15 marca, gdy Niemcy wkroczyli *parademarschem*<sup>56</sup> do czeskiej Pragi. Ale także i od tej daty durnie żywili złudzenia.

Czy Afganistan wyleczy Zachód ze złudzeń? Powinny były zniknąć najpóźniej w roku 1956, a więc przed przeszło dwudziestu laty. Nic z tego. Nawet zdławienie czeskiej „wiosny” niczego nie nauczyło. Afganistan nie powinien być przyniesić żadnej niespodzianki. Osławiony wywiad amerykański nie wiedział o tym, co się w tym kraju działo od bardzo dawna? Dodajmy, że wydarzenia perskie także zaskoczyły Waszyngton, choć ostrzeżeń nie brakowało. Uznano jednak, że nie należy popierać szacha, bo to żaden demokrat. Obecnie Amerykanie powinni

---

<sup>56</sup> *Parademarsch* (niem.) – defilada, marsz paradny.

czuć się szczęśliwymi. Mają „demokrację” imama Chomeiniego. Podobno wariat, ale znowu pytam za Szekspirem, dlaczego „w tym szaleństwie tyle metody”?

Leonid Breżniew zapowiedział, że wojska sowieckie zostaną rychło wycofane z Afganistanu, zostaną tylko tyle czasu, aż się skonsoliduje miejscowa „demokracja”. W krajach Europy Środkowo-Wschodniej owa „demokracja” konsoliduje się już od trzydziestu kilku lat i wciąż nie może się skonsolidować. Dlatego garnizony sowieckie nadal stoją nad Łabą, Odrą i Dunajem, a z Afganistanu mają być szybko wycofane? „Ty, piękne dziewczę, masz duszę czułą”<sup>57</sup>, to może uwierzysz! Cóż na to poradzić, panowie statyści?

Ale – i to należy ciągle mieć w pamięci – tym razem Moskwa włączyła do kraju wprowadzić nie nafcarskiego, ale znajdującego się bardzo blisko ważnych zagłębi naftowych. Losy biednych Afganów nikogo na Zachodzie nie obchodzą; pola naftowe – to zupełnie inny temat. Tego lekceważyć nie można. Trzecia wojna światowa? Chyba jeszcze nie. Ale kilka kroków w tym kierunku bodaj już uczyniono.

*W Afganistanie.*

N12, k. 56–60 r, 52 v, 53 r, 55–58 v. Pdr. po modyfikacjach: *W Afganistanie*, „Tydzień Polski” 1980, nr 5.

---

<sup>57</sup> Niedokładny cytat z *Przestrogi* Adama Asnyka, w oryginale: „Ty, lube dziewczę, masz duszę tkliwą”.

## [Libijskie awantury]

Jeden z publicystów hiszpańskich nazwał ostatnie zajście lotnicze między Stanami Zjednoczonymi a Libią „drobnym incydem, który może pociągnąć poważne konsekwencje”. Jakże? Prasa sowiecka znowu dostała ataku szału, twierdząc, że Waszyngton chce sprowokować wojnę nuklearną. Libia jest od pewnego czasu moskiewskim klientem i prowadzi awanturniczą politykę zarówno w Afryce, jak na Bliskim Wschodzie. Propaganda libijska twierdzi, że Amerykanie dopuścili się prowokacji, naruszając morskie terytorium kraju. Rzecz w tym, że pułkownik Kaddafi jednostronnie rozszerzył granice wód terytorialnych na dwieście mil, czego ani bezpośredni sąsiedzi, ani Stany Zjednoczone, które mają swoją stałą eskadrę na Morzu Śródziemnym, nie uznają.

Niezależnie od tego, kto ponosi odpowiedzialność za ostatni incydent, polityka Kaddafiego od samego początku odznaczała się awanturniczością i nieograniczoną ambicją, zupełnie nie na miarę realnych możliwości. Libia jest krajem olbrzymim – około dwóch milionów kilometrów kwadratowych – zamieszkanym przez niecałe trzy miliony mieszkańców. Oczywista dysproporcja! Ludność skupiona jest głównie w pasie nadmorskim, od Trypolisu do granicy egipskiej. Jedność narodowa? Między mieszkańcami Trypolitanii i Cyrenajki, odległych od siebie o grubo ponad tysiąc kilometrów, niewiele było wspólnego. Cóż dopiero mówić o Ferranie, wielkich obszarach pustynnych, gdzie koczownicza przeważnie ludność posiada wysoką domieszkę negroidalną.

O Libii mawiano nie tak dawno: „kraj, który nie istnieje”. Aż odkryto bogate złoża ropy i wszystko stanęło nogami do góry. Na głównej przeszkodzie stoi według „panarabistów” państwo Izrael, popierane przez Stany Zjednoczone. Stąd antysyjonizm i antyamerykanizm

Kadafiego oraz stawianie na Związek Sowiecki. A Moskwa rada stroić się w piórka obrończyni zarówno Arabów, jak pokoju.

Po dojściu do władzy w roku 1969 (obalenie starego króla Idrisa) Kadafi przystąpił do gorączkowej działalności zjednoczeniowej. W roku następnym został podpisany akt unionistyczny między Libią, Egiptem i Sudanem. W roku 1971 odpadł Sudan i na jego miejsce weszła Syria. Związki te okazały się krótkotrwałymi efemerydami. W roku 1974 ogłoszono tryumfalnie związek Libii z Tunezją; wiadomość trwała niewiele godzin, prezydent Burguiba zdezawuował swego ministra spraw zagranicznych, który podpisał umowę z rządem libijskim. Jeszcze po roku doszło do identycznej próby z Algierią – znowu po krótkim czasie niepowodzenie. W roku ubiegłym nastąpiła inwazja republiki Czadu, wyraźny akt imperialistyczny, dokonany z błogosławieństwem Moskwy. Ostatnio konferencja z Etiopią i Jemenem Południowym, równie jak Libia klientami Związku Sowieckiego. Gdy nastąpił powietrzny incydent, Kadafi przebywał w Damaszku, prowadząc pertraktacje z szefem państwa syryjskiego Hafiz al-Assadem. Ta jego nieobecność miała dać mu alibi.

Libia ma za sobą dość urozmaiconą historię, ale nie jest to historia narodowa, gdyż, jak powiedzieliśmy, Libijczycy nie stanowią narodu w znaczeniu współczesnym. Bardzo wcześnie wybrzeża śródziemnomorskie zostały poddane usilnej kolonizacji greckiej, Cyrenajka była w starożytności kwitnącym krajem o wysoko rozwiniętym rolnictwie. Następnie po epoce hellenizacyjnej kraj wszedł w skład imperium rzymskiego, a wkrótce po jego upadku został podbity przez Arabów i poddany religijnej kulturze Islamu. Z biegiem lat Libia stała się krajem zależnym od cesarstwa ottomańskiego, a na progu epoki nowoczesnej stała się, podobnie jak inne zarabizowane kraje północnej Afryki, siedzibą morskich korsarzy.

W pierwszych latach XIX stulecia doszło do dramatycznego incydentu właśnie ze Stanami Zjednoczonymi. Amerykanie opłacali się libijskim piratom, więc ich statki handlowe zjawiające się na sąsiednich wodach, nie podlegały napadom rabunkowym. Gdy jednak, wbrew zawartej wymowie, nastąpiło parę napadów z uprowadzeniem żaglowców oraz sprzedaniem ich załóg na rynkach niewolniczych, Waszyngton zastosował represje: eskadra wojenna zbombardowała miasto i port w Trypolisie, niszcząc wiele galer, na których piraci dokonywali swoje zbójce wyprawy.

„Yamahryria”<sup>58</sup> nie jest ani demokracją, ani dyktaturą sensu stricto. Pułkownik Kadafi nosi tytuł „przywódcy wielkiej rewolucji”, zaś rządem jest Generalny Komitet Ludowy, uzależniony z kolei od pięcio-osobowego sekretariatu, kontrolowanego przez majora Yalluda, który jest uważany za człowieka numer 2 reżymu; numerem pierwszym jest, oczywiście numer 1. Władza prawna i administracyjna koncentruje się w Kongresie Generalnym Ludu, który jest instytucją nadrzędną.

Zestrzelenie dwóch samolotów produkcji sowieckiej przez myśliwce amerykańskie, startujące z pokładu lotniskowca „Nimitz”, wzbudziło demonstracje w głównych miastach libijskich i gwałtowne reakcje rządu. Brzmiały one chwilami tak, jak gdyby Libia była potęgą zdolną do zmierzenia się ze Stanami Zjednoczonymi. Niektórzy obserwatorzy uważają, że incydent zrodzi poważne trudności dla polityki amerykańskiej na Bliskim Wschodzie i przyczyni się do wzrostu popularności Kadafiego. Trudno takie stanowisko uznać za słuszne, skoro prosowiecki pułkownik budzi niechęć prawie we wszystkich krajach arabskich, zwłaszcza o kierownictwie bardziej umiarkowanym jak Tunezja, Egipt czy Arabia Saudyjska.

Rok ubiegły skończył się ujemnym bilansem, dalsze perspektywy wyglądają jeszcze gorzej. Protestów przeciw bombie neutronowej nie brakuje, ale są to werbalne pukawki, które Reagana nie przestraszą. Polski kryzys przeciąga się niepokojąco, w górach afgańskich trwa nadal strzelanina, teraz te libijskie kłopoty, na domiar złego zanoszą się na wejście Hiszpanii do Paktu Atlantyckiego.

Z Libią sytuacja wygląda bardzo niedobrze. Każda inna reakcja wykaże słabość Sowietów w godzinie próby.

Można raz jeszcze nawymyślać amerykańskim imperialistom na łamach „Prawdy” czy „Izwestii” oraz w komunikatach „Tassa”, ale to raz utraconej twarzy nie uratuje. Z pierwszych odezwań się propagandy sowieckiej przebija bezsilna wściekłość, co się powtarza nieomylnie za każdym razem, gdy mowa o polityce Stanów Zjednoczonych, poczynając od wyborów prezydenckich ubiegłej jesieni. Im bardziej wymyślają, tym lepiej widać, jak bardzo czują się przegrani i zawiedzeni.

Incydent lotniczy nie był, naturalnie, żadną próbą siły, natomiast niewątpliwie był próbą determinacji. I nie jest ważne, kto zaczął.

---

<sup>58</sup> Yamahryria – właśc. Dżamahirijja, człon oficjalnej nazwy Libii (Wielka Ludowo-Socjalistyczna Libijska Arabska Dżamahirijja).

Libijczycy czy Amerykanie? Gdy radar zauważył zbliżające się dwa samoloty libijskie, dowództwo amerykańskie miało prawo podejrzewać agresywne zamiary. Trypolis twierdzi, że spotkanie odbyło się w przestrzeni nad wodami terytorialnymi, o których już napisałem, że określone zostały arbitralnie, więc bezprawnie przez rząd libijski. Dwieście mil, a dlaczego nie trzysta? Byłoby jeszcze ładniej! Skoro mowa o prowokacjach, stwierdzić należy, że owe arbitralne rozszerzenie wód terytorialnych do dwustu mil stanowiło autentyczną prowokację. Nie tylko w stosunku do Stanów Zjednoczonych, przede wszystkim do wszystkich krajów śródziemnomorskich.

W zagmatwanych stosunkach międzynarodowych wygra ten, co będzie dążyć do wyklarowania sytuacji politycznych, rzucając na nie pełne światło. Kto z kim, czego chce, do czego dąży, jakich celów poszukuje? Np. Libia chce stać się podstawą zjednoczenia arabskiego, korzystając z pomocy sowieckiej. Wypływa z tego oczywisty wniosek, że jej warstwa przywódcza jest politycznie całkowicie niedojrzała, własne marzenia bierze za rzeczywistość, nie dostrzega żadnych niebezpieczeństw i łatwo może doprowadzić własny kraj do katastrofy. To w wypadku, gdyby wykonano groźbę wejścia do Paktu Warszawskiego, co zamieniłoby Libię w obszar okupowany przez wojska sowieckie, a co najmniej posiadające bazy lotnicze i morskie Czerwonej Armii. I to mogłoby stać się początkiem militarne go starcia superpotencji, czyli trzeciej wojny światowej.

Widocznie w Trypolis nie zdano sobie jeszcze sprawy z tego, że Morze Śródziemne stanowi miękkie podbrzusze Paktu Atlantyckiego i definitywne opanowanie Libii przez jego wrogów nie mogłoby być tolerowane przez Stany Zjednoczone. Należy jednak założyć, że w Moskwie wiedzą o tym dobrze i zawahają się przed rzuceniem takiego wyzwania.

Należy założyć, że przynajmniej niektóre państwa arabskie, dostatecznie zrażone do awantur politycznych, organizowanych przez Kadhafiego, nie zechcą się z nim zsolidaryzować; nie wygląda na to, aby Liga Arabska udzieliła mu bez zastrzeżeń poparcia, nawet moralnego.

#### *Libijskie awantury*

N18, k. 32–35 r. Pdr. po modyfikacjach: *Libijskie awantury*, „Tydzień Polski” 1981, nr 38.

## Tragedia Libanu

Stosunkowo jeszcze niedawno Liban był najspokojniejszym i gospodarczo kwitnącym krajem na Bliskim Wschodzie. Stosunki między poszczególnymi grupami narodowościowymi i religijnymi układały się harmonijnie, aż kraj został gwałtownie wciągnięty do głównego konfliktu, który od lat zamienił Bliski Wschód w najbardziej niespokojną część naszego świata. Wbrew swojej woli Liban został wciągnięty do wojny palestyńsko-izraelskiej, gdy oddziały zbrojne Fedainów zainstalowały się w południowej części kraju w pobliżu granicy Izraela i kibuce galilejskie znalazły się w zasięgu artylerii ludzi Jasira Arafata.

Inwazja Libanu przez wojska izraelskie dokonana w roku ubiegłym doprowadziła do usunięcia Fedainów, ale nie przyniosła uspokojenia. Wojna domowa trwa nadal i ani szczupła ilościowo armia libańska, ani oddziały międzynarodowe (Amerykanie, Francuzi i Włosi) nie zdołały jej zlikwidować. Wybuch bomby, który w dniu 18 kwietnia zniszczył gmach ambasady Stanów Zjednoczonych w Bejrucie i spowodował śmierć kilkudziesięciu osób, skomplikował znacznie sytuację i zapewne zmusi Waszyngton do bardziej energicznego działania. W chwili gdy niniejsze słowa dotrą do czytelników „Tygodnia Polskiego”, odpowiednie decyzje zostaną prawdopodobnie już podjęte. Rzecz prosta, w chwili gdy piszę niniejszy artykuł, nie wiem, na czym będą one polegać.

Sytuacja skomplikowała się w znacznym stopniu. Izrael nie chce wycofać swoich wojsk z Libanu, pertraktacje palestyńsko-jordańskie zostały przerwane, konferencja „na szczycie” państw arabskich, która miała odbyć się w kwietniu w Fezie, została przełożona na maj, polityka prezydenta Reagana zawiera wiele punktów niejasnych. Przede wszystkim wydaje się pewne, że Reagan zamierza zgłosić swoją kandydaturę w przyszłym, 1984 roku. Król Hussein ogłosił treść rozmowy

telefonicznej, jaką odbył niedawno z Reaganem. Prezydent miał mu powiedzieć, że tym razem postawi swoją kandydaturę, nie licząc na głosy amerykańskich Żydów. Stanowią oni grupę nieliczną, ale w znacznym stopniu kontrolują prasę, telewizję, kino i teatr, mając ponadto w rękach znaczne możliwości finansowe, a więc również wpływy polityczne. Jeżeli Reagan istotnie zrezygnuje z poparcia Żydów i mimo to wygra wybory, będzie to pierwszy wypadek w dziejach tego wielkiego kraju. Rewelacje Husseina nie zostały dotąd przez Biały Dom zdementowane, najwidoczniej więc odpowiadają prawdzie.

Ale wszystko to działo się przed zamachem terrorystycznym 18 kwietnia. Wśród zabitych jest kilku żołnierzy i policjantów amerykańskich. Ambasada oraz specjalny wysłannik prezydenta, Habib, uratowali się, gdyż w chwili wybuchu nie było ich w ambasadzie. W Waszyngtonie wiadomość wywarła fatalne wrażenie i według ogólnej oceny znacznie pogorszy sytuację w Libanie. Kto był sprawcą, nie wiadomo. Do autorstwa przyznała się fanatyczna grupa Świętej Wojny Mahometańskiej, składającej się, jak się zdaje, z szyitów, ale nie ma co do tego absolutnej pewności. A jeżeli tak, nie wiadomo, kto za fizycznymi sprawcami stoi i nimi kieruje. Tu pole do domysłów stoi otworem. Pewne czasopisma w różnych krajach zorientowane proarabsko wysunęły już supozycję, że ponieważ zamach może przynieść pożytek wyłącznie Izraelowi, autorstwo zamachu należy przypisać właśnie jemu. Rozumowanie jest prymitywne. Idąc po tej samej linii, można by rzucać podejrzenia w kilku różnych kierunkach. Na przykład w kierunku Sowietów, które chyba są najbardziej zainteresowane w tym, aby na Bliskim Wschodzie nigdy nie doszło do uspokojenia. Nie mam najmniejszego zamiaru, aby wystawiać Izraelowi świadectwo politycznego dziewictwa, gdyż w konflikcie bliskowschodnim także naknocił niemało, ale wspomniany zarzut pachnie na miłą wulgarnym antysowietyzmem.

Pierwsze reakcje polityków usiłowały odebrać zamachowi większe znaczenie. Prezydent Reagan zapowiedział, że „ten bezmyślnie okrutny akt” nie zmieni niczego w planach pacyfikacji regionu. Jeszcze bardziej optymistycznie brzmiały oświadczenia izraelskiego ministra spraw zagranicznych, który stwierdził, że jego rząd dotrzyma obietnicy i wycofa wkrótce swoje wojska z Libanu. Dodał, że jeżeli król Jordanii Hussein zechce złożyć wizytę w Izraelu czy zapoznać się z sytuacją w arabskiej części kraju, będzie przyjęty przez władze z całą serdecznością, na jaką

zasługuje. No, ale oświadczeń polityków nie zawsze należy brać dosłownie, a już najbardziej w tak trudnych okolicznościach jak obecne.

Jest jeszcze za wcześnie, by ryzykować definitywną opinię co do dalszego rozwoju wypadków. Być może rzecz się wyjaśni, gdy ten artykuł ujrzy światło dzienne, co, jak kalkuluje, nastąpi mniej więcej po trzech tygodniach. Nie ulega wątpliwości, że zamach w Bejrucie nie stanowi faktu odosobnionego, lecz należy do dobrze przemyślanej serii aktów mających na celu niedopuszczenie do pacyfikacji regionu. Dowodem tego zamach, w którym zginęli kolejno uprzedni prezydent Libanu i ambasador francuski, oraz napady na żołnierzy korpusu międzynarodowego, mającego pilnować spokoju w kraju. Już parę grup terrorystycznych przyznało się do zamachu: wspomniana już grupa szyicka, al-Jihad al-Islami, oraz zupełnie nieznana Organizacja Mścicieli za Męczenników w Sabrze i Czatili. Już to jedno wskazuje, że pies zakopany jest gdzie indziej.

Na kilkanaście godzin przed zamachem prezydent Reagan zwrócił się z listem do Hafiza al-Asada (prezydent syryjski) z gratulacjami z powodu święta narodowego. Tekst listu nie został ogłoszony, ale wiadomo, że Reagan wspomina w nim o terytoriach okupowanych przez Izrael w czasie błyskawicznej „sześciodniowej wojny” (Cisjordania, Gaza i wzgórze Golanu). Nie wydaje się, aby w Izraelu ktokolwiek myślał o zwróceniu tych terenów państwu arabskim, więc jeżeli wiadomości ogłoszone w prasie są prawdziwe, obietnice Reagana nie są realistyczne, chyba że prezydent amerykański zdecyduje się na zajęcie stanowiska, które zostałyby uznane za wrogie zarówno przez Izrael, jak przez Żydów w diasporze. Należy wątpić, aby Reagan zdecydował się na jawne zerwanie z Izraelem, który uważa (słusznie czy omylnie), że cofnięcie się do starych granic równałoby się samobójstwu.

Ludność Izraela wynosi w chwili obecnej nieco ponad cztery miliony, w tym mniejszość arabska stanowi plus minus jedną ósmą część. Jest ona skupiona na ziemiach przyłączonych do Izraela po wojnie 1967 roku. Do ich zwrócenia można zmusić Izraelczyków jedynie siłą, w żadnym wypadku poprzez pertraktacje pokojowe. Jest to błędne koło, z którego ani polityka Reagana, ani żadna inna nie znajdzie wyjścia. Chyba że świat arabski zdobędzie się jedność w działaniu i doprowadzi do zniszczenia państwa izraelskiego w ogóle. Nacjoniści arabscy, ci zwłaszcza, którzy nie przestali marzyć o wielkim zjednoczonym imperium od Atlantyku po Zatokę Perską, zapowiadają to zniszczenie

od samego początku, gdy Izrael dopiero powstał, a więc od ćwierćwiecza, ale jak dotychczas były to tylko pobożne życzenia.

Polityka izraelska w stosunku do Libanu nie znajduje usprawiedliwienia, ale przyznać trzeba, że została ona sprowokowana przez samych Arabów. Najpierw w Damaszku powstał ambitny projekt, określony przez jego autorów jako „Wielka Syria”, dążący do pochłonięcia Libanu, nie licząc się z jego odmienną strukturą narodowościową, religijną i historycznie kulturalną. Wtargnięcie wojsk syryjskich i Fedainów na teren Libanu przyjęte zostało w Tel Awiwie i Jerozolimie jako bezpośrednia groźba pod adresem samego istnienia państwa izraelskiego. Ale później Begin i jego najbliżsi współpracownicy zagalopowali się i przeoczyli najważniejszy moment, by wycofać się z Libanu. Rzeź w obozach uchodźców palestyńskich przypieczętowała tę polityczną lekkomyślność. Nie dokonali jej Izraelici, ale do niej dopuścili przez, powiedzmy, „zaniedbanie”, które zgodnie z chrześcijańskim katechizmem również jest grzechem.

Nic łatwiejszego niż przypisywanie całej winy i odpowiedzialności jednej tylko stronie, co czynią z całą satysfakcją zarówno Arabowie, jak Żydzi. Oczywiście, ani jedni, ani drudzy nie mają racji. Rzecz prosta, gdyby nie powstał niepodległy Izrael i samą swoją obecnością nie sprowokował trzech wojen i przewlekłej akcji terrorystycznej, odpadłby główny powód. Ale kto zaręczy, że nawet gdyby Izraela nie było, na Bliskim Wschodzie zapanowałby idealny spokój? Wbrew zapewnieniom nacjonalistycznych idealistów, Arabowie nie stanowią żadnej wspólnoty narodowej, kulturalnej, ani nawet językowej. Zapewne tylko religijną, a i to z pewnymi zastrzeżeniami, jeżeli weźmiemy pod uwagę wpływ marksizmu, a z drugiej – odrodzoną po wiekach wrogość między szyitami i sunnitami, czego do niedawna nie było.

Wszystkie dotychczasowe zabiegi Stanów Zjednoczonych – nie wątpię, że szczerze – nie doprowadziły do żadnych konkretnych wyników. Zdaje się, że Amerykanie nie zdali sobie sprawy. Nikt nie kontroluje sytuacji, ani Żydzi, ani Arabowie, cóż dopiero mówić o Amerykanach! Za bejruckimi zamachowcami stoi jakaś tajemnicza siła, zapewne znacznie potężniejsza od Palestyńczyków Arafata czy szyitów teherańskiego świątka. Oświadczenie Reagana, że nie należy zastanawiać się nawet nad autorstwem zamachu, uważam za błędne. Włoski sędzia nie zawahał się przed wskazaniem sprawców spisku skierowanego przeciw papieżowi, co wywołało wściekłość w Sofii i w Moskwie. A już i w samych Włoszech podnoszą się głosy, że Turek Ağca jest nieprzytomnym

wariatem i że nie należy mu wierzyć. Czy zamach na ambasadę w Bejrucie został także spowodowany przez garstkę wariatów? I to takich, którzy rozporządzają wielkimi ilościami środków wybuchowych.

Nie wyjaśniono jednego istotnego szczegółu. W pierwszej chwili prasa doniosła, że wybuch został spowodowany przez terrorystę-samobójcę, który, naturalnie, zginął na miejscu. Wiadomość tę wkrótce sprostowano: wybuch został spowodowany na odległość. Potem zaległa cisza i ostatecznie nie wiadomo, jak z tym było. I że samochód naładowany taką ilością środków wybuchowych nie zwrócił niczyjej uwagi! Towarzyszą temu zbyt liczne i tajemnicze okoliczności, by przejść nad nimi do porządku dziennego.

Jeżeli wyłuszczone tu podejrzenia i supozycje odpowiadają rzeczywistości, akcja terrorystyczna nie ustanie w najbliższej przyszłości, przeciwnie, stanie się – być może po pewnej przerwie – bardziej intensywna. Bliski Wschód to zbyt łakomy kąsek, by tajemniczy sprawcy z niego zrezygnowali. Nieszczęsny Liban będzie w dalszym ciągu przeżywał swoje tragiczne dzieje, niezależnie od ewentualnych zmian w polityce amerykańskiej. Najwyższy już czas, by w Waszyngtonie otworzono oczy na rzeczywistość i zdano sobie sprawę, że wyczyny terrorystyczne nie mają z postępowaniem Amerykanów żadnego związku.

#### *Tragedia Libanu*

N19, k. 26–30 r. Pdr. po modyfikacjach: *Tragedia Libanu*, „Tydzień Polski” 1983, nr 18.

## Ignorancja czy taktyka?

Swego czasu wspominałem o tym, że w książce „historycznej”, omawiającej udział republikanów hiszpańskich w drugiej wojnie światowej, autor odebrał Polakom dwa zwycięstwa, mianowicie Narwik i Monte Cassino. Według tego autora to nie Polacy zwyciężyli pod Ankenes i zdobyli wraz z Francuzami i pomocą brytyjską Narwik, to nie Polacy zwyciężyli pod Monte Cassino, lecz w obu wypadkach właśnie republikańscy Hiszpanie. Jakże wygląda uzasadnienie tego zwariowanego stwierdzenia?

Faktem jest, że gdy po bitwie nad Ebro, przegranej przez armię republikańską, Katalonia została odcięta od reszty zony republikańskiej, to stało się początkiem końca. W konsekwencji setki tysięcy ludzi (w tym wiele kobiet i dzieci) przeszły przez Pireneje i schroniły się na terenie Francji. Pewna ilość republikańskich kombatantów wstąpiła do Francuskiej Legii Cudzoziemskiej. Uczestniczyli oni najpierw w walkach w Norwegii, a po kilku latach także we Włoszech. Oto fantazyjna podstawa dla uznania ich za zdobywców Narwiku i zwycięzców pod Monte Cassino. Wprawdzie żołnierze z Brygady Podhalańskiej i z Drugiego Korpusu tych Hiszpanów na oczy nie oglądali, ale od czego fantazja świadomych fałszerzy? Czytelnicy łatwo się domyślą, że ten fantazyjny fałszerz zorientowany jest mocno na lewo, krótko mówiąc jest albo komunistą, albo sympatykiem i komiwojażerem komunizmu.

To legenda bardzo świeżej daty, doskonale pasująca do innych legend, wieloletniej już trwałości. Warto je wymienić kolejno. Całkiem niedawno znów mieliśmy okazję dowiedzieć się, że zwycięstwo nad Wisłą w roku 1920 odniósł „francusko-polski korpus ekspedycyjny” pod dowództwem generała Weyganda. Od tego czasu minęło sześćdziesiąt lat. Poza oficerami francuskiej misji wojskowej nikt żadnego „galskiego

rycerza” na polach bitew nie oglądał, ale co to szkodzi. Bitwę warszawską wygrał ów „korpus ekspedycyjny”, który nigdy nie istniał. Tu należy złożyć głęboki ukłon pod adresem tych wszystkich polskich „patriotów”, którzy uznali za zwycięzcę Weyganda, nie tyle z miłości do Francji, co z nienawiści do Piłsudskiego.

À propos Francuzów. Oni także chętnie przyznają się do Monte Cassino. Powiadają, że skoro dokonali manewru oskrzydającego „zielonych diabłów” od zachodu, to cała zasługa spada na nich. Idąc po tej samej linii rozumowania, należałoby powiedzieć, że skoro w całej akcji przełamywania „linii Gustawa” brała udział sojusznicza artyleria i lotnictwo, udział Polaków nie miał żadnego znaczenia. A cmentarz polski pod Monte Cassino to najwidoczniej zwyczajna anegdotka.

W miastach belgijskich i holenderskich stoją pomniki uwieczniające walki, w których brali udział, ginęli i zwyciężali polscy żołnierze. Niby wystarczające dowody. Ale poczytajcie historyczne opracowania dotyczące drugiej wojny światowej, a nie znajdziecie w nich Polaków ani na lekarstwo. A są i takie fachowe omówienia kampanii wrześniowej informujące, że armia polska miała kilka dywizji zmotoryzowanych i brygad pancernych. Mówię cudzoziemskim rozmówcom, że mieliśmy dwie Brygady Kawalerii Zmotoryzowanej: 10. pod dowództwem ówczesnego pułkownika Maczka i Mazowiecką, niekompletną – pod dowództwem pułkownika Roweckiego, późniejszego Grota. I jeszcze odwodowy batalion czołgów, który, jak się zdaje, w ogóle nie wziął w walkach udziału. Nie wierzą. „Jakże, tu stoi czarno na białym, że mieliście kilka dywizji motorowo-pancernych”. Jak się tu oprzeć takim argumentom?!

Cofnijmy się w przeszłość. O polsko-litewskim zwycięstwie pod Grunwaldem zdecydowali Rosjanie. Tak swego czasu orzekł Iłowajskij i poszło w świat jako oczywisty fakt historyczny. Przedkładaj teraz zachodnim analfabetom, że po pierwsze Smoleńszczanie nie zdecydowali o bitwie, tyle że – „lepiej uzbrojeni” – stawili skuteczniejszy opór, a po drugie nie było wśród nich ani jednego Rosjanina.

Sobieski? Przed laty czytałem w jednym z czasopism, że bitwę chochimską wygrali *ruskije dragany i guzary*<sup>59</sup>. Skąd się tam wzięli? Według autora polskie chorągwie kawaleryjskie składały się wyłącznie z „Małorosów”, czyli Rosjan. Tak się pisze historię i tak się ją serwuje cudzoziemcom. Jakże! Z cieszącą się wielkim autorytetem encyklopedii

---

<sup>59</sup> *Russkije...* (ros.) – rosyjscy dragoni i huzarzy.

można się dowiedzieć np. takich cudzeńków, że Zygmunt III Waza przegrał wojnę z Moskwą, a ponadto, że za jego panowania szerzył się w Polsce zwycięski protestantyzm.

A więc w potrzebie chocimskiej zwyciężyli Rosjanie. Pod Wiedniem? Tym razem w grę wchodzi wersja niemiecka. Polacy nie odegrali na żadnej roli. Wprawdzie zdobyli wielki sztandar Proroka, ale to zwykły przypadek. Znaleźli go w opuszczonym przez Turków obozie i zrobili z tego wielkie halo. I zrabowali worki z kawą, na czym zbili majątek, sprzedając je wiedeńskim kawiarniom. Po czym wszyscy usiedli za suto zastawionymi stołami i zaśpiewali [-] znanego walczyka Straussa *Nad modrym Dunajem*.

Wbrew temu wszystkiemu nie brakuje Polaków, którzy są przekonani, że jesteśmy ulubieńcami całego świata. Podczas wojny wzięli na serię deklamacje o „sumieniu świata” i mimo wszystko wierzą tej frazeologii bez pokrycia ożenionej z ordynarnym oszustwem. Polska została przez zachodnich aliantów wystrychnięta na dudka. Ale historia się na tym nie skończyła. Za cenę tej zdrady Zachód płaci wysoką cenę i kto wie, czy nie zapłaci znacznie wyższej. Roosevelt i Churchill są czczeni jako bohaterzy narodowi, bo wygrali wojnę. Tak, ale przegrali pokój, a ich następcy i kontynuatorzy przegrywają go nadal, z roku na rok.

Gdy nastąpił pierwszy rozbiór Polski, jedynym monarchą, który zaprotestował, był król hiszpański Karol III, po drugim i trzecim rozbiórze protestów nie było. Katarzyna II kazała upowszechnić wersję, że twórcy Konstytucji 3 maja byli jakobinami jeszcze gorszymi od francuskich. A następnie wymyślono nikczemną bajeczkę, że jako ognisko anarchii, słaba Rzeczpospolita zagrażała pokojowi Europy. Zapomniano dodać, że sprawcy rozbiorów groźnie podsycali tę anarchię, przekupując nikczemników, wzywających sejmy, a także senatorów i niejednego biskupa.

W wieku XIX Polska stała się modna, ale bez żadnych praktycznych konsekwencji. Broniono jej w parlamentach i na cierpliwym papierze – i tyle pewnie zdarzali się idealiści, jak ta garsteczka idealistów – garybaldczyków – z Francesco Nullo na czele, który pod Krzyżówką złożył młode życie za polską wolność, ale to były wyjątki. Gdy Polska krwawiła w walce z bolszewicką Rosją, robotnicy angielscy sabotowali dostawy broni, a podczas plebiscytu na Śląsku Anglicy i Włosi wyłazili ze skóry, by wygrana padła na stronę niemiecką. Trzeba było aż trzech powstań, by górny Śląsk został ostatecznie przyznany Polsce.

Interwencję polską w sprawie Zaolzia (wrzesień 1938) uznano na Zachodzie za zbrodnię; zachowanie się Czechów podczas inwazji bolszewickiej nikogo nie zdziwiło i nie zaniepokoiło. Także nie chciano odłożyć plebiscytu na Warmii, który odbył się wtedy, gdy wyglądało na to, że Warszawa padnie lada dzień, co zachodnioeuropejskich miłośników wolności napełniłoby niesłychanym zachwytem. O lordzie Curzonie też nie należy wspominać, zapominać, jak nie zapomnieli o nim anglosascy politycy w roku 1945.

Skąd się to wszystko bierze, ta wyraźna postawa antypolska, często najzupełniej bezinteresowna? Przyczyny są zapewne skomplikowane, sądzę jednak, że najważniejsza z nich polega na nieczystym sumieniu. Miał rację ów Francuz, który przed stu kilkudziesięciu laty oświadczył, że od chwili rozbiorów Polski Europa żyje w śmiertelnym grzechu. Zakamieniałym grzesznikom trudno o przeprowadzenie rachunku sumienia. O wiele łatwiej swoich grzechów w ogóle nie dostrzegać. Ale jakże nie zauważyć fatalnych konsekwencji, skoro te są dostrzegalne gołym okiem? Można – wystarczy dorzucić porcję głupoty, która oślepia, ogłusza i pozostawia wolne pole największemu wrogowi ludzkości.

Niekiedy przychodzi rozpacзлиwa chęć życzyć Zachodowi, by znalazł się w identycznej sytuacji co ludy Europy Wschodniej i znacznej części Środkowej. Może wtedy zdobyliby się na ów rachunek sumienia, które po dziś dzień im nie dokucza, jeżeli nie brać pod uwagę jakże nielicznych jednostek. W życiu zdarzają się – niezmiernie rzadko – tzw. zbrodnie doskonałe, to znaczy niewykryte i nieukarane. W historii – inaczej. Za popełnione złe czyny, za grzech głupoty politycznej zawsze się płaci. Prędzej czy później.

Powracając do zacytowanego powiedzenia Francuza z ub. wieku, stwierdzić należy, że poczynając od roku 1945, cały Zachód żyje w śmiertelnym grzechu. Jest to w równej mierze grzech moralny, jak grzech głupoty. Mając wszelkie dane na to, by po wygranej wojnie wygrać także pokój, kapitulowano niemal bez przerwy, poddając bez sprzeciwu wszystkie pozycje, jakie były do poddania. Gdy te decydowano się na drastyczne decyzje, postępowano w sposób jak najbardziej nieudolny, *exemplum* Korea i Wietnam; a zawsze z kiepsko ukrytą tęsknotą, by uniknąć prawdziwej konfrontacji, by nie zaryzykować mieszczańskiego żywota i komfortu, by przeczekać burze dziejowe pod nieprzemakalnym parasolem, nie troszcząc się o to, co stanie się

po nas, jak gdyby ich nie obchodził los ich dzieci, którym pozostawia niewesołe dziedzictwo. Przyświeca im wspaniała maksyma przypisywana przez niektórych historyków Ludwikowi XV: „Po nas – choćby potop!”. Jakoż potop przyszedł i głowy synów i wnuków potoczyły się do kosza spod noża gilotyny.

Znamy pesymistów, którzy dzielają mój punkt widzenia, ale powiadają cynicznie, wzruszając ramionami: „Światowa katastrofa nastąpi, ale jeszcze nie zaraz. Jestem w twoim wieku, żaden z nas do tego nie dożyje, więc po co się martwić!”. Ano, tak najwygodniej. Chciałbym dożyć do XXI wieku i przed śmiercią plunąć mu w twarz.

Ale gdy patrzę w oczy dzieci ufnie wchodzących w życie, gdy obserwuję młodych, rwących się do skromnego szczęścia i pełnych wiary, że ich nie zawiedzie, ogarnia mnie smutek graniczący z przerażeniem. Jakbym przed półwieczem patrzył na tych, którzy potem zginęli na barikadach powstańczej Warszawy, ginęli w Katyniu, zawisli na oświęcimskich szubienicach, zostali zatruci gazem w Majdanku. Ich spojrzenia nieświadomie nadchodzącego losu zostały w mojej pamięci i przypominają się w bezsennych nocach.

Odkoczyłem od tematu. Pisałem cały czas o tym, jak Zachód w ciągu stuleci traktował Polskę i wdałem się w rozważania uniwersalne. Ale nie ma tu żadnej sprzeczności. Nie, to wcale nie przysłowiowe „słoń i sprawa polska”. Tak jednak jest, że losy historyczne mego narodu stale spleatają się z rytmem dziejowym naszej planety. Przywilej czy przekleństwo? Po prostu sytuacja geopolityczna. Już Napoleon to zauważył, że przez Polskę przebiega centralna oś Europy, choć z tego słusznego spostrzeżenia nie wyciągnął właściwych wniosków. Ale w grę wchodzi nie tylko geopolityka, choć coraz to decyduje o wynikach historycznych starć. W pewnym sensie nasza wciąż poniewierana ojczyzna nadal odgrywa rolę lakmusa papierka wykrywającego moralny sens wydarzeń.

Wolno pytać, dlaczego historycy drugiej wojny światowej starają się udział polski przemilczać albo zredukować do minimum. Czy to zwykły przypadek? Uporczywie nawracam do tego samego twierdzenia: sprawa nieczystego sumienia. Gdy się kogoś bezwstydnie zdradziło, najlepiej przemilczeć to wszystko, co we wspólnej sprawie uczynił. Przemilczeć albo przypisać polskie osiągnięcia komu innemu. Polscy żołnierze z drugiej wojny światowej na pewno wiedzą, co mam na myśli. Nie powoduję się żadnym resentymentem narodowym, powołuję się wyłącznie na fakty historyczne.

Niech historycy zastanowią się, dlaczego Polska jest prawie zawsze, a więc powiedzmy, systematycznie, traktowana jak nieszczęsna pasierbica, która zawsze zachowała się i zachowuje w sposób ulegający najdalej idącej cenzurze. Tak jest traktowana przez cudzoziemców, ale sami także przyczyniają się do identycznego traktowania. Wspomniana historia generała Weyganda stanowi wystarczający kolofon. To znaczy definitywne potwierdzenie.

*Ignorancja czy taktyka?*

N13, k. 51–56 r. Pdr. po modyfikacjach pod tytułem: *Polska w krzywym zwierciadle*, „Tydzień Polski” 1980, nr 41.

## [Echa tragedii wrześniowej]

Jeszcze podczas wojny mówiło się wiele o tym, że druga wojna światowa mogłaby zostać wygrana we wrześniu 1939 roku, gdyby Polska nie została skazana na samotną walkę, to znaczy, gdy[by] ruszyła wielka ofensywa francusko-angielska na froncie zachodnim. Zwolennicy tej tezy znaleźli solidne argumenty podczas procesu w Norymberdze, gdy sądzeni sztabowcy niemieccy wypowiedzieli przekonanie, że Niemcy mogłyby wojnę przegrać jeszcze we wrześniu. „Gdyby Francuzi zaatakowali – mówił generał Jodl w czasie rozprawy – moglibyśmy im przeciwstawić jedynie pozory obrony”.

Właśnie w ostatnim numerze (53) „Zeszytów Historycznych” wydawanych przez Instytut Literacki w Paryżu, ukazał się interesujący artykuł Krzysztofa Sójki-Wilmańskiego pt. *Czy ofensywa francuska mogła uratować Polskę?* (str. 90–109).

Stalin zawsze dbał o pozory. Może nie od rzeczy będzie przypomnieć, jak prasa „sprzymierzona” zareagowała na wiadomość o wkroczeniu wojsk sowieckich w niedzielę, 17 września. Mało który z czołowych publicystów zdobył się na słowa potępienia zdecydowanego. Dawano do zrozumienia, że Sowiety odzyskują to, co Polacy swego czasu okupowali *manu militari*<sup>60</sup>. W czasopismach ilustrowanych – zatrzęsienie dokumentarnych zdjęć serwowanych życzliwie przez sowieckie agencje: roześmiane wieśniaczki białoruskie witające radośnie równie roześmianych czołgistów z Czerwonej Armii; dzieci obdarowywane łakociami przez dziarskich „krasnoarmiejców” itd. Już wtedy można było przewidzieć, jak z biegiem czasu sojusznicy wystawią nas do sowieckiego wiatru, ale wtedy mało kto chciał i umiał uprzedzać wypadki.

---

<sup>60</sup> *Manu militari* (łac.) – zbrojne ramię.

„Na początku trzeciego tygodnia września – pisze autor – armia polska była ciągle niepokonana, chociaż niezdolna do ofensyw na skalę strategiczną. Kilka oddzielonych od siebie ugrupowań armijnych nie było w stanie odtworzyć jednolitej linii frontu. W tej sytuacji, wobec faktu, iż armia polska zepchnięta została z głównej linii obronnej, Francuzi poczuli się zwolnieni z postanowień umowy”. Dodajmy, że w ogóle nie mieli najmniejszego zamiaru jej dotrzymać. Bo przecież – co Sójka-Wilmański stwierdził od razu w drugim zdaniu artykułu: „Pobieżnie ustalono, na wniosek generała Gamelina, że termin piętnastu dni to minimum potrzebne armii francuskiej do przygotowania się do działań zaczepnych, ale bynajmniej nie oznacza rozpoczęcie ataku tegoż dnia”. Nie „tegoż dnia”, to znaczy wtedy, gdy się Gamelinowi spodoba, czyli „na świętego nigdy!”.

Inna kwestia, czy armia francuska w ogóle nadawała się w roku 1939 do mierzenia się z kimkolwiek. Cały naród był przeżarty pacyzmem, sytuacji politycznej nie rozumiał i zrozumieć nie chciał. W zimie z 1939 na 1940 więzienia wojskowe były przepełnione dezertarami, opinia publiczna była oszukiwana, np. rozpowszechniano uporczywie kłamliwe plotki, jakoby linia Maginota została przedłużona wzdłuż granicy belgijskiej aż do Pas-de-Calais, co okazało się wierutną bzdurą. Partia Komunistyczna Francji wyraźnie sabotowała wysiłek wojenny, systematycznie podważając wolę walki w społeczeństwie. Więc na wiosnę następnego roku Francja, mając mobilizację od dawna zakończoną, korzystną sytuację strategiczną i poważne siły pancerne, załamała się w rekordowym czasie.

Widziałem z bliska polski wrzesień i francuski czerwiec. Pisałem już o różnicy przy wielu okazjach – warto powtórzyć. W Polsce tłumy rezerwistów snuły się po drogach, błagając spotykanych dowódców o przydziały i broń; we Francji całe kompanie rzucały broń, uchodząc bez walki na południe, a ludność cywilna na wiadomość o kapitulacji tańczyła radośnie na placach miasteczek i wsi. Francja przegrała swoją kampanię, zanim weszła do wojny.

Polska nie zamierzając iść kapitulacyjną drogą czeską, nie miała innego wyboru, jak tylko złożyć swoją ufność w sojuszu z Francją i Wielką Brytanią. Sojusz ten zawiódł dwukrotnie: we wrześniu 1939 i w końcowym stadium wojny. Wrzesień był tylko preludium do tego, co miało się stać w przeszło pięć lat później. Oddając Polskę na łup Hitlera w roku 1939, Francja zapłaciła za to własną klęską i okupacją; oddając Polskę

na łup Stalina w roku 1945, Zachód zapłacił i nadal płaci szeregiem klęsk, których kresu ciągle nie widać. I albo odrobi popełnione błędy, albo prędzej czy później stanie się ofiarą definitywnej katastrofy.

Drugiej wojny światowej można było uniknąć zawczasu. Nie wzięto Hitlera na serio, tuczono go kolejnymi ustępstwami w nadziei, że się nasyci i uspokoi. Identyczny błąd popełniono w stosunku do Związku Sowieckiego i popełnia się go nadal. Bojkot moskiewskiej olimpiady był prestiżowo nieprzyjemny, ale nic ponadto. Bojkot gospodarczy i technologiczny stanowiłby potężny cios w splot słoneczny, *plexus solaris* sowieckiego imperium. Moskwa miałaby do wyboru: gwałtowną redukcję zbrojeń albo natychmiastowe sprowokowanie światowego konfliktu. Pewnie pozostałoby trzecie wyjście: zrezygnować z imperialistycznych planów w skali światowej i szczerze postarać się o *modus vivendi*<sup>61</sup> z Zachodem. Czy stać na to nieprzytomnych fanatyków?

Niektórzy historycy zachodni (Goddard, Kimche, Westphal) dawno uznali, że w pierwszej jesieni wojny można było pokonać III Rzeszę i tym samym zredukować wojnę do kilku tygodni. Ale on sam, poza zacytowaną powyżej oceną generała Jodla, powołuje się także na von Becka i von Lossberga. Pierwszy stwierdził, że „linia Renu nie mogła być utrzymana w razie zdeterminowanych ataków francuskich”. Drugi: „Francuzi mogliby z marszu rozbić siły niemieckie i dojść do Renu”. Naturalnie wszyscy oni zakładali, że ofensywa francuska nastąpi od razu po wypowiedzeniu wojny. W zakończeniu swej pracy Sójka-Wilmański napisał z pełną racją: „Gdyby data ofensywy alianckiej była ustalona nie na 15, lecz na 3 września, a następnie wykonana z całą mocą i stanowczością, przebieg wojny byłby inny – ale takiego założenia nie było w układzie majowym”.

Układ majowy był taki, a nie inny, gdyż Francja prowadziła politykę nieszczerą, która w dalszym wyniku okazała się również polityką samobójczą. Samobójczy charakter tej niesamowitej w swej skrajnej krótkowzroczności polityki pogłębiony został wielokrotnie w latach następnych przez mocarstwa zachodnie, które wygrały wojnę militarnie, aby przegrać ją politycznie. Gra toczy się nadal, pozornie ze zmiennym szczęściem, w rzeczywistości zawodowy fałszerz wygrywa wszystkie najważniejsze bazy: zabija błotki, za darmo oddaje atuty.

---

<sup>61</sup> *Modus vivendi* (łac.) – tu: sposób ułożenia stosunków (z Zachodem).

Cykl historyczny rozpoczęty dojściem Hitlera do władzy trwa nadal, nie wiadomo, kiedy i jak zostanie zakończony. Stawka, o którą toczy się gra, jest niesłychanie wysoka: ni mniej, ni więcej – tylko być albo nie być naszej cywilizacji i kultury, zagrożonych dziś bardziej, niż kiedykolwiek w przeszłości.

*Echa tragedii wrześniowej*

N13, k. 1–3 r. Jest to pierwszy szkic tekstu, który w uzupełnionej i zmienionej formie ukazał się pt. *Echa tragedii wrześniowej* we wrześniu 1980 roku w „Tygodniu Polskim” (nr 37).

## [Komarów i rycerskość]

Jak to przyjemnie kogoś od czasu do czasu pochwalić! Nadwyrężam w ten sposób utrwaloną już, niestety, opinię śledziennika i złośliwca oraz skracam sobie niezbyt miły pobyt w czyścicu, z którego wyjdę, jak tuszę, równie czysty, co nasza emigracja polityczna. W „Dzienniku Polskim i Dzienniku Żołnierza” z 28 sierpnia br. przeczytałem z uciechą felieton Karola Zbyszewskiego pt. *O Polsce w Anglii*. Bardzo zabawna lektura i, co jeszcze ważniejsze, bardzo słuszna.

„Mieliśmy (i nadal mamy) w »Dzienniku« – pisał Zbyszewski – moc telefonów od Anglików w związku z wydarzeniami w Polsce. Telefony nie od analfabetów, ale od dziennikarzy, od pracowników telewizji, od ludzi, którzy – zdawałoby się – powinni coś wiedzieć o Polsce i o Polakach w Anglii. Gdzie tam! Wielu z nich tyle o nas wiedziało, co my wiemy o plemieniu Oibu, zamieszkującym niedostępną dżunglę nad jednym z dopływów do Amazonki. Był to prysznic dla naszej zarozumiałości”.

Liczne przykłady wypadły naprawdę przezabawnie, jak choćby pytanie: „Czemu wasza ambasada jest taka nieinformacyjna?”. Ale to się zdarza nie tylko w Anglii! Gdy w roku 1968 nastąpiła sowiecka inwazja Czechosłowacji, ze współudziałem wojsk Paktu Warszawskiego, w tym także oddziałów polskich, jakiś zdeorientowany prostak zadzwonił do naszego poselstwa w Madrycie (jeszcze istniało, bo to było przed nawiązaniem stosunków dyplomatycznych z Warszawą) i obsypał odbierającego telefon gościa stekiem najgorszych obelg. Biedaczek nie zorientował się, że dzwoni do instytucji emigracyjnej wrogo nastawionej do reżymu i Gomułki, a więc nieodpowiedzialnej za poczynania warszawskich lokajów Sowietów.

Z felietonu Zbyszewskiego wynika, że wielu Anglików – wśród nich zawodowych dziennikarzy – w ogóle nie wie o udziale Polaków

w obronie Anglii w drugiej wojnie światowej, o walkach polskich lotników w *Battle of Britain*, o polskich marynarzach, o 1. Dywizji Pancerniej. To zjawisko stałe. W opisie Eisenhowera kampanii normandzkiej nie ma ani wzmianki o Polakach, ba, zwycięstwo pod Monte Cassino, zdawałoby się historycznie niezaprzeczalne, zostało z różnych stron zakwestionowane i przyznali się do niego najpierw Francuzi, a ostatnio hiszpańscy republikanie (także do Narwiku). I tak co krok.

Jesteśmy bardzo czuli na to przemilczanie naszego udziału i przeleanej krwi, oburzamy się – z tysiącrotną racją! Ale my sami także bywamy nie bez winy. W tym samym numerze „Dziennika Polskiego”, w którym przeczytałem doskonały felieton Zbyszewskiego, ukazał się artykuł pt. *60-lecie bitwy pod Komarowem*. Jak wiadomo, była to ostatnia w dziejach wojen wielka bitwa kawaleryjska stoczona w lecie 1920 roku z Konarmią Budionnego. Pisano o tym wiele – z jednej i drugiej strony. Świetna literacko *Konarmia* Izaaka Babla (zapłacił za tę książkę życiem) przedstawiła ową akcję tak, jak ją widział młody, sowiecki polityruk. Ze strony polskiej najlepszą relację z tamtych walk dał w książce wydanej przed kilku laty na emigracji Kornel Krzczunowicz, uczestnik bitwy jako rotmistrz, dowódca 8. Pułku Ułanów. Bo stany były tak uszczuplone, że rotmistrzom zdarzało się dowodzić pułkami.

Ta sytuacja powtórzyła się w dziewiętnaście lat później podczas kampanii wrześniowej. Gdy 10. Brygada Kawalerii Zmotoryzowanej pod dowództwem ówczesnego pułkownika, Stanisława Maczka, przechodziła Przełęcz Tatarską na Węgry, w wielu szwadronach brakowało rotmistrzów – 10. Pułkiem Strzelców Konnych dowodził major, 4. Szwadronem wachmistrz. Były ciężkie straty w szeregach, najcięższe – wśród oficerów.

*Ad rem*<sup>62</sup>. W zwięzłym artykule znalazłem parę niedokładności. Autor Lew Sapieha podał, że „nagle z lewej strony, od zachodu pokazuje się nowe kolumny Kozaków i zwała się na naszą lewą flankę 6. Dywizja Konna...”. A nieco dalej: „Szło ławą natarcie jeszcze niezaangażowanej dotąd w walce 6. Dywizji Budionnego...”. Oczywiście sprzeczność! No, trudno, drobne niedopatrzenie. Chodzi mi o zupełnie co innego. Cytuję: „Ze strony polskiej krępowała ruchy konnej armii Budionnego od zachodu 13. »Błękitna« Hallerowska Dywizja Piechoty, a od północy zaangażowała jedną z dywizji Budionnego 2. Dywizja Piechoty

---

<sup>62</sup> *Ad rem* (łac.) – do rzeczy.

Legionowej. W tej sytuacji Budionny, który miał rozkaz maszerowania na północ, poczuł się zagrożony i postanowił wycofać się po osi szosy z Zamościa na wschód, w kierunku Hrubieszowa...”

Otóż pod Zamościem Budionny natrafił nie tylko na polską piechotę, ale także na zacięty opór zdziesiątkowanych wprawdzie, ale zachowujących w pełni ducha bojowego dywizji ukraińskich atamana Symona Petlury. Ich udział w walce był jak najbardziej istotny, czego spadkobiercom rycerskich tradycji polskich zapominać i przemilczać nie wolno. Naczelnym Wódz, Józef Piłsudski, specjalnym rozkazem podkreślił wartość tego oporu.

Jeszcze Babel cały czas pisze o Kozakach, z czego wynikałoby, że Konarmia Budionnego składała się wyłącznie z Kozaków, co nie jest ściśle. To zresztą temat zbyt obszerny, abym go w niniejszym tekście rozwinął. Może przy innej okazji.

Jeszcze jedna pretensja. W tych walkach odznaczył się oddział Kozaków, którzy pod dowództwem esauła Jakowlewa przeszedł na stronę polską.

Konarmia powstała podczas wojny domowej, gdy Trocki „wsadził krasnoarmiejców na konie”. Potem, po zwycięstwie nad Denikinem, włączono do konnego korpusu pewną ilość dońskich Kozaków, ale nigdy nie stanowili oni większości. To zresztą temat zbyt obszerny, abym go zmieścił w tym tekście. Może przy innej okazji. Izaak Babel wspominał o nich, że *srażalis' mužno*<sup>63</sup>. Józef Mackiewicz także wymienił Jakowlewa w swojej powieści *Lewa wolna*. Lew Sapieha napisał kiedyś o tej powieści pochlebny recenzję, więc nazwisko Jakowlewa powinno mu być znane.

Wiem, że po przeczytaniu tych uwag znajdą się tacy, którzy mi zarzucą nieodpowiedzialny i antypolski filoukrainizm. Nie posądzam L[wa] S[apiehy] o celowe przemilczenie. Po prostu – przeoczenie.

Niemniej przypuśćmy, że artykuł ten przeczytał jakiś ukraiński eks-kombatant, który wtedy, przed sześćdziesięciu laty, bronił polskiego Zamościa (są jeszcze takie niedobitki). Poczul tym samym gorzki smak w ustach, jak to staje się udziałem polskich żołnierzy, gdy na Zachodzie zapomina się o ich udziale w walkach drugiej wojny światowej. Więc lepiej nie zadawać innym takich samych krzywd, które nas bolą i słusznie drażnią.

---

<sup>63</sup> *Srażalis' mužno* (ros.) – walczyli dzielnie.

I na wyjście z „ogrodu nieplewionego” jeszcze mała garstka uwag, wiążących się bezpośrednio z poruszonym tematem. Sowieccy historycy woleli o bitwie pod Komarowem w ogóle nie pisać albo bardzo wykpiłi się fałszerskimi ogólnikami. Konarmia Budionnego była zawsze oczkiem w głowie wojskowej propagandy sowieckiej, więc jak tu przyznać się do takiej kłęski? Przecież to była armia niezwycięzona. W pieśni triumfalnej głoszącej glorię Konarmii znajdują się między innymi takie chełpliwe słowa: „*Znajut psy-atamany, znajut polskije pany konnarmiejskija naszy klinki!*” („Znają polscy panowie klingi naszej Konarmii”). Istotnie, ułani spod Komarowa byli synami obszarników i fabrykantów.

Najdalej w negatywnej ocenie działalności polskiej kawalerii posunął się niejaki Siergiejew, najbardziej kłamliwy ze wszystkich sowieckich historyków tej wojny (Tuchaczewski odznaczył się w swojej, także kłamliwej, książce znacznie większym umiarkowaniem). Siergiejew napisał, że polscy kawalerzyści nigdy nie odegrali żadnej większej roli i występowali w charakterze bardziej cyrkowców niż żołnierzy. O bitwie komarowskiej naturalnie nawet nie wspomniał. Ogólna teza propagandowa, która trafiła nawet do opracowań „naukowych”: sowiecy wojny w roku 1920 nie przegrały; po rozgro[mie]niu armii polskiej uznały, że ich cele zostały całkowicie zrealizowane i zgodziły się na zawarcie „wspaniałomyślnego” pokoju w Rydze. W roku 1942 poznałem w hiszpańskim więzieniu wybitnego członka belgijskiej partii komunistycznej, który z całą powagą twierdził, że w sierpniu 1920 Armia Czerwona mogła zająć Warszawę, a nie uczyniła tego ze względów... humanitarnych.

Co się stało z owym „historykiem” Siergiejewem, nie wiem. Tyle że ślad po nim zaginął w czasie jednej z wielkich czystek stalinowskich. Za to dobrze znam tragiczne dzieje wymienionego przeze mnie uprzednio autora *Konarmii* Izaaka Babla. Odbył on cały rajd kawaleryjski Budionnego aż do wycofania się z Polski. Jego literacka relacja, ogłoszona w parę lat, była przy wszystkich propagandowych obciążeniach dość rzetelna i nieukrywająca prawdy. W jednym z opowiadań, składających się na książkę *Konarmia*, jest scena, w której autora budzi kolega, gdzieś pod Zamościem, i powiada: „Wstawaj, białopolacy strzelają z karabinów maszynowych”, a następnie dodaje, płacząc: „Przeegraliśmy kampanię!”.

Babel nie ukrywał okrucieństw budionnowców, często najzupełniej bezmyślnych, co spowodowało nienawiść do niego przywódców Konarmii. Swoją książkę wydał stosunkowo wcześniej, gdy jeszcze

nie zaczęła się władza wielkiego terroru. Ale już był, gdzie trzeba, zanotowany i czekano tylko na odpowiednią okazję, by go zlikwidować. Po śmierci Stalina, za „odwilży” nakazanej przez Chruszczowa, został zrehabilitowany, ale ta rehabilitacja nie objęła całej spuścizny zamordowanego (nawet dokładnie nie wiadomo gdzie jest pochowany, na Łubiance czy gdzie indziej); odeskie opowiadania o złodziejach i opryskach w Odessie zostały przywrócone lekturze, ale nie *Konarmia*. Jej polski przekład, wydany przed wojną, jest w tej chwili drukarskim rarytasem, niezmiernie rzadko osiągalnym.

*Komarów i rycerskość*

N13, k. 12–16 r. Pdr. po modyfikacjach pod pseudonimem Pszonka (Babin): *Komarów i rycerskość*, „Orzeł Biały” 1980, nr 11 (w cyklu „Ogród nieplewiony”).



# ILUSTRACJE











41  
E) Gay w miedzianym w Figueras, rozmowa pomimo.  
rem ten temat, mot wzmianki u normalnie zainfo-  
racji. "Dawno, to były alby handlowe, ale

To ilus tam lech i kinska Regina Garcia,  
"Bylam markistka" (Yo he sido marxista) pre-  
cylisem nark puzyc informacja: "Na pocztku  
maja 431 przyll do Madrytu Bela Kura ... , my-  
wage x saby instytutu kontroly dla resocjalizacji,  
Partii Komunistycznej i organizacje jego przyde-  
nie is e Partii Socjalistycznej. Albo byla jej dor-  
lierna." Odbyl wyedy z Alvarezem del Vayo,  
Luisem Aragonem, Margaryt Nelken i Raym-  
Luisem Aragonem. Bela Kura - cytry,  
"daloyta cigna Regina Garcia - porowat, w/  
Hispanii bardo krotko, ale zdoal organizowac  
Partii Komunistycznej i duc jej wyprac, kto-  
rych wyedyo nie miota. Do karykaty my mych  
naliczark przesadowanie religii, powraci w Rosji  
uwiazano x katolicyzm to glosne przybode w  
drodze do zbrognego powstania mas. W konsekwencji  
komunisty postanowili zalczyc religie w spordy,  
na tyle efektowny aby opowiedzic oddzialac  
na opinia publiczna... W zarym z socjalizacjami  
muplowadzi serej zmuszili na osady i med-  
mioty kultura, aheja, albo kulturalnoscia skanda-  
licznym spektaklem w Madrycie 14 maja... "a wiec  
masone podpalenie kosciołow w soboto zaincyro-  
wane przy Bela Kura

Nie byl on jedynym agentem, spowiednik, dis-  
tajzycym i Hispanii. Prowadzili na wtedy przy-  
miz, federacjami, lub popedyliero: Borodina,  
Sierpanow, Rudakov, Radek, Zubrowski, Cpal-  
44

17  
F) stługo pochodzi, a ponieważ ta ci dźwi-  
na leżmi kłomony wódnego pochodzenia, jak  
Victorio Codovila, Heinz Neumann, Vidali,  
Erno Gerö, Riedel i wielu innych. Znaczenie  
wzrostu, bo w tym roku 1835 r. w W. Anglii  
Kominbernu upadła decyzja zwrotu na wieloletniej  
awarii w rozrywki, miedzi, powolnego w Hiszpanii  
fabryki, trii Sefin, for, w 1920 roku ~~zapanował~~  
osiwiadał: "Za pierwszym was ze drągiem krajem  
po ~~Anglii~~ w Europie (po Rosji), który był  
dyktatorem, protektorem, który uwzględnia Hiszpanii".  
Lew Trocki, ~~który~~ po ogłoszeniu Republiki Drogich  
Republiki, dodał: "Dokonał się ~~zawrót~~ z armii w  
rozrywki miejscu. Obecnie pragnie kolej na His-  
panii!"

Obydwaj pragnili, i z tego z nich dyktatorem  
protektorem, nie do końca. Ale nakazuje, ongi w  
tym rozrywki. Może temu.

"Wtedy wrócić napisana, prawdziwa historia  
wojny domowej, nie widać, na jakim miejscu znajduje  
się panowie Arana i Casares Quiroga. Młodo  
30 lat od tamtych wydarzeń historycznych i jeszcze  
niebożony - ten niezawisły, ten pański, z całym  
spokojem - że ci dwaj fatalni obywateli byli  
odwrotnie odpowiedzialni za wybuch wojny, który  
sprowokowali... Odpowiedzialny mój stano,  
i drakul wód byłoby jego niebożony i niewola,  
perdi wykazuje do armii, drakul, na jakim to  
obużony... i znowu może być na jej lokalności.  
Ale jeśli był, który armii obdłaja, ponieważ, dęś  
zodny lek temu waji, smutnyje dplawa ~~Arana~~ 92



a jeśli, to nie regularnie). Wierzę koniecznie 35  
jako wyjątku, a nie wyjątku byłab.

"Do piątku... nie!"

Deklaracja napisana nie przypadkiem do garku  
tych wyjątków, tylko do zasady, z racji tego -  
długości imperium rzymskiego - wyjątków i brak  
nie woli, niegromy. W "Wielkim słowniku",  
czyli "lit. to, według nich, może być  
niedostatek polityczny katastroficznie słaby. Ale  
zabawne, że nawet wieloletnich powłokach  
nie polityczni Ukraińcy, innych ~~innych~~, nie są  
polityczni nie Róż, a więc, idąc nie przypadkiem  
pewne akcenty, w tym nie akcentu deklaracji  
by nie być in w ciemności, z dnia politycznej  
politycznej na główny akcent, tylko dla niejakie-  
go politycznego i chał zbrnąć z polityką, a to  
nie, może nawet wywołuje oburzenie. Mam na  
myśli zdanie: "Nie morus imperialis".

Nie uważam deklaracji tego zdania za naj-  
bardziej. Gdy deklaracja "kultury" swoimi  
do mnie zapytaniem, czy rzeczywiście  
deklaracja, nie chcąc zwrócić uwagi i spe-  
zać się o siebie, do pewnej chwili nie jest  
w nim niwazymie. Ale postanowi: uważam  
ten zwrot o "Wielkim słowniku, politycznym imperia-  
lizmie" z "Wielkim słowniku". ~~Nie jest to~~, wy-  
starczyło stwierdzić, że w sprawie obywateli opo-  
zycji Ukrainy ze strony polityki powstaje  
konflikt. Pomówi zdanie o polityce imperia-  
lizmie zsiaduje z zwrotu o imperializmie

















do wiadomości, rebelnie zakwestionować  
Wice po kolei.

Popularnie mówią o owym o  
„polskiej ulicy” i „żydowskiej ulicy”. Ktoś  
tam czubił od lat, zapewniająco że  
do komunizmu doprowadzą go wyłącznie  
w dziedzinie i upadku żydowskiej kasydy  
i praktyki antysemitki. Eje! Istniały  
w Polsce i działają organizacje młodzieżowe,  
dalekie od komunizmu, które antysemitki  
są im wrogie, przeciwni – obywatel-  
nicy od nich i energicznie im im przeciw-  
stawiały. Gdy więc ktoś twierdzi że  
jedynym sposobem ~~przezwycię~~ przeciwnika  
im w antysemityzmie leży akces  
do komunistów, od razu się fakturę  
mentarę. Świadczą o tym brzoje.

Na „ulicy żydowskiej” w miastach i pre-  
ludniowych miasteczkach panowała śmie-  
dząca nuda. Takie lubelskie Podwale; Ziel-  
nica, ~~dotychczas~~ obywateli wrogim ~~przeciwni~~ im  
słomki w smutku w Stare Miasto; jak sam  
wskazuje, za murami, pod wiatra

12  
obrony walców, więc własnie Pod-  
wale. To były drewniane donki, porbs-  
sione wody i kanalizacji, siedlisko glodu  
i chorób, nigdy nie odstępiano przez lek-  
sny (jesli nie liczyć wielkiego filantropa,  
dobra Jana Arnschajusa), eksploatawane  
przez leśniczych, produkora miedzianych,  
~~nie~~ <sup>głównie</sup> miedzianych proszkuł. Czy można,  
tyto i dzisiaj i co energiczniej nie podwożyć,  
wyrywając i z tego smrodu i skrajnej nędzy,  
szkary <sup>nowo</sup> ~~starych~~ <sup>strawnych</sup> wstrząsnąć? Inżynierów  
je i komunistów.

Ale nie budować nowych, marksisto-  
skich cadytów, kłomy, po świadomych  
odejściu od hebrajskiej ortodoksji, i rowali  
na biedni i wypocy wydziedziczeni i  
przeważnie "homelny" niedzieli. Oglądając  
to z bliska, wprost i z boku, przez jakieś czas  
z tego strasznego biedy, a kiedy od niej od-  
średem, nigdy nie byłam w stanie ~~nie~~  
o tamtych doświadczeniach zapisać.  
Ciekaw jestem, ile osób nie, i budowlani,  
Kauzmu, niedostatek i ydostatek gubto, czy  
jedynym miejscem w Europie, gdzie jest  
i merny i wale planistyczny tyfus? To



33

W Szwedzkiej literaturze (zwłaszcza w  
romansach), leninowskie było wyrażeniem miłej  
prekazy, co Szwedzkiego kulturalizmu; miłe wyrażenie  
inaczej, trzeba było wyrażać się przez powrocie,  
a przez, jak wiadomo, ~~swobodę~~ jest mostem  
lewoj. Dochodziło na tym do takich sław-  
nych deklaracji, jak Słobiedy Sreplinskiej, która  
właśnie pisała w tym czasie w me "Szwado-  
mnie proletariatu, nie płaci". Odnosiło się z pi-  
saniem socjalistycznym, gdy ktoś z nich zaczął spo-  
chodzić do Narssamy: z Młodymi, Erecubajski,  
Kaleosm... Ach, ach, Zofia Narssamy miała  
w historii na widoku tego ostatniego: "Taki przy-  
stojny, młody Scept". Kłopot mi drugo zaczęły się  
wtedy, kiedy, właśnie po powrocie z Kijowa, gdzie  
miałem jakieś czas był korespondentem wójcym,  
porwał instrukcją na wkręcić ferowa.

W okresie opóźnienia publicznego spro-  
bowano wyznaczyć kulturalną i doświadczenia  
w miłe skandalicznego incydenta. Mnie mi wyszły  
o nim wtedy, miłoby po prostu wspomnieć - warto  
pamiętać. Oto: w roku 1933 powstał pomysł, aby  
"Wiadomości Literackie" wydały specjalny numer,  
poświęcony w całości literaturze socjalistycznej, jedw-  
nocześnie miał w okresie podobny numer miesięcznik  
"Gazety Literackiej" poświęcony w całości litera-  
turze politycznej. ~~W tym celu~~ Skardno, sędziwa  
urodzonego, podpisał decyzję, myśląc, że  
druga. Okładka numeru wyglądała - i co się  
stało? ~~W~~ Jak na ciele rozumowej miłośnicy.  
stęży ("burinny, u") z drugim, ciekawym!  
miłe!

---

Przygotowane do druku trzypiętomowe *Notatniki* Józefa Łobodowskiego, wraz z naukowymi artykułami na ich temat to dzieło ważne, potrzebne i od dawna w gronie badaczy literatury emigracyjnej oczekiwane. Rzetelnie opracowane tomy ujawnią czytelnikowi utwory dotąd nieznanne, lub znane w innej wersji, tym samym wypełnią dotkliwą lukę w dostępnym korpusie tekstów pisarza, odsłonią arkana procesu twórczego (nic o tym procesie dotąd nie wiemy, pytanie o to, jak pisarz pracował na swymi tekstami nie było dotąd stawiane). Trudno też nie zauważyć, że publikacja *Notatników* rzuci nowe światło na całą twórczość Łobodowskiego, da impuls do zintensyfikowania prac badawczych zarówno nad jego życiem (barwna biografia „Łobody” wciąż pozostaje słabo znana) jak i nad jego rozległą, wielorodzajową i wielogatunkową twórczością (Łobodowski był przecież nie tylko poetą, ale także prozaikiem, dramaturgiem i znakomitym publicystą).

*Prof. dr hab. Wojciech Kudyba*